

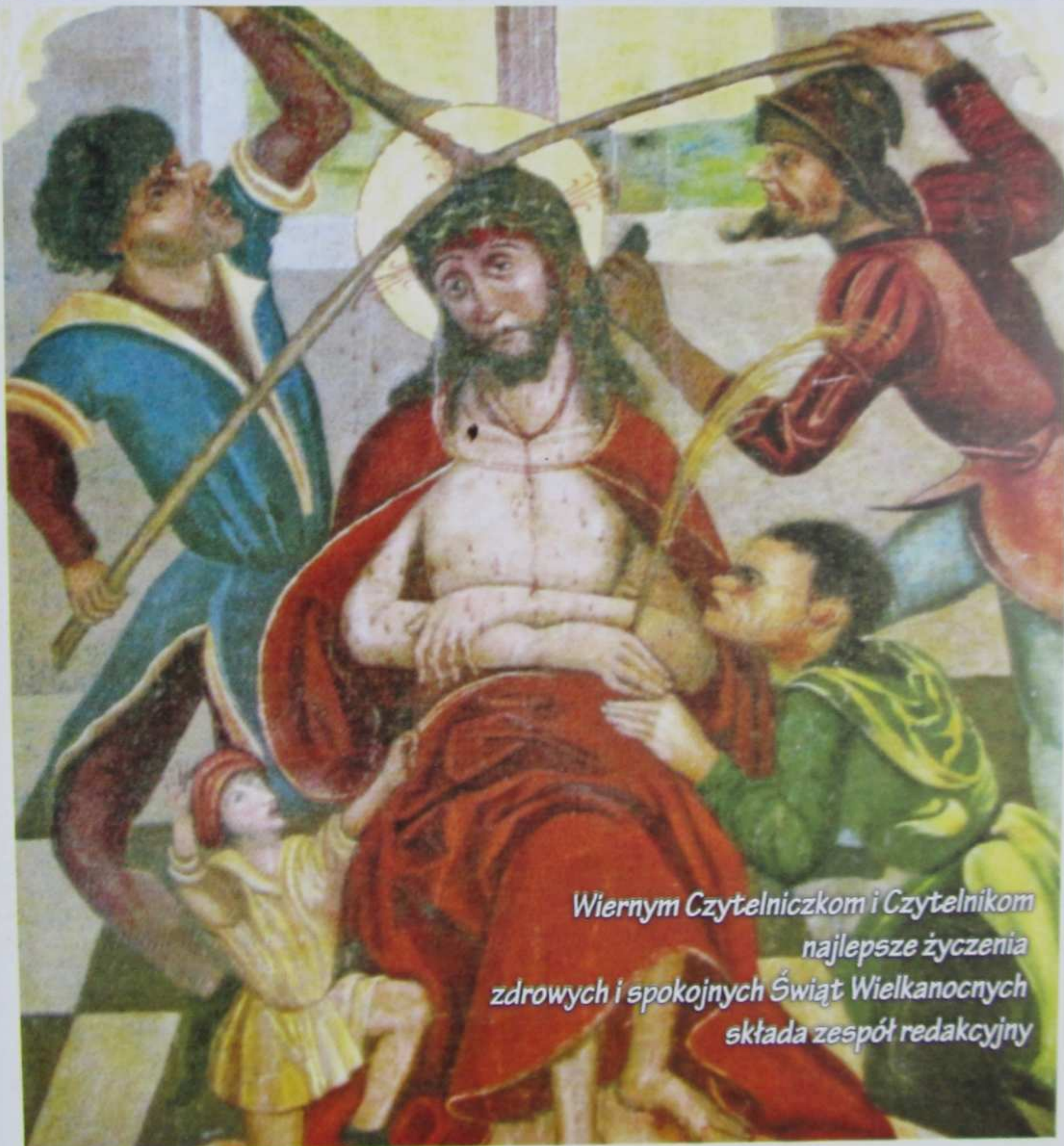


ZASŁUŻONY
DLA
KULTURY
POLSKIEJ

wiadomości kościańskie

ISSN 1231-9589

pismo regionalne • cena 7 zł • nr 1-4 (257-260) • styczeń-kwiecień 2014



*Wiernym Czytelniczkom i Czytelnikom
najlepsze życzenia
zdrowych i spokojnych Świąt Wielkanocnych
składa zespół redakcyjny*

Fragment zabytkowego tryptyku kościańskiej fary

Fot. Zbigniew Garzka

W numerze m.in.:

■ **Zniszczyć księdza**

Teresa Masłowska
(13 - 14)

■ **Szermierz**

w walce kulturalnej

Jan Pawicki
(40 - 41)

■ **Notatki**

majora Marczaka

Jerzy Zielonka
(71 - 72)

■ **W starym kinie**

Katarzyna Żurek
(73 - 76)

■ **Zaułki Kościana**

w grafice

Grzegorza Pawlaka
(78)

„Wiadomości Kościańskie”. Pismo regionalne, ukazuje się od czerwca 1988 roku. Laureat głównej nagrody IV Konkursu Institute for Democracy in Eastern Europe. Wydawca: Przedsiębiorstwo „AGA” w Kościanie. Redaguje zespół: Teresa Masłowska (redaktor prowadzący), Jerzy Wizerkaniuk (red. naczelny), Jolanta Napierała (z-ca red. naczelnego), Grzegorz Pawlak (grafik).

Adres redakcji: 64-000 Kościan, ul. Dworcowa 2, tel./fax (0-65) 512-16-15. Druk: Drukarnia Zbigniew Sołtysiak, ul. Surzyńskiego, Kościan. Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania nadsyłanej korespondencji, nie zwraca materiałów nie zamówionych i nie odpowiada za treść ogłoszeń.

Nieprzeciętni XXXIV edycji



Statuetka nagrody „WK” „Za nieprzeciętność”.

Fot. Bogdan Ludowicz

Od niemal ćwierćwiecza redakcja „Wiadomości Kościańskich” docenia wybitne osoby za osiągnięcia w dziedzinie życia kulturalnego, społecznego i ekonomicznego. Wśród dotychczasowych laureatów nagrody WK „Za nieprzeciętność” są pisarze i poeci, dziennikarze i historycy-regionaliści, działacze kulturalni i samorządowi oraz przedsiębiorcy. Redakcja przyznała kolejne wyróżnienia nieprzeciętnie zasłużonym dla regionu.

A oto laureaci XXIV edycji nagród „Wiadomości Kościańskich” za rok 2013:

● **Państwo Katarzyna i Damian Braszakowie** z Czempinia-Pani Katarzyna jest z zawodu nauczycielką, pan Damian pracuje jako informatyk w Urzędzie Gminy w Czempiniu. Ona od 2006 r. jest dyrektorem Biblioteki Publicznej w Czempiniu im. Czesława Przygodzkiego. Organizuje cykliczne i okolicznościowe imprezy kulturalne i patriotyczne. Inicjuje wydawnictwa regionalne. I tak, w 2008 r. w 90. rocznicę wybuchu Powstania Wielkopolskiego zorganizowała wystawę pt. „Powstanie Wielkopolskie i jego żołnierze”, ponadto przewodniczyła zespołowi redakcyjnemu, który przy-

gotował publikację upamiętniającą czempińskich powstańców. Dzięki jej inicjatywie w 2012 r. patronem biblioteki został Czesław Przygodzki, nauczyciel, działacz harcerski i społeczny. Druga postać tego wybitnego duetu - Damian Braszak jest m.in. autorem oprawy graficznej książki historyczno-regionalnej pt. „Czempień – 450 lat nadania praw miejskich magdeburskich” oraz publikacji żony pt. „Byliśmy stąd”, zawierającej 147 biogramów ludzi związanych z Ziemią Czempińską.

Oboje są aktywnymi członkami Towarzystwa Przyjaciół i Sympatyków Ziemi Czempińskiej. Od lat śpiewają w Czempińskim Towarzystwie Śpiewaczym „Harfa” i tańczą w zespole folklorystycznym „Żeńcy Wielkopolscy”. Państwu Braszakom przyznano nagrodę „za regionalizm”

● **Red. Mirosław Wleki** z Leszna - absolwent filologii polskiej, o specjalności dziennikarstwo, na Uniwersytecie Wrocławskim. Pierwsze teksty pisał dla „Tygodnika Żużłowego”. Od 10 lat dziennikarz leszczyńskiej gazety „ABC”. Współpracownik „Dużego Formatu”, reporterskiego dodatku „Gazety Wyborczej”. Przez rok mieszkał w Lizbonie, gdzie uczył się

języka portugalskiego na Universidade Nova de Lisboa. Publikował teksty w najważniejszych pismach w kraju i za granicą (Portugalia, Niemcy, Czechy), a także w polonijnych pismach w (USA, Wielkiej Brytanii i Brazylii). Jest autorem licznych reportaży o Ziemi Kościańskiej.

Lubi podróżować. Przejechał rowerem Angolę w ramach dwuletniego projektu „Afryka Nowaka”, skąd przywiózł zdjęcie, które podczas „Kolosów” – Ogólnopolskich Spotkań Podróżników, Żeglarzy i Alpinistów, dostało Nagrodę Publiczności. Jest autorem e-booka „Skąd się wzięłeś, Franciszku? Reporterska podróż do kraju papieża” (Agora 2013) oraz współautorem zbioru reportaży „Grzech jest kobietą” (PWN 2014). Redaktorowi Włęktemu przyznano nagrodę „za pióro”.

• **Maria i Paweł Walenciak** z Kiełczewa. Właściciele firmy Piekarnia-Ciastkarnia Maria, Paweł Walenciak Spółka Jawna w Kiełczewie. W 1996 r. zakład zdobył I miejsce w konkursie „Pracodawca- Organizator Pracy Bezpiecznej” ogłoszonym przez Państwową Inspekcję Pracy oraz Związek Rzemiosła Polskiego Okręgu Zielonogórskiego i tym samym zakwalifikował się do udziału w ogólnopolskim konkursie „Pracodawca Organizator Pracy Bezpiecznej”. Zdobył w nim drugie miejsce w kategorii firm, zatrudniających do 50 osób. Było to duże osiągnięcie dla zakładu istniejącego niespełna 2 lata.

W marcu 2004 r. firmie przyznano pierwsze miejsce w konkursie „Sposób na sukces” organizowanym przez Wielkopolski Ośrodek Doradztwa Rolniczego. W lutym 2005 r. w V edycji ogólnopolskiego konkursu „Sposób na sukces” zakład zajął drugie miejsce w kategorii rodzinnej „Sposób na sukces” na najlepsze działania kreujące przedsiębiorczość i nowe miejsca pracy na terenach wiejskich.

W czerwcu 2003 roku wprowadzono w firmie system zarządzania jakością ISO 9001:2000 oraz System HACCP, spełniając wymagania międzynarodowych standardów. Właściciele wierzą że poprzez ciągły rozwój firmy i doskonalenie produkcji utrzymają zaufanie klientów i do

marki Walenciak. Państwu Walenciakom przyznano nagrodę „za przedsiębiorczość”.

*

Ponadto po raz dwudziesty redakcja „WK” przyznała wyróżnienie za działalność samorządową - „Dobry Gospodarz”. Tym zaszczytnym tytułem uhonorowano pana **Marka Woźniaka**, który od 2005 r. jest Marszałkiem Województwa Wielkopolskiego.

Dobry gospodarz regionu, zabiegający o jego prężny i zrównoważony rozwój. W Wielkopolsce urodził się i wykształcił, tu mieszka i pracuje. Działa z myślą o tym, by Wielkopolska była dobrym miejscem do życia. Natomiast w Brukseli, stolicy Unii Europejskiej, reprezentuje wielkopolskie i polskie aspiracje, m.in. jako przewodniczący polskiej delegacji do Komitetu Regionów, jako jego wiceprzewodniczący od kwietnia 2008 r. i jako przewodniczący Komisji Spójności Terytorialnej. Z satysfakcją może obserwować, jak Wielkopolska wypiękniała dzięki dobrze wykorzystanym unijnym funduszom.

Wydatnie wspiera rozwój bazy kościańskiego powiatu m.in. w dziedzinie opieki zdrowotnej oraz uczestniczy w przedsięwzięciach regionalnych i patriotycznych Ziemi Kościańskiej. Za osiągnięcia w sferze publicznej Marek Woźniak został uhonorowany m.in. Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski oraz Nagrodą im. Grzegorza Palki „w dziedzinie działalności ogólnopaństwowej” za dokonania na poziomie regionalnym, krajowym i międzynarodowym – zwaną samorządowym Oscarem, a także Różą Franciszki Cegielskiej - dla najwybitniejszych osobowości środowiska samorządowego i tytułem „Najbardziej podziwiany marszałek województwa 2009” przyznany przez Fundację im. Adama Smitha.

Praca na rzecz Wielkopolski wypełnia w przytłaczającej większości jego czas. Wielkopolska, to zdaniem marszałka **Marka Woźniaka** potencjał dobrze wykształconych ludzi, otwartych na siebie, Europę i świat. Dobry adres dla inwestorów, którzy szukają przychylności dla swoich planów i solidnych ludzi do ich realizacji. (tm)

Jubileusz 25-lecia „Wiadomości Kościańskich”, pisma regionalnego świętowano w odremontowanej sali Kościańskiego Ośrodka Kultury. To był wieczór pełen wspomnień i wzruszeń. Wtorkowy benefis stanowił okazję do przypomnienia początków pisma, ludzi je tworzących, najważniejszych przedsięwzięć i wyjaśnienia, na czym polega jego fenomen

Prowadzący uroczystą galę Paweł Sałacki przypomniał początki pisma. Pomysł jego stworzenia narodził się 23 kwietnia 1988 r. podczas imienin Jerzego Zielonki. Sam gospodarz przekonywał, że Kościan musi mieć gazetę, nie kiedyś w przyszłości, ale teraz, już. Udało mu się przekonać dwóch decydentów: Henryka Bernarda, ówczesnego pierwszego sekretarza Komitetu Miejskiego PZPR i Józefa Jurgę, przewodniczącego Miejskiej Rady Narodowej oraz Jerzego Wizerkaniuka, kierownika oddziału „Gazety Poznańskiej”, którego przez akklamację wybrano naczelnym nieistniejącego jeszcze pisma. W dwa miesiące uporali się z wszystkimi formalnościami i w czerwcu 1988 r. ukazał się pierwszy numer „Wiadomości Kościańskich”, liczący zaledwie 8 stron. Pierwszym wydawcą była Miejska Rada Narodowa.

O tworzeniu czasopisma i ludziach z nim związanych Paweł Sałacki rozmawiał z jego współtwórcami: Jerzym Wizerkaniukiem, Jerzym Zielonką i Bogdanem Ludowiczem. Cała czwórka zasiadła przy honorowym stoliku.

- Chcieliśmy wystartować na wybory parlamentarne i to się nam udało. Pierwsza gazeta rzeczywiście była skromniutka, składana i drukowana na „starożytnych” maszynach - kosztowała chyba z 50 złotych. Kolejne numery miały już 16 stron, 24 strony. Bardzo szybko się to rozwijało, nakład rósł. Gazeta się przyjęła - wspominał naczelnik „Wiadomości...”.

- To nie było tak, że wymyśliliśmy sobie gazetę. Na tych imieninach przy ulicy Świętego Ducha było szerokie grono ludzi o różnych poglądach, którym jednak zależało, by Kościan miał gazetę, w tym gronie znajdowali się doktor medycyny Henryk Florkowski i znany regionalista Marian Koszewski. Mieliśmy plany, marzenia,

Benefis „Wiadomości Kościańskich”



Od lewej: Jerzy Wizerkaniuk, Bogdan Ludowicz, Jerzy Zielonka i Paweł Sałacki.

Fot. Teresa Mastowska

gotową koncepcję, ale tej gazety by nie było, gdyby ktoś tego organizacyjnie nie „pociągnął” i zrobił to Jurek Wizerkaniuk, bez którego byśmy sobie nie poradzili – dodał Jerzy Zielonka.

Początkowo czasopismo pełniło rolę informacyjną, a dziś koncentruje się na historii, kulturze, zagadnieniach społecznych. Przez lata „Wiadomości Kościańskie” współtworzyli i związani z pismem byli znani dziennikarze i publicyści, m.in.: o. Jan Bereza, Seweryn Biegański, Jan Biłos, Rafał Frąckowiak, Piotr Grochmal, Tadeusz Jąder, Piotr Kurek, Dariusz Łukaszewski, Witek Łukaszewski, Waldemar Kurowski, Andrzej Niczyperowicz, Barbara Sadłowska, Marek Szymański, Marek Zieleniewski, grafik Grzegorz Pawlak.

Duży wpływ na profil czasopisma mieli regionaliści i historycy, w tym: dr Piotr Bauer, dr Leon Chojnacki, dr med. Henryk Florkowski, Antoni Kaźmierczak, Marian Koszewski, Magdalena Lajszner, Kazimierz Mikołajczak, Jan Pawicki, prof. Bolesław Polak, dr med. Andrzej Szymanowski, dr Krystyna Winowicz, Zdzisław Witkowski, Zdzisław Wojtczak i Hubert Zbierski. Do zespołu dołączyli m.in.

poeta i tłumacz Eugeniusz Wachowiak z Poznania, poeta Tadeusz Hofmański z Lipna, pisarz emigracyjny Adam Tomaszewski z Toronto oraz dziennikarz Radia Wolna Europa Maciej Morawski z Paryża. Jak podkreślił prowadzący galę, zasługą „Wiadomości...” jest to, że łączyły ludzi o różnych poglądach i życiorysach.

- Umiejętność dogadania się ponad podziałami jest cechą kultury człowieka. Jeśli zaczęlibyśmy rozmawiać na tematy wzajemnie się drażniąc, nie byłoby tej gazety; podobnie jest teraz – przyznał redaktor Zielonka.

- Byliśmy otwarci na ludzi. Pisaliśmy o rzeczach, które przed nami niewielu zauważało, że wspomnę prawdę o Katyniu i o Władysławie Broniewskim. I to były rzeczy, które przechodziły przez cenzurę. Wszyscy byliśmy regionalistami, kochaliśmy Ziemię Kościańską i to nas cementowało – zauważył Wizerkaniuk zapytany o to na czym polegał fenomen „Wiadomości...”. Przez dwa lata z okładem każdy numer „WK” był reklamowany w „Teleexpressie”.

*

Z taśmy popłynęły też wspomnienia Zdzisława Wojtczaka, wieloletnie-

go zastępcy redaktora naczelnego i Piotra Gabryela, ówczesnego dziennikarza miesięcznika „Reporter”, a obecnego zastępcy redaktora naczelnego czasopisma „Do Rzeczy”. Zapis radiowej relacji z meczu piłki ręcznej pozwolił przywołać pamięć o Józefie Kubickim, długoletnim sekretarzu redakcji „WK”, który bez wątpienia był aniołem stróżem czasopisma.

- Nie sądziłem, że jeszcze kiedyś usłyszę Józia... – powiedział Jerzy Wizerkaniuk nie kryjąc wzruszenia. – Był wielkim przyjacielem i mojego ojca, i moim. Nasze relacje były jak ojca i syna. W redakcji gonił mnie do roboty i porządków, ale gdy ich nie zrobiłem, porządkował wszystko sam. Był wspaniałym przyjacielem.

Tym, co przez wiele lat wyróżniało „Wiadomości Kościańskie” od innych miesięczników były okładki, tworzące swoistą galerię znanych Kościaniaków.

- Fotografowało się czasem lepiej, czasem gorzej. Pamiętam doktora Florkowskiego, bo jego się trudno fotografowało, a także Mariana Koszewskiego, bo był zawsze uśmiechnięty. Chyba najtrudniej mi się fotografowało znaną kościańską zakonnicę siostrę Klarę. To był święty człowiek – przyznał Bogdan



Pani Teresa Wiśniewska.

Fot. Teresa Mastowska

Ludowicz, który wykonał większość fotografii na okładkę.

*

Podczas jubileuszowego benefisu przypomniano historię narodzenia się nagród „Wiadomości Kościańskich”, którymi wyróżniane są osoby nieprzeciętne i dobrzy gospodarze. Otrzymało je już kilkadziesiąt osób różnych profesji i pasji, których łączy to, że są nieprzeciętni w tym, co robią i odcisnęli pozytywne piętno w krajobrazie Ziemi Kościańskiej. Początkowo laureaci otrzymywali nagrody finansowe, a dziś nieprzeciętnym wręczana jest statuetka, przedstawiająca stronę tytułową pisma zaprojektowana przez artystę plastyka Michała Gołąbka, a dobrym gospodarzom – drewniana rzeźba Mariana Malińskiego.

- Początki były skromne, a w kopertach była gotóweczka, ale nie pamiętam, jaka to była kwota. Pomysł na wręczanie statuetek narodził się, gdy przyznaliśmy pierwszą nagrodę za przedsiębiorczość – powiedział redaktor naczelny „WK”, a Jerzy Zielonka przypomniał, że pierwszą nagrodę „Za serce” otrzymała siostra Klara. – Pierwsze rozdanie nagród odbyło się w sali szpitala, a wręczał

je ówczesny wojewoda leszczyński Eugeniusz Matyjas. Nie ma żadnego regulaminu nagród. Jeśli jest człowiek zasługujący na nagrodę, to znajdzie się i odpowiednia kategoria.

*

O oprawę uroczystości zadbał Janusz Dodot z Kościańskim Teatrem Kameralnym, którego aktorzy wystąpili w kilku etiudach scenicznych. Zagrał też i zaśpiewał Witek Łukaszewski, długoletni współpracownik „Wiadomości Kościańskich”, człowiek z okładki i laureat nagrody „Za nieprzeciętność”. Wyznał on, że kocha „WK” i zdradził, że jego przygoda z pisaniem zaczęła się właśnie w Kościanie u Jurka Wizerkaniuka. Usłyszeliśmy m.in. utwory z płyt „Cafe Poema” i „Norwid nasz codzienny”. Na bis cała sala odśpiewała „Zegarmistrza światła”. Na dodatek współpracowniczka pisma Teresa Wiśniewska z Racotu zaskoczyła wszystkich okolicznościową deklamacją rymowanki poświęconej „Wiadomościom Kościańskim”, która napisała podczas gali.

Jubileusz był okazją do wręczenia wyróżnień. Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego przyznał zespołowi redakcyjnemu „WK” odznakę honorową „Zasłużony dla Kultury Polskiej”. Wręczyli ją wspólnie postowie

Małgorzata Adamczak i Wojciech Ziemiak. Zarząd Województwa Wielkopolskiego wyróżnił współtwórców pisma: Bogdana Ludowicza, Jerzego Wizerkaniuka i Jerzego Zielonkę odznakami „Za Zasługi dla Województwa Wielkopolskiego” za znaczący dorobek dziennikarski i popularyzowanie historii Wielkopolski.

Jubileuszowe adresy dziękczynne wręczono stałym współpracownikom „Wiadomości...”: Tadeuszowi Hofmańskiemu, Teresie Masłowskiej, Leszkowi Michalczakowi, Jolancie Napierale, Janowi Pawickiemu, Grzegorzowi Pawlakowi, Pawłowi Sałackiemu, Teresie Wiśniewskiej, Alicji Żurek i Katarzynie Żurek. Dziękowano też reklamodawcom, którzy wspierali i wspierają „Wiadomości Kościańskie”.

List gratulacyjny od Prezydenta RP Bronisława Komorowskiego odczytał Janusz Dodot. Zaproszeni goście dziękowali redakcji za wierność prawdzie, za wkład w dokumentowanie historii regionu, życząc wielu lat dalszej, owocnej pracy, pozostawania wiernymi tradycjom Ziemi Kościańskiej i zaszczepiania miłości do małej Ojczyzny.

KARINA JANKOWSKA



Muzyk i publicysta Witek Łukaszewski.

Fot. Teresa Mastowska



Ku prawdzie

Przemawia dyrektor Gabinetu Kierownika Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych – Jacek Dziuba; siedzą od lewej: burmistrz Michał Jurga, prezes Zarządu Głównego Towarzystwa Pamięci Powstania Wielkopolskiego – Stefan Bartóg, dr Marek Rezler, prof. Bogusław Polak i prof. Andrzej Kunert.
Fot. Jerzy Zielonka

Ogólnopolskie Seminarium Historyków Powstania Wielkopolskiego 1918-1919 nt. „Ku prawdzie. Historycy powstania wielkopolskiego w pamięci następców”, które odbyło się 18 lutego 2014 r., stanowiło ostatni akcent obchodów 95. rocznicy wybuchu zwycięskiego zrywu Wielkopolan. Organizatorami konferencji byli: Burmistrz Miasta Kościana, Starosta Kościański i Wójt Gminy Kościan, a patronami honorowymi: dr Jan Stanisław Ciechanowski - kierownik Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych, prof. Andrzej Kunert - sekretarz Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, marszałek województwa wielkopolskiego Marek Woźniak i wojewoda wielkopolski Piotr Florek.

Przypomnijmy, że seminaria kościańskie są od wielu lat najważniejszą konferencją naukowców zajmujących

się badaniem powstania. Pomysł zrodził się w Kościanie w 1972 r. z inicjatywy historyków Bogusława Polaka i Piotra Bauera, a patronowali mu prof. dr hab. Zdzisław Grot z Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu i kpt. Jan Witkowski, prezes powiatowej organizacji kombatanckiej. Do 1978 r. seminaria odbywały się co roku w Kościanie, a później - z uwagi na niesprzyjające okoliczności polityczne - organizowano je już nieregularnie w Lesznie, Koszalinie, Gnieźnie.

Celem pierwszej było m.in. powołanie zespołu redakcyjnego „Słownika biograficznego powstańców wielkopolskich”. Od tego momentu

rozpoczął się ciekawy okres w dziejach badawczych związanych z powstaniem wielkopolskim - przypominał burmistrz Kościana Michał Jurga. - Naukowcy będą dziś mówić o historykach, którzy rozpoczęli procesy badawcze powstania. Nasza wspólnota samorządowa

podejmuje działania, aby pamięć o powstaniu trwała w umysłach także najmłodszych pokoleń.

- Żadne inne powstanie poza wielkopolskim nie doczekało się takich publikacji, jak słownik biograficzny i imponującego dzieła, jakim jest lista strat. I słusznie, bo to się powstaniu wielkopolskiemu należy - podkreślił prof. Andrzej Kunert, sekretarz Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa. - Jako Rada zajmujemy się utrwalaniem pamięci. Staramy się pamiętać o tych, którzy pamiętali, troszczyli się o pamięć, utrwalali ją i przekazywali następcom. Staramy się też honorować tych, którzy dbają o pamięć.

*

Złote medale „Opiekun Miejsc Pamięci Narodowej” wręczono: Henrykowi Bartoszewskiemu, Markowi Goryniakowi, Krzysztofowi Handke, Zenonowi Józwiakowi, Michałowi Jurdze, Teresie Masłowskiej, Michałowi Polakowi, Jarosławowi Wawrzyniakowi i Wawrzyńcowi Wierzejewskiemu, a srebrną Jakubowi Staszakowi.

Medalami „Pro Patria” uhonorowano: prof. seniora UAM Zbigniewa Dworeckiego, dr. Wojciecha Grobelskiego - podpułkownika Straży Granicznej, burmistrza Michała Jurgę, dr. Zdzisława Kościańskiego z Towarzystwa Powstania Wielkopolskiego z Kościana, dziennikarkę Teresę Masłowską, Jana Pawickiego - emerytowanego prawnika i regionalistę, prof. seniora UAM Bernarda Piotrowskiego, historyka i publicystę TVP dr. Marka Rezlera, Piotra Ruszkiewicza - przewodniczącego Rady Miejskiej Kościana, Wawrzyńca Wierzejewskiego - wydawcę, grafika



Odnaczeni, od lewej: Zenon Józwiak z Leszna, Jacek Wawrzyniak z Leszna, Wawrzyniec Wierzejewski z Poznania, Teresa Masłowska z Poznania i Jakub Staszak z Jarocina.
Fot. Bogdan Ludowicz

i popularyzatora historii i Huberta Zbierskiego ze Śmigła – emerytowanego nauczyciela. Natomiast odznaki honorowe Towarzystwa Pamięci Powstania Wielkopolskiego „Wierni Tradycji” odebrali: Michał Jurga, Jan Pawicki i Jerzy Zielonka.

*

W programie tegorocznego, osiemnastego seminarium wygłoszono 12 referatów. Były to wspomnienia o nieżyjących już osobach, które badały dzieje powstania. Przewodniczącym komitetu naukowego seminarium był prof. Bogusław Polak. Dr Jakub Staszak opowiedział o dorobku Zygmunta Wieliczki, dr Marek Rezler o doc. Tadeuszu Grygierze, prof. Janusz Karwat o Tadeuszu Jabłońskim. Wspomnienie o Zygmuncie Wygockim i prof. Antonim Czubińskim wygłosił prof. Bogusław Polak, Zenon Józwiak mówił o Włodzimierzu Lewandowskim, Kamila Czechowska o dr. Ludwiku Gomołcu, prof. Zbigniew Pilarczyk o prof. Benononie Miśkiewicz, prof. Michał Polak o dr. med. Janie Basińskim, red. Jerzy Zielonka o dr. Piotrze Bauerze, dr Zdzisław Kościański o Ignacym Andrzejewskim, a dr Waldemar Handke o płk. Stefanie Jellencie.

Tego samego dnia młodzież kościańskiego liceum spotkała się z prof. Andrzejem Kuhnertem.

*

- Mówimy o osobach, których już nie ma, ale które nas zainspirowały. Taki był profesor Zdzisław Grot, na zajęcia którego trafiłem na czwartym roku. Byliśmy dumni, że wyszliśmy spod jego skrzydeł – przyznał dr Marek Rezler, skupiając się na postaci docenta Tadeusza Grygiera. - Zawsze traktował nas po ojcowsku. Był osobą, którą się szanowało i przed którą czuło się respekt. Z jednej strony był bezpośredni, a z drugiej narzucał dystans. Zawsze miał własne zdanie. Imponowało nam, że miał silne poczucie etyki. To on uratował wtórniki dokumentów i proponuję, by na dwudzieste seminarium wydać jego teksty z komentarzem naukowym. Na temat powstania jeszcze nie wszystko napisano. Choć z zespołu, który zaczynał w 1972 roku seminaria zostało nas tylko dwóch, czacha nam dymi. Mamy wiele pomysłów, nie odpuścimy i będziemy kontynuowali dzieło profesora Grota i docenta Grygiera. (kar)

Kolekcjoner



Stanisław Bajstok: „Brakuje mi Skierniewic...”.

Fot. Katarzyna Żurek

Kolekcjonerstwo ma dwa etapy. Pierwszy, amatorski; płytszy i krótszy. Etap ten można nazwać zbieractwem i albo szybko mija, albo w zbieraczu budzi się duch prawdziwego kolekcjonera. Kolekcjoner to pasjonat o szerokiej i głębokiej wiedzy na dany temat. Pasja taka ma swoje jasne i ciemne strony. Pozytywnie wpływa na naszą aktywność intelektualną i społeczną, ale łatwo można wpaść w pułapkę i doprowadzić swój portfel do ruiny.

- Kolekcjonerstwo zawsze mnie pasjonowało - opowiada Stanisław Bajstok z Kościana. Już w szkole podstawowej, w latach 70., zbierałem różne rzeczy jakie za czasów PRL- u można było zbierać. Widokówki, znaczki, etykiety; później doszły do tego monety i banknoty.

W połowie lat 80. rozstał się ze swoją pasją. Na jakiś czas. W roku 2003 wrócił do zbierania. To był drugi etap wtajemniczenia. Obudził się w nim prawdziwy kolekcjoner – profesjonalista.

- Zainteresowało to mojego syna. Chciałem go ukierunkować. Początkowo skupiłem się na numizmatyce. Zacząłem od kupna katalogów. Okazało się, że są rzeczy, których kiedyś w ogóle nie można było dostać. Internetowe aukcje znacznie to ułatwiły. Kiedyś można było liczyć tylko na to, że ktoś wyciągnie rodzinne pamiątki z szuflady. Internet umożliwił zawieranie nowych znajomości środowisku kolekcjonerskim, a także sprzedaż i kupno ciekawych przedmiotów. Wciągnęło mnie to po raz drugi.

W roku 1995 Narodowy Bank Polski

rozpoczął emisję okolicznościowych monet o nominale 2 złotych. Oprócz wartości kolekcjonerskiej, mają też status monet obiegowych. W sumie jest ich już ponad 250. W tym roku planowane jest zakończenie emisji dwuzłotówek i zakończenie ich bilonem okolicznościowym o nominale 5 złotych. Zostały wydane z okazji przeszłych i obecnych wydarzeń w kraju, przypominają wybitne osobistości, zabytki kultury i tradycję. Polska droga do wolności, Wielkie bitwy, Herby województw, Historia jazdy konnej, to tylko niektóre z szerokiej tematyki. Gromadzenie tej części zbiorów rozpoczął od okolicznościowych „dwójek”.

- Zawsze pasjonowałem się historią. W międzyczasie wpadło mi trochę monet i banknotów sprzed wojny, z okresu PRL-u. Postanowiłem to wszystko pozbierać i stworzyć zbiór zamknięty. Jak postanowiłem, tak uczyniłem. Mam wszystkie monety od roku 1949 do 1989 r. Mam na myśli monety w nominałach, które w danym roczniku zostały wybite. Pierwsza kolekcjonerska moneta z PRL-u, która mi się trafiła to było 100 zł. z 1964 r.

Jest tego sporo. Zamknięte w katalogach, posegregowane, opisane. Komplectowanie tej całej serii zajęło mu dziesięć lat. Ale ludzie przynosili także medale, odznaczenia, różne pamiątki rodzinne. Skłonił się wtedy ku falerystyce.

Falerystyka to dyscyplina pomocnicza ["http://pl.wikipedia.org/wiki/Historia"](http://pl.wikipedia.org/wiki/Historia) \o "Historia" historii, zajmująca się ["http://pl.wikipedia.org/wiki/Order"](http://pl.wikipedia.org/wiki/Order) \o "Order" orderami,

.org/wiki/Odznaczenie" \o "Odznaczenie" odznaczeniami i innymi "http://pl.wikipedia.org/wiki/Odznaka" \o "Odznaka" odznakami i znakami honorowymi, nadawanymi osobom zasłużonym dla "http://pl.wikipedia.org/wiki/Monarchia" \o "Monarchia" monarchy, państwa lub innej organizacji posiadającej prawo nadawania odznaczeń. Podobnie jak "http://pl.wikipedia.org/wiki/Weksylologia" \o "Weksylologia" weksylologia, wyodrębniła się z "http://pl.wikipedia.org/wiki/Heraldyka" \o "Heraldyka" heraldyki, zachowując wspólne z nią metody badawcze.

Dzięki cierpliwości i konsekwencji pana Stanisława zaczął powstawać zbiór pod nazwą „Polskie odznaki miast wojewódzkich i województw w okresie od 1948 do 1989”. Trzeba było wziąć pod uwagę podział administracyjny kraju. W latach 1950-1975 r. funkcjonowało 17, w 1975 roku utworzono aż 49 województw.

Tak w domu Stanisława Bajsztoka powstaje nietypowa mapa Polski. Tworzą ją odznaki, ułożone zgodnie z porządkiem geograficznym i administracyjnym kraju.

- Dzięki tej pasji poznałem wielu ciekawych ludzi z całej Polski. Każdego dnia sprawdzam aukcje internetowe. Bardzo łatwo można zdobyć pamiątki z Poznańskiego, Warszawskiego czy Katowic. Rzadko natomiast trafiają się odznaczenia z małych województw. Skierniewice są takim przykładem. Pewnie nie było tam wielkiego przemysłu, może mało się działo, nie było więc wielu odznaczonych. Wciąż poluję na skierniewicką odznakę. Jak dotąd bezskutecznie. Jak dotąd na aukcji jej nie widziałem. Chełmskie, Sieradzkie, Siedleckie - też było trudno, ale te już mam w kolekcji. Poza tym za każdą z takich oznak kryje się przecież człowiek. Często szukam informacji, kim byli ci ludzie, to naprawdę wciąga. Poza tym kolekcjonerstwo uczy cierpliwości i wytrwałości, a mnie po prostu cieszy, dlatego to robię - uśmiecha się Stanisław Bajsztok.

KATARZYNA ŻUREK

* W poprzednim wydaniu „Wiadomości Kościańskich” ukazał się artykuł pt. „Święta zwykłego człowieka” Jego bohaterem był właśnie pan Stanisław Bajsztok, którego nazwisko nie ukazało się w druku. Przepraszamy.

Śladami zbrodni stalinowskich



Od stycznia bieżącego roku na stronie internetowej Światowego Związku Armii Krajowej Okręg Wielkopolska można zobaczyć prezentację multimedialną dotyczącą śladów zbrodni komunistycznych pozostawionych w dwóch budynkach zaanektowanych w okresie stalinowskim przez organa bezpieczeństwa.

Prezentacja jest efektem prac przeprowadzonych przez grupę badawczą pod kierunkiem prof. Edwarda Skibińskiego z Instytutu Historii UAM. Należą do niej również archeolodzy – Patrycja i Arkadiusz Klimowiczowie, absolwenci Instytutu Archeologii UAM, dr Aleksandra Kuligowska historyk pracujący poznańskim Oddziale IPN oraz Zbigniew Kalarus, wspierający grupę wiedzą techniczną. Ekipa badawcza powstała w momencie, gdy kolejne Oddziały IPN-u zaczęły realizować projekt dr hab. Krzysztofa Szwagrzyka, dotyczący poszukiwania nieznanymi miejsc pochówku ofiar zbrodni stalinowskich. Okazało się, że w Wielkopolsce w tym zakresie należy zacząć od początku, a więc od ustalenia topografii organów bezpieczeństwa w mieście. Dzięki połączeniu wiedzy i doświadczenia przedstawicieli dwóch dyscyplin badawczych – historii i archeologii udało się wypracować metody, dzięki którym odszukano ślady po działalności

systemu totalitarnego z lat 1945-1956 w dwóch obiektach w Poznaniu. Prace ułatwiło dofinansowanie projektu ze strony Samorządu Województwa Wielkopolskiego, które umożliwiło szczegółowe przebadanie piwnic dwóch budynków, mieszczących niegdyś areszty śledcze: obecnego Szpitala im. Św. Rodziny oraz Collegium Iuridicum Altum.

*

Budynek pierwszy mieszczący się w kwadracie ulic Niegolewskich, Jarochońskiego, Bogusławskiego, Szczanieckiej, powstał jako klasztor sióstr karmelitanek bosych, a jego budowa zakończyła się w końcu lat dwudziestych XX wieku. Po wybuchu wojny siostry zostały w większości wysiedlone do GG, natomiast w gmachu Niemcy ulokowali Okręgową Szkołę Muzyczną z internatem. Gdy w styczniu 1945 roku wojska niemieckie stopniowo zaczęły być wypierane z południowych dzielnic miasta, a następnie wycofywać się z części zachodnich w rejon cytadeli, na Łazarzu komuniści zaczęli budować zręby lokalnej władzy. Swoją działalność rozpoczęła PPR. Jednocześnie do Poznania 30 stycznia dotarła kilkunastoosobowa grupa ludzi z Lublina, dowodzona przez ppłk Stanisława Szota, która przybyła do miasta by zorganizować Urząd Bezpieczeństwa Publicznego. Na swoją siedzibę obrała budynek poklasztorny karmelitanek. Do końca marca 1945 roku w gmachu mieścił się zarówno miejski, jak i wojewódzki UB.

Dopiero, gdy udało się odsłonić przywalone gruzami budynki na ul. Kochanowskiego 2a WUBP mógł się przenieść do nowej siedziby, zaś przy Niegolewskich do końca grudnia 1945 roku pozostał MUBP. Od stycznia 1946 roku gmach był użytkowany jako poliklinika WUBP, a następnie poliklinika MSW. Wkrótce przeniesiono ją jednak do obszerniejszego i lepiej wyposażonego miejskiego szpitala przy ul. Łąkowej. Z kolei ten ostatni ulokowano w o wiele gorszych wówczas warunkach w budynku przy ul. Niegolewskich, gdzie od roku 1952 pozostał jedynie oddział ginekologiczny. Obecnie w budynku mieści się Szpital Położniczo-Ginekologiczny im. Świętej Rodziny.

*

O zbrodniczej działalności funkcjonariuszy UB, dokonywanej we współpracy z NKWD świadczyły najpierw makabryczne odkrycia dokonywane przez pracowników szpitala podczas próby zagospodarowania przyszpitalnego ogrodu oraz rozbudowy obiektu, a następnie dwie ekshumacje, przeprowadzone w 1991 roku. Pierwsze znaleziska mimo zgłoszenia Milicji Obywatelskiej zawsze kończyły się w ten sam sposób: albo wywiezieniem kości w nieznanie miejsce, albo nakazem zakopania ich głębiej. Jednocześnie za każdym razem wszystkich świadków obejmowano całkowitym rozkazem milczenia, wzmacnianym groźbami. Dopiero ekshumacje z roku 1991 – zwłaszcza druga, prowadzona pod fachowym nadzorem – wyjawiały mordercze praktyki tutejszych funkcjonariuszy.

W relacjach świadków zebranych przez Okręgową Komisję Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu Instytutu Pamięci Narodowej w Poznaniu powtarzało się jedno stwierdzenie, że jeszcze długo po tym jak z tego miejsca wyprowadził się wojewódzki a następnie miejski UB na ścianach pomieszczeń, w których dawniej urządzono cele aresztu widniały inskrypcje pozostawione tu przez więźniów. Te informacje spowodowały, że wspomniana wyżej grupa badawcza podjęła się odszukania tych śladów i ich zadokumentowania. Dzięki przychylności dyrekcji szpitala Ginekologiczno-Położniczego im. Świętej Rodziny uzyskano najpierw rzuty płaskie piwnic budynku by móc je porównać z relacjami świadków oraz zeznaniami złożonymi w Okręgowej Komisji. W poszczególnych pomieszczeniach pracowały po dwie osoby sprawdzając najpierw dokładnie wszystkie ściany. Jedynie w jednym miejscu pozostały nienaruszone od 1945 roku tynki. W pozostałych pomieszczeniach już wcześniej przeprowadzono remonty, co tym samym uniemożliwiło odszukanie w nich inskrypcji.

Miejsce, w którym dotychczas nie otynkowano ścian zajmuje niewielką przestrzeń pod schodami. Świadczenie zeznający przed Okręgową Komisją wspominali o nim jako o schowku na miotły, w którym przetrzymywano więźniów. Na ścianie naprzeciwko drzwi dał się zauważyć gołym okiem sporych rozmiarów krzyż. Dalsze dokładne oględziny z użyciem różnobarwnych lamp ujawniły fragmenty inskrypcji wpisanych w zarys przypominający twarz. Dopiero jednak dokumentacja fotograficzna przeprowadzona z oświetleniem odpowied-

nie dostosowanych lamp oraz użycie oprogramowania komputerowego i uzyskanie za jego pomocą „efektu termowizji” pozwoliły na rekonstrukcję napisu. Było to wezwanie „M[atko] B[oska] nie opuszczaj NAS” oraz słowa modlitwy „Pod Twoją obronę uciekamy się”. Dalsze inskrypcje odnaleziono na przekazanej do Oddziału IPN desce drewnianej pochodzącej z dolnej części drzwi płycinowych. Wykonano je techniką nakłuwania małych otworków układających się w litery. W ten mozolny sposób na desce wykonano krzyż z sercem pośrodku, otoczony cierniem, datę, oraz kilka inicjałów. Dokładne zdjęcie z osobno wydzielonymi częściami deski można obejrzeć na wspomnianej stronie internetowej.

*

Drugim obiektem, którego piwnicom przyjrzała się grupa badawcza jest gmach obecnego Collegium Iuridicum Altum. Budynek ten powstał w 1908 roku jako siedziba Krajowego Banku Spółdzielczego Spółki Raiffeisen i wpisnął się w pruską politykę cywilizacyjnego „podnoszenia” prowincji poznańskiej na czele z jej stolicą. Wówczas od roku 1902, czyli od momentu, gdy zapadła decyzja o usunięciu wałów z obecnego centrum miasta, do roku 1910 wzniesiono w Poznaniu kompleks reprezentacyjnych budynków z zamkiem cesarskim na czele. Po I wojnie po wielu perypetiach w gmachu Raiffeisena zlokalizowano Wydział Prawno-Ekonomiczny nowopowstałego Uniwersytetu Poznańskiego. Jednakże gospodarzem budynku pozostawał Krajowy Bank Spółdzielczy.

Po wybuchu II wojny światowej Niemcy zlikwidowali UP, jego majątek w całości zagrabili, zaś budynek przekazali na cele bankowości niemieckiej. Natomiast po zakończeniu wojny władze komunistyczne uznały, że gmach powinien pełnić funkcję, do jakiej został powołany i przekazały go Bankowi Spółdzielczemu „Społem”. Nowy właściciel budynku utrzymał go do roku 1949, gdy zapewniono go kolejnej instytucji – Milicji Obywatelskiej. Ta dostosowała zwłaszcza przestrzeń piwniczne do własnych potrzeb. W miejscu, w którym na początku XX wieku niemieccy architekci zaprojektowali bufet, kasyno, czytelnię i piwiarnię dzięki zainstalowaniu ścianek działowych zbudowano 13 cel wyposażonych w metalowe drzwi z judaszem. Milicja była właścicielem budynku aż do wypadków poznańskich z czerwca 1956 roku. Po nich gmach został zwrócony Uniwersytetowi, który jest jego właścicielem po dzień dzisiejszy.

Na ścianach tego budynku zachowało się nieporównywalnie więcej inskrypcji niż w poprzednim obiekcie. Każda „cela” zawierała różnego rodzaju napisy. Metodyka badań była tu taka sama. W każdym z pomieszczeń pracowały po dwie osoby sprawdzając przy pomocy odpowiedniego oświetlenia każdy centymetr ściany. Niektóre z nich zostały przemalowane jedną warstwą farby, co jednak nie przeszkodziło w rekonstrukcji napisu. W niektórych miejscach inskrypcje były jednak mocno zniszczone, przekreślane, czy wręcz wtórnie (celowo?) uszkodzone. W takich wypadkach szczególnie cenne okazały się zdobycze techniki, a zwłaszcza programy komputerowe. Spośród kilku rodzajów odnalezionych tu inskrypcji wyróżnić można wezwania, inicjały, kalendarze – zarówno w formie zapisanej cyfrą i pierwszą literą dnia tygodnia jak i pionowymi kreskami, inicjały, daty, całe imiona i nazwiska, czy nawet rysunki. Niestety autorzy tych swoistych zapisków pozostają w dalszym ciągu anonimowi.

W przypadku piwnic obecnego Iuridicum warto wspomnieć, że do dziś zachowały one nie tylko wygląd i stan z początku lat 50. gdy mieściły areszt śledczy MO, ale też i sporo elementów wyposażenia wnętrza. Oprócz np. metalowych drzwi z wizjerem, również otwory w ścianach na charakterystyczne dla więziennictwa lampy, oplecione metalową osłoną. Część z pomieszczeń dawnego aresztu MO została zresztą przekazana przez UAM na cele muzealne i być może wkrótce będzie funkcjonowała jako forma skansenu.

Na koniec w imieniu całej grupy badawczej pragnę wyrazić apel z prośbą o pomoc w docieraniu do wszystkich tego typu miejsc na terenie Wielkopolski. W tej chwili jednym z najcenniejszych źródeł do badań historycznych nad okresem stalinowskim 1945-1956 są relacje świadków. Apelujemy również do osób posiadających stare piwnice z charakterystycznymi wizjerami, ponieważ mógł się tam znajdować stalinowski areszt tak polskich jak sowieckich organów bezpieczeństwa. Warto pamiętać, że więzienia NKWD i „Siersz” były często umieszczane w prywatnych kamienicach. Wszystkich Państwa, którzy mogą coś wiedzieć na temat miejsc, w których na terenie Wielkopolski urzędowały organa bezpieczeństwa lub NKWD prosimy o przesłanie informacji na adres internetowy: "mailto:komunistyczne.zbrodnie@gmail.com"komunistyczne.zbrodnie@gmail.com

ALEKSANDRA KULIGOWSKA

Dzienniki Macieja Morawskiego (XVIII)

Generałowie wierni, ale mierni

Maciej Morawski, były korespondent paryski Radia Wolna Europa, rodem z Jurkowa, od lat systematycznie pisze dzienniki. Większość zapisków zdeponował w Bibliotece Polskiej w Paryżu. Tradycyjne zeszyty poszły w ką, a Maciej Morawski zamienił pióro na klawiaturę komputera. Poniżej drukujemy kolejny odcinek wyjątków z dzienników pisanych w 2014 r. Czytać je można w całości na internetowej stronie: "<http://www.maciejmorawski.blox.pl>" www.maciejmorawski.blox.pl

4 luty

W związku z opublikowaniem jego testamentu znowu sporo się tu pisze i mówi o Nelsonie Mandeli. Podkreśla się często, że ten bohaterski bojownik w walce z apartheidem, przez 27 lat więzień polityczny, potrafił, gdy nadeszła sprzyjająca pora, współpracować z prezydentem Frederikiem Willemem de Klerkiem, wprowadzić „bezboleśnie” RPA na drogę demokracji i pojednania, na drogę przewyciężenia jakże ostrych przez długie lata podziałów (przypominam, że Mandela był wspólnie z de Klerkiem laureatem pokojowej nagrody Nobla na rok 1993). Mandela - pierwszy naprawdę demokratycznie wybrany i Czarnoskóry prezydent RPA, dał światu wspaniałą lekcję pokojowej transformacji i umiejętności przebaczenia, niedopuszczania do mogących tylko siać zamęt rozrachunków. Mandela zapobiegł temu, by życie RPA paraliżowała plaga wywodzących się z przeszłości nienawiści. A szef Komisji Europejskiej Jose Manuel Barroso i przewodniczący Rady Europejskiej Herman van Rompuy po zgonie Mandeli, we wspólnym oświadczeniu wyraźnie uznali go za jednego w najmądrzejszych polityków naszych czasów, za męża stanu, który dał nam wszystkim ważną lekcję pojednania i głębokiego

człowieczeństwa.

13 luty

Dzięki nadesłanemu przez mego przyjaciela Marcina Libickiego, jednego z najmądrzejszych rodaków, artykułowi z „Głosu Wielkopolskiego” (z 1-2 lutego br.) dowiedziałem się o mającej się odbyć w Kościanie w sobotę III edycji gry miejskiej zatytułowanej: „Kryptonim Wolność”. Chodzi o to, by przypomnieć kluczowe wydarzenie z historii tego naszego (podkreślam: naszego, bo choć mieszkam w Paryżu i kocham go, równocześnie jednak czuję się Kościaniakiem) miasta.

Owo wydarzenie, to śmiała akcja drużyny miejscowych polskich harcerzy. Akcja podjęta ponoć wbrew zakazom pewnej liczby czołowych przedstawicieli starszego pokolenia. Tak, skautom działającym z własnej inicjatywy udało się w nocy z 28 na 29 grudnia 1918 r. rozbroić niemiecki garnizon, wynieść z jego magazynu 33 skrzynie granatów ręcznych, karabiny i karabiny maszynowe, 66 skrzyń amunicji. Niemiecki oddział już bez broni opuścił wkrótce potem miasto. Tym samym zakończył się jakże długi okres zaborów.

Gra miejska „Kryptonim Wolność” jest odtworzeniem tamtych wydarzeń. Zastępca burmistrza Maciej Kasprzak mówiąc o tej inicjatywie ponoć stwierdził, iż na jeden dzień miasto staje się wielką planszą, zamienia się w dawny powstańczy Kościan, Kościan w okresie powstania wielkopolskiego. Już nieraz podkreślałem, jak wysoko cenię cechujący Kościan i całą ziemię nadobrzańską kult regionalnej historii i kult zasłużonych dla Polski wybitnych synów tych okolic. Dziś spieszę przestać moje gratulacje organizatorom i młodym „współfaktorom” tej patriotycznej gry pt.: „Kryptonim Wolność”. Brawo!

14 luty

Film Jana Ledóchowskiego pt. „Wujowie i Inni - Zdraycy i Obszarnicy” (premiera odbyła się 9 lutego

br. w Londynie – dop. TM) wyraźnie budzi zainteresowanie, prowokuje debaty. Dotarły do mnie już do mnie pierwsze echa jego londyńskiej prapremiery. Virydianna Rey telefonicznie dowiedziała się z Londynu, że idzie o film bardzo ciekawy, naprawdę „ważny”. Inna mieszkanka Paryża od londyńskich przyjaciół, którzy byli na prapremierze usłyszała z kolei, że „Wujowie i Inni” to dokument, który zrobił spore wrażenie także na obecnych na sali znających polskie problemy Anglikach.

Gdy chodzi o mnie, to jeden z czytelników tego dziennika postawił mi kilka nieco „agresywnych” pytań. Pierwsze dotyczy tego, czemu zaraz po roku 1989, ku zaskoczeniu mych kolegów i przyjaciół, tak zbliżyłem się do Kazimierza Morawskiego, człowieka (jak ów czytelnik to określił) „mocno umoczonego w tym obrzydliwym PRL-u”. Odpowiem prosto i jasno. Po pierwsze przywiązuję ogromną wagę do więzów rodzinnych, chcę, by rodziny były zwarte. Po drugie - jak już nieraz pisałem, ojciec wpoił mi poczucie, że gdy Polska odzyska niepodległość, trzeba będzie „walczyć” (jak mawiał - kulturalnie) o pojednanie, unikać awantur o przeszłość, które tak zaciążyły na XX-leciu międzywojennym (np. sprawy generała Zagórskiego i generała Rozwadowskiego - najmądrzejszego z naszych generałów, rozumiejącego wymogi przyszłej wojny, człowieka, którego tak nam później zabrakło, bo generałowie Piłsudskiego i Rydza byli „wierni, ale mierni” i nie dostrzegali, ku czemu idzie; tych co ich ostrzegali oskarżali o defetyzm). Jako były pilny obserwator sytuacji i nastrojów w PRL, dobrze zdawałem sobie sprawę z tego, że jednak liczna była w Polsce, taka lub inna, nomenklatura. Wyczuwałem, że „gruba kreska” jest posunięciem rozsądnym, bo rozładuje szkodliwe napięcia. Napięcia przeszkadzające zjednoczeniu narodu w drodze ku Eu-

wino sfera KINO CZARY
ul. Chłodna 31, Warszawa 8, 9 i 15 marca godz. 17.00
tel. 661 411 376

Wujowie i Inni – „Zdrajcy i Obszarnicy”



U Morawskich w Małej Wsi ukrywała się Senator RP żydowskiego pochodzenia. U Horodyńskich w Zbądniowie, SS dokonało krwawej masakry po przyjęciu weselnym. W Powstaniu Warszawskim zginęła 22-letnia Magda Morawska. Po wkroczeniu Armii Czerwonej i NKWD, wysiedleni i napiętnowani jako „zdrajcy i obszarnicy”, wszyscy staneli przed wyborem dalszej drogi życia.



Maciej Morawski wyjechał do Paryża, do ojca Kajetana, byłego Ministra Rządu RP, a po Wojnie Ambasadorem Rządu na Uchodźstwie. Maciej był publicystą i dziennikarzem Rozgłośni Polskiej Radia Wolno Europa. Kazimierz Morawski, brat stryjski Macieja, pozostał w Polsce i działał w koncesjonowanej partii katolickiej ChNS. W filmie opowiada o swojej współpracy z pierwszymi sekretarzami KC PZPR, Edwardem Gierkiem i Wojciechem Jaruzelskim, oraz o spotkaniu na Kremlu przed stanem wojennym. Dominik Horodyński był redaktorem naczelnym Kultury w Warszawie. Pałac w Małej Wsi był ośrodkiem wypoczynkowym Kancelarii Prezesa Rady Ministrów.

Autor Jan Ledóchowski rozmawia także z Janem Lityńskim, wielokrotnie aresztowanym opozycjonistą PRL, i z Anną Konstantową Potocką, aresztowaną przez NKWD.

Film złożony z wywiadów. Scena przemocy. Napisy w języku angielskim. English subtitles.

Bilety 74 zł, dostępne w sklepie Winosfera, oraz rezerwacja w Kinie Czary telefon 661 411 376 www.winosfera.pl
Więcej o filmie na www.ledochowski.eu/wujowie English information on film www.ledochowski.eu/uncles

Afisz filmu o Morawskich

ropie i lepszemu jutru. Napięcia leżące w interesie wrogich nam sił. Napięcia, potęgujące niekiedy szkodliwy, absorbujący uwagę społeczną, odwracający ją od naprawdę współcześnie ważnych spraw – zamęt.

Następne pytanie tego czytelnika dotyczy mej pracy korespondenta informacyjnego. Pyta, czy Pan był „szpionem” i skąd napięcia z tą pracą związane, skąd pański PTSD (post traumatic stress disorder). Sprawa prosta. Zadaniem korespondentów informacyjnych było odkrywać, co się naprawdę w PRL dzieje, przełamywać reżimowe zakłamanie, ujawniać - co było moją specjalnością - walki frakcyjne w partii. Szef biura ewaluacji naszych raportów Kazimierz Zamorski pisał w swej książce pt.: „Pod anteną RWE”: „W Paryżu mieliśmy świetnych współpracowników. Pisaniem z reguły doskonałych albo bardzo dobrych raportów swą karierę radiową zaczął Zygmunt Michałowski (...) a już rekord wytrzymałości – jakości i ilości osiągnął Maciej Morawski”. Dlaczego praca korespondenta informacyjnego była wyczerpująca i nerwowa? Z dwóch przyczyn. Po pierwsze PRL-owcy szastali oskarże-

niami o szpiegostwo. Różnego typu pogroźki godziły szczególnie w nas, oraz działała dezinformacja – głoszono np., że jestem de facto na usługach „Warszawy” czy też, że w roku 1945 byłem groźnym komunistą w Kościanie, dowodzą, że jestem bojowym homoseksualistą, itd., itd. Po drugie, aby zdobywać zakulisowe informacje musieliśmy, jak dobrze wie każdy dziennikarz, chcący dotrzeć do starannie ukrywanych faktów, spotykać i nieraz opłacać ludzi, jakby to powiedzieć „dość dziwnych”. Osobna sprawa, to problem prowokatorów, robiących nam takie lub inne propozycje, np. zorganizowania za dolary sieci tajnych korespondentów w różnych miastach Polski. Na szczęście zarówno

Zygmunt Michałowski jak i ja – mieliśmy „dobrego nosa”.

Trzecie z tych nieco agresywnych pytań czytelnika brzmi: po co taki film, zdominowany przez przychylnie Jaruzelskiemu tezy Kazimierza Morawskiego? Tu muszę zaprotestować. Wszak film ten przynosi też godne uwagi i zupełnie innej orientacji wypowiedzi bohatera przedstawiciela opozycji demokratycznej i byłego więźnia politycznego PRL, Jana Lityńskiego, dalej mój punkt widzenia, czy też ciekawą relację Anny hr. Potockiej, b. więźnia NKWD. Jednym słowem – chodzi o dający świadectwo różnym postawom, w pewnym sensie bardzo brytyjski, dokument historyczny.

16 luty

Burmistrz miasta Kościana, Michał Jurga, przysłał mi zaproszenie na mające się odbyć 18 lutego w Sali Kościańskiego Ośrodka Kultury - osiemnaste już Seminarium Historyków Powstania Wielkopolskiego. Tytuł tej sesji naukowej brzmi: „Ku prawdzie. Historycy powstania wielkopolskiego w pamięci następców”. Widzę, że jej przewodniczącym jest słynny profesor Bogusław Polak, a w Komitecie Naukowym zasiadają

wybitni znawcy tematu a wśród nich np. Waldemar Handke, Rafał Kościański, Jerzy Zielonka. Z kolei w gronie znakomitych prelegentów notuję obecność redaktor Teresy Maślowskiej, autorki książki o mnie: „Łącznik z Paryża. Rzecz o weteranie zimnej wojny”.

Tak więc moje ukochane miasto Kościan w pełni podtrzymuje swą ustaloną reputację ośrodka o szczególnie ożywionym życiu kulturalnym i powiedziałbym patriotyczno-kulturalnym. Wracając do kultu przeszłości, jaki cechuje Kościan, podkreślę, że ostatnio z inicjatywy muzeum regionalnego miało miejsce zwiedzanie miejscowej fary, cennego zabytku bodajże w XIV wieku. Świetnym przewodnikiem po owej farze, i świetnym komentatorem jej dziejów była Natalia Biernacka, studentka V roku historii sztuki. Tu podkreślę, że wnętrza tego kościoła, np. jego ołtarze z okresu XVI – XVIII wieku - naprawdę są wysoce godne uwagi. Od siebie jeszcze dodam, że szczególnie interesują mnie sięgające kilka wieków wstecz związki Kościana, jego kościołów i szpitala z poznańską komandorią Suwerennego, Rycerskiego Zakonu Szpitalników Św. Jana Jerozolimskiego, zwanego Rodyjskim i Maltańskim.

17 luty

Nadal docierają do mnie echa londyńskiej prapremiery filmu Jana Ledóchowskiego pt. „Wujowie i inni - „zdrajcy” i „obszarnicy”. Padają też głosy, że w Warszawie po jednym w pokazów winna mieć miejsce debata z profesorami historii, takimi jak np. Paweł Machcewicz, Andrzej Friszke, Rafał Habielski oraz z ich studentami. Jeden z mych krajowych rozmówców dowodzi, że film „może wywołać burzę a to, jeśli naprawdę ustami Kazimierza Morawskiego przynosi mocną pochwałę postaw i posunięć Jaruzelskiego. Reakcje pewnych skrajnych kół bywają hałaśliwe i ostre”. Z kolei odnotuję, że jak mi dziś przez telefon z Londynu powiedział Jan Ledóchowski, po warszawskich premierach projektowane są też pokazy filmu w Krakowie i w Poznaniu.

Odnoszę wrażenie, że film ów może się w Polsce i gdzie indziej, np. w sferach polonijnych, lecz nie tylko, odbić się dość mocnym echem (co do Polonii brytyjskiej, to z uwagą notuję

rzeczowe, godne uwagi wypowiedzi o nim w „Dzienniku Polskim”), a także jestem przekonany, że chodzi o bardzo nowoczesny, bo audiowizualny dokument historyczno-socjologiczny.

25 luty

Sytuacja na Ukrainie bezustannie ewoluuje. Na bieżąco śledzą ją środki masowego przekazu. W ten wtorek rano chcę i mogę tylko odnotować kilka zjawisk. Po pierwsze wydaje mi się niewykluczone, że ów, tak spektakularny, „pęd Ukraińców ku Unii” i to właśnie teraz, w obliczu nadchodzących wyborów do Parlamentu Europejskiego, będzie miał w naszych krajach pewien wydźwięk polityczny. Być może nieco przyhamuje rosnącą falę eurosceptycyzmu, wykazując ogrom prestiżu Unii. Nie jest to jednak niestety całkiem pewne, bo chęć zbliżenia się Ukrainy do Unii jest tu czasem interpretowana jako potencjalna groźba napływu setek tysięcy Ukraińców. Po drugie: sprawa ukraińska budzi spory niepokój. Niektórzy tutejsi obserwatorzy nie wykluczają możliwości spontanicznego wybuchu ukraińskiej wojny domowej. Są zdania, iż podziały wśród Ukraińców są niewątpliwie wielkie. Do tego Ukrainie grozi katastrofa gospodarczo-finansowa.

Po trzecie uderza mnie, iż pewne zachodnioeuropejskie wpływowo kręgi z wyraźną satysfakcją odnotowują, iż Angela Merkel najwyraźniej „zręcznie manewruje”, odgrywa niewątpliwie kluczową rolę w zabiegach o ostrożne rozładowanie ukraińskiej napięć. Po czwarte: chcę podkreślić fakt, że znaczną rolę w poszukiwaniu rozsądnych dróg wyjścia z tego dramatu odgrywa polski minister spraw zagranicznych, świetnie rozumiejący złożone aspekty tej trudnej sprawy. Radosław Sikorski, mąż stanu, jak słychać, jest wysoce ceniony przez jego francuskiego i niemieckiego kolegów: Laurenta Fabiusa i Franka Waltera Steinmeiera. Gdy idzie o mnie, to przywiązuję duże znaczenie do faktu, iż kluczowe stanowisko ambasadora Unii w Kijowie zajmuje Jan Tombiński, polski dyplomata najwyższej klasy, człowiek o wielkim zdrowym rozsądku.

Wybr. i oprac.

TERESA MASŁOWSKA

Zniszczyć księdza

Ksiądz Florian Kniotek był skromnym, pogodnym człowiekiem. Miał subtelne, inteligentne poczucie humoru. Nie słyszałam z jego ust słowa skargi, narzekania. Nigdy. Dlatego do końca nie uświadamiałam sobie, jak bardzo był chory. Odszedł nagle, nie zdążyłam się z nim pożegnać...

Audycja w radiu Merkury o tym, jak bezpieka próbowała złamać i zniszczyć księdza uświadomiła mi, że był także odważny i silny, potrafił przeciwstawić się funkcjonariuszom Służby Bezpieczeństwa. Zapłacił za to wysoką cenę, bo służby tajnej policji nie wybaczą odmowy.

Kilka lat temu ksiądz Florian wspominał, że zgłosił się do niego historyk Jarosław Burchardt, który w Instytucie Pamięci Narodowej znalazł o nim dokumenty. Był poruszony, ale - jak zwykle - opowiadał o tym z uśmiechem i dystansem. Bezpieka zainteresowała się księdzem, bo przez wiele lat w Paryżu, miał kontakty z wybitnymi ludźmi działającymi na obczyźnie, z „Kulturą” paryską, z Rozgłośnią Radia Wolna Europa. Byłby dla nich cennym źródłem informacji. Założono sprawę operacyjnego rozpracowania pod kryptonimem „Redaktor”. Był jeden problem, nakłonienie go do współpracy, tajniacy nie mieli w zanadru na niego żadnego haka.

W poznańskim Wydawnictwie Pallotynów ksiądz był redaktorem m.in. odpowiedzialnym za opracowanie dzieł papieża. W latach 1976-1984 w pallotyńskim Centrum Dialogu w Paryżu prowadził pismo „Nasza Rodzina”. Tam też poznał Macieja Morawskiego, ówczesnego paryskiego korespondenta Radia Wolna Europa. Zaprzyjaźnili się. Ksiądz często bywał w redakcji RWE. Maciej opowiadał, jak przekazywali sobie kontakty o przybyściach zza żelaznej kurtyny. - Poznaliśmy się dzięki Maciejkowi - zwykł powtarzać. Przyszłam do niego, żeby opowiedział mi o Macieju, kiedy zbierałam materiały do książki „Łącznik z Paryża”.

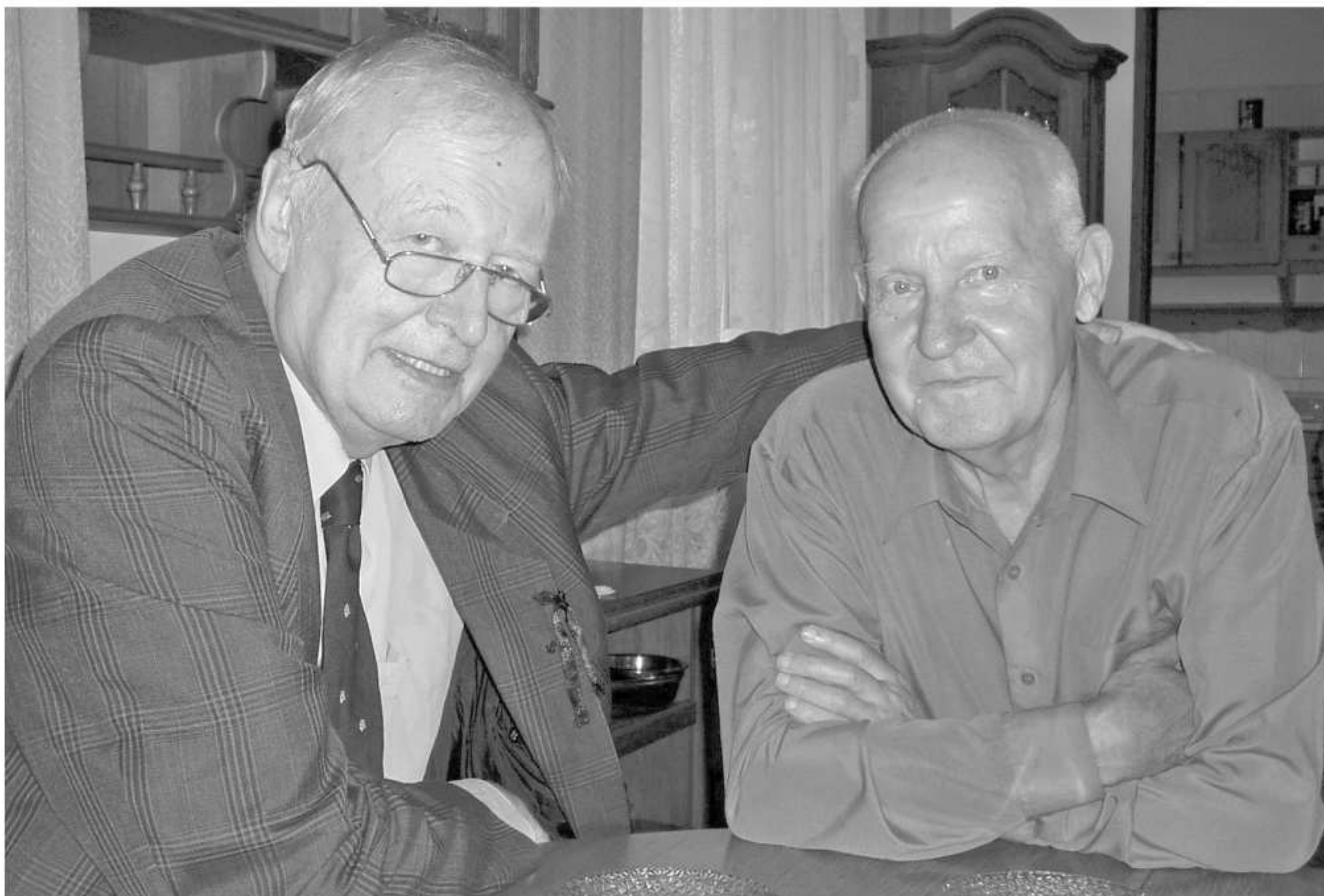
Ksiądz znał wielu wybitnych ludzi, w pallotyńskim Centrum zatrzymywali się przybysze zza żelaznej kurtyny, przyjaźnił się ze Stefanem Kisielewskim, znał Władysława Bartoszewskiego, Czesława Miłosza, z którym przeprowadził interesujący wywiad. Bywał często w Maison Laf-

fitte, Zofia Hertzowa, znana z szorstkiego charakteru, bardzo lubiła księdza Floriana. Był kapelanem w domu dla weteranów II wojny w Lailly en Val, gdzie poznał wielu wspaniałych ludzi, bohaterów II wojny światowej, uchodźców z Chabarowska. Wiele razy namawiałam go, żeby udzielił mi o nich wywiadu, albo żeby w roku Miłosza opowiedział o znajomości z nim. Zawsze odmawiał. - Nie mogę - mówił ze śmiechem: - Bo nie pamiętam, co mi powiedzieli w luźnej rozmowie, a co na spowiedzi. Był dyskretny do bólu.

Służba bezpieczeństwa zwróciła na niego uwagę wskutek donosu przełożonego zakonu Pallotynów, który był tajnym współpracownikiem i powiadomił SB, że ksiądz Kniotek stara się o pracę w Wolnej Europie. Według Macieja Morawskiego, jakby nie było pracownika RWE, więc człowieka zorientowanego, nie było to prawdą. Sprawę „Redaktor” wszczęto 10 maja 1984 roku. I pomyśleć, że zaledwie pięć lat później ten chory system się rozsywał. Ale inwigilacja szła pełną parą. Wśród zakonników byli tajni współpracownicy bezpieki, którzy bardzo księdzu szkodzili. - Spuszczamy psy z łańcucha, czyli tajnych współpracowników, którzy mają węszyć. Meldunki mają być na bieżąco - pisał w sprawozdaniu oficer SB.

Zaczęto kontrolować zagraniczne wyjazdy zakonników, sprawdzać, kto do niego przyjeżdża itd. Sprawą zainteresował się sam major Sosiński, jeden z dowódców Departamentu IV, utworzonego specjalnie do inwigilowania duchowieństwa. Wiedziałam, że go inwigilowano, że donosił na niego świecki współpracownik redakcji, ale nigdy mi nie powiedział, że donosił na niego wysoko postawiony w hierarchii zakonnik. To musiał być dla niego największy cios. Owego księdza TW o pseudonimie „Orkan” złamano na podstawie tzw. materiałów kompromitujących, wyciągnięto przynależność do Armii Krajowej, dezercję z Wojska Polskiego do oddziału żołnierzy tzw. drugiej konspiracji, do tego związek z kobietą, aż nadto, żeby złamać karierę duchownego.

Przez trzy lata obserwowali księdza Floriana, ale wciąż nic na niego nie mieli. Potem był jeszcze ten występ Pallotylna w Radiu Wolna Europa, kiedy wracał z audyencji u papieża, tego dla SB było już



Ksiądz Florian (z prawej) z przyjacielem Maciejem Morawskim w Poznaniu

Fot. Teresa Masłowska

za wiele. Chcieli, żeby donosił, a skoro nie zgodził się, postanowili zabrać mu rzecz najcenniejszą – paszport konsularny. Czadowali na niego i w kwietniu 1986 roku złapali na granicy, kiedy przewoził wydawnictwa bezdebitowe. Utracił paszport i prawo wyjazdu za granicę. Uderzyli celnie, bo ksiądz kochał Paryż, pracę w „Naszej Rodzinie”, poza tym przewoził pieniądze dla opozycji demokratycznej.

Ksiądz chciał jeszcze raz pojechać do Paryża, a jako oficjalny powód podał plan zlikwidowania majątku pozostawionego w Paryżu. Ale „Orkan” czuwał, informując bezpiekę, że ksiądz Kniotek nie posiada żadnego majątku i najpewniej planuje zostać za granicą, żeby działać w opozycji politycznej związanej z „Kulturą” paryską. Bezpieka nie wydała zgody na wyjazd.

Podczas ostatniej feralnej podróży, poza nielegalnymi wydawnictwami, ksiądz Florian wioził także dwa tysiące dolarów. W odprawie celnej zadeklarował, że to na budowę kościoła, ale pieniądze były przeznaczone dla opozycji. TW „Orkan” wpadł na pomysł, żeby sprawdzić, czy ksiądz Florian rzeczywiście przekaże te pieniądze Pallotynom. Przełożony ksiądz

zapropozował pułapkę na księdza...

Bez paszportu konsularnego, nie mógł wyjeżdżać, ani wypisać nikomu zaproszenia, aby umożliwić wyjazd za granicę. Był załamany. - Podcięto mu skrzydła, nie mógł się z tym pogodzić – twierdzi Burchardt.

W zgromadzeniu także został odsunięty na boczny. 26 maja 1986 r. ksiądz odwiedził porucznik Zieliński z IV Wydziału bezpieki w Poznaniu. Zapropozował współpracę z wywiadem, miał wniosek paszportowy księdza. Wystarczyło jedno słowo. Praca w regii była jego pasją, życiem, ale nie wyobrażał sobie donoszenia na kogokolwiek.

Służba Bezpieczeństwa nie tylko odebrała mu pracę, którą kochał, ale w tym trudnym okresie zakonnik nie mógł liczyć – według autorów audycji – na wsparcie braci. Był sam. W raportach bezpieki pisała, że stał się obiektem drwin i żartów poznańskich zakonników, a nowy przełożony uważał „figuranta” za lenia i pasożyta. Powiedział księdzu, że nikt go tu nie trzyma i może prosić prowincjała o przeniesienie. Autorzy stawiają tezę, że służby prawdopodobnie wciąż jątrzyły

przeciwko księdzu, żeby go odsunęto, jeśli nie chcą kłopotów. Przełożeni chronili Wydawnictwo Pallotinum, bo to cenzura decydowała, co i ile mogą wydać. Trzymali się jak najdalej od polityki, a poświęcenie wydawnictwa, dla jednego, nawet wybitnego zakonnika, nie wchodziło w grę.

Audycja kończy się zestawieniem postaci niezłomnego księdza Floriana Kniotka i poznańskiego dominikanina ojca Konrada Hejmo, który w latach 70. i 80. był tajnym współpracownikiem o pseudonimach „Hejnał” i „Dominik”, a dzisiaj prowadzi należący do prywatnej firmy dom pielgrzyma w Watykanie. Czy może ze spokojem spojrzeć sobie w twarz, jak mógł zawsze czynić ksiądz Florian?

TERESA MASŁOWSKA

* Audycja pt. „Historia, jakiej nie znacie – Zniszczyć księdza” Jarosława Burchardta i Piotra Świątkowskiego została wyemitowana na antenie radia Merkury 29 marca 2014 r. Można jej wysłuchać na stronie internetowej radia Merkury "<http://www.radiomerkury.pl>" www.radiomerkury.pl w zakładce Audycje.

Laski niewidomych i widzących (3)



Muzeum Fryderyka Chopina w Żelazowej Woli.

Siostra Bogumiła FSK pyta nas czy w jadalni, przy stole nie będzie nam przeszkadzać towarzystwo pana, który przyjechał z Warszawy żeby pobyc w Laskach. Nie przeszkadzało. Przy okazji dowiedziałyśmy się, co sprowadza ludzi do Lasek. Laskowska atmosfera, to taka naturalna ucieczka od pośpiechu, zgiełku miasta, gdzie brakuje refleksji nad sobą i życiem. Tu można poświęcić godziny na schodzenie w głąb przeszłości i rozmowy z samym sobą. Fakt znalezienia się w Laskach, to wezwanie do rachunku sumienia. Widać istnieje taka potrzeba, bo Laski ściągają ludzi z całej Polski.

Klimat życzliwości

Popołudnia wypełnia nam odwiedzanie sióstr, głównie tych wcześniej poznanych. Siostra Faustyna FSK, jak zwykle zapracowana w archiwum, ale znajduje czas na rozmowę, częstuje kawą i ciastem. Siostra Anita FSK, chociaż zastępuje nieobecną Matkę Generalną Annę Marię, zaprasza do „rozmównicy” w domu sióstr. Miła rozmowa przeciąga się aż do zmroku. Laskowska otwartość: siostry rozmawiają z nami jak „przyjaciółki od lat”.

Wieczorem umawiamy się na spotkanie z siostrą Bogumiłą FSK

i siostrą Ignacją FSK. Mieszkają w Domu Rekolekcyjnym, więc możemy rozmawiać nawet po jego zamknięciu; wcześniej są tak zajęte sprawami Domu, że na spotkanie nie miałyby czasu. Rozmowa z s. Bogumiłą schodzi na dwa tematy: Jej dwuletni pobyt w RPA oraz historię i gości Domu Rekolekcyjnego. Natomiast s. Ignacja, po krótkich wspomnieniach o tym, co skłoniło ją do zostania siostrą zakonną właśnie w Laskach, szeroko opowiada o siostrze Joannie Lossow. Wszak opiekowała się Nią przez 10 lat pobytu w laskowskiej infirmerii. Pamięta szerokie kontakty s. Joanny z różnymi ludźmi, początkach i rozwijającym się ekumenizmem; pamięta też listy, które wysyłała, także do mnie, napisane przez s. Joannę. Uderza moralna gotowość sióstr na życie pracowite, ofiarne, nigdy łatwe na co dzień i pełne pokory, jakby stale pamiętały starą sentencję, że „Bóg odmawia dumnemu, a pokornego obdarowuje łaską” (św. Hildegarda, XII w.).

Ostatniego dnia, chociaż ziemia pali nam się pod stopami, odwiedzamy siostrę Kamilę FSK, u której w dziwnie harmonizujący sposób wiąże się gorąca miłość Boga z sumiennie pełnionymi obowiązkami pielęgniarki. Udaje nam się też poznać siostrę

Irminę FSK, kierującą Internatem Dziewcząt. Krótkie rozmowy nie dają pełnego obrazu postaci, ale z podziwem patrzymy na spokojne, opalone, ale zdecydowane w swych działaniach siostry. Szczęście, to być potrzebnym. A tak na marginesie nasuwa się pytanie: kiedy i jak One to robią, że zawsze mają pachnące, świeżutkie ciasto i częstują nim?

W południe kończy się nasz pobyt w Laskach. Siostra Bogumiła nie wypuszcza nas jednak bez obiadu. Jak zorganizowała to, że obiad, dostarczany zwykle na trzynastą, zjadamy godzinę wcześniej, pozostanie Jej tajemnicą, ale nakarmiła nas obficie. Zaraz po obiedzie pakujemy się i znosimy bagaże. Pożegnanie wypada nader serdecznie, wszyscy życzą nam szybkich, ponownych odwiedzin w Laskach. Ja wyjeżdżam z postanowieniem spisania tego, co tutaj takie wspaniałe. Tylko czy uda się przekazać klimat Lasek i to, co w nich najważniejsze, co stanowi o ich roli i znaczeniu?

Jest to miejsce, w którym można zapomnieć o zwykłych codziennych problemach i uczyć się prawdy o człowieku, chociaż opowiadaniom poddaje się trudno; pewne jest, że wymaga oglądania z zewnątrz, by zrozumieć jego niezwykłość. Dla nas

to wielka radość, wprost wyróżnienie, że jako „cywile” mogliśmy przyjrzeć się życiu za otwartą bramą. Miałyśmy możliwość poznania codziennej pracy i przeżycia czegoś istotnego. Ktoś powiedział, że Laski to inspiracja do przywrócenia sobie równowagi i wprowadzenia korekt w rozpoznawaniu różnych proporcji. Trafnie to ujął. Powrót z Lasek wydaje się powrotem z innego świata.

W Żelazowej Woli

Kolejnym celem ma być odwiedzenie Żelazowej Woli, ale bagaż wrażeń, pokłady głębszych warstw treści, świadomość, że deptałyśmy ślady ludzi o niezrównanych charakterach – wszystko to maćmi oczekiwaną radość zwiedzenia miejsca urodzenia wielkiego Polaka, Fryderyka Chopina. Jednak chęć zobaczenia, nowego przecież Muzeum, czego nie udało nam się już dwukrotnie, bierze górę. Zatrzymujemy się. Dobrze, że to dzień roboczy i znajdujemy miejsce na parkingu, bo kiedy wracałyśmy poprzednio, w niedzielę, parking i wszystkie możliwe miejsca były zastawione samochodami. Zjechali miłośnicy muzyki, bo to sezon koncertów chopinowskich, których inicjatorem był Zbigniew Drzewiecki, a w tym samym czasie odbywają się recitale młodych – „Prezentacje Muzyczne”.

Chociaż historia Żelazowej Woli sięga XVI w., a jej kolejnych właścicieli było wielu, w pamięci zachowała się głównie rodzina Skarbków, osiadła we wsi na przełomie XVIII i XIX w., zatrudniająca Mikołaja Chopina, ojca Fryderyka, jako guwernera, a matkę, spokrewnioną z właścicielami, jako pomoc w gospodarstwie. Chopinowie mieszkali w oficynie, która była niedużym murowanym budynkiem o siedmiu izbach. Tu przyszedł na świat 22 lutego (lub 1 marca) 1810 r. genialny Fryderyk. W latach 60-tych XIX w. przeprowadzono remont oficyny, zmieniający jej pierwotny wygląd, a w 1894 r. wybudowano obelisk z wizerunkiem kompozytora, co było zwiastunem narodzin kultu Chopina. Teren z rąk prywatnych udało się wykupić w 1928 r. z inicjatywy warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Domu Chopina i sochaczewskiego Komitetu Chopinowskiego, za pieniądze zebrane podczas ogólnopolskiej kwesty, m.in.



Siostra Bogumiła prezentuje Kronikę Lasek

podczas organizowanych koncertów.

Odbudowano oficynę, dobudowano kolumny, które nadały jej wygląd dworku, a wewnątrz zaaranżowano na mieszkanie Chopinów. Całości nadano charakter w stylu epoki i „przypisano” pomieszczenia poszczególnym członkom rodziny. Zwraçały uwagę malowane stropy i belkowane sufity. Nastrój dworku stwarzały żyrandole, świeczniki i XIX-wieczne piece kaflowe. Atmosferę XIX w. przybliżały naczynia i meble. Zwiedzających witały umieszczone na ścianach historyczne obrazy, m. in. Canaletta. Wspomnieniem obecności Fryderyka Chopina były listy, rysunki, faksymile utworów kompozytora, reprodukcje dokumentów, przenoszące zwiedzających w atmosferę tamtych czasów. Centralne miejsca w saloniku, w pokoju matki i pokoju dziennym zajmowały fortepiany. Wyposażenie wnętrza dopełniały portrety członków rodziny Chopinów. Zaplanowano również, według projektu prof. Franciszka Krzywdy-Polkowskiego, otoczenie dworku – piękny park, zachwycający niepowtarzalną urodą, zjawisko wyjątkowe, które zostawiało na zwiedzających niezatarte wrażenie. Zgromadzono w nim rozmaite odmiany roślin, nadesłane z całego świata, ale i rodzime drzewa.

Po wojnie, w latach 1948 – 1968 przebudowano dworek trzykrotnie i dokonano kolejnych renowacji. Mimo tego Muzeum Chopina, wraz z

całym otoczeniem, stwarzało wrażenie miejsca zaniedbanego. W 2006 r. Narodowy Instytut F. Chopina opracował nowy plan zagospodarowania otoczenia dworku Chopina. Sam dworek przeszedł generalny remont. Miejsce urodzenia kompozytora rozpoczęło nowe życie. Kto kiedyś tutaj był i zatrzymuje się dziś, ze zdziwieniem stwierdza, że to miejsce zmieniło się nie do poznania. Stało się muzeum do obsługi turystów na najwyższym poziomie. Wiedziałyśmy, że 22 lutego 2011 r. otwarto Muzeum Fryderyka Chopina po przebudowie, ale to, co zobaczyłyśmy przeszło nasze wyobrażenia. Odrestaurowany dworek, zadbane park, nowoczesne budowle i sama obsługa turystów. Zwraçają uwagę nowe obiekty architektoniczne – pawilony, jakby wkomponowane w ogrodowy mur, umiejscowione na obrzeżach parku, który cały czas widać przez przeszklone ściany. Pierwszy z nich pełni funkcję wejściową i recepcyjną. Tu otrzymujemy bilety wejściowe i „audiobuki” – aparaty-przewodniki po parku i dworku. Tutaj można też znaleźć atrakcyjne pamiątki, zobaczyć film o Żelazowej Woli i zająć na dobrą kawę. Ale najpierw zwiedzenie dworku. W obecnej aranżacji jest pusty. Jedynym „sprzętem” jest historyczny fortepian, a na ścianach wiszą rodzinne zdjęcia Chopinów. Kolejne pomieszczenia noszą nazwy prawdopodobnie przywołujące ich dawne funkcje: „Jadalnia”, „Sypialnia”,



Warsztaty Terapii Zajęciowej w Kościanie. Najpierwszym planie Dawid i Mateusz – byli uczniowie ośrodka w Laskach.

(Fot. 3x w zbiorach autorki tekstu)

„Alkierz”, „Piekarnia”.

Rewitalizacja parku stale trwa. Wzdłuż głównej alei rozmieszczono wprost niewidzialny wśród roślinności system nagłaśniający. Pobudowano drugi mostek na Utracie. Nazwy miejsc w parku są dopełnieniem wszechobecnej muzyki: mostki – „Polonez” i „Mazurek”; scena z zapleczem – „Barkarola”; oranżeria – „Scherzo”; salon ogrodowy na tyłach dworku – „Nokturn”. Drugi nowy pawilon pomyślany jest jako miejsce reprezentacyjno-gościnne. Mieści salę na ok. 80 miejsc i restaurację na ok. 40 osób. Lekkie i również przeszklone ściany budynku zapewniają stały widok uroczonego parku.

Ale na nas czas. Jeszcze tylko dobra kawa, ostatnie spojrzenie z parkingu na imponujący widok Muzeum i w drogę. Mamy nadzieję wieczorem znaleźć się w naszych domach, a do Katowic, jak i do Racotu daleka droga.

Kościaniacy w Laskach

Później, po powrocie z Lasek, postanowiłam odszukać absolwentów Lasek w Kościańskim i dowiedzieć się jak żyją. Znalazłam kilku. Są i tacy, których rodziny zgłosiły się do mnie na wiadomość, że chcę skontaktować się z „ludźmi z Lasek”. Jednym z odszukanych przeze mnie jest pan Henryk, niewidomy od urodzenia. Starszy pan, nie ma żadnej rodziny.

„Spędziłem w Laskach wiele lat:

od przedszkola do szkoły zawodowej. Rodzina oddała mnie do Lasek, gdy miałem trzy lata. Myślę o Laskach, jak o swoim domu, pamiętam siostry i nauczycieli”- mówi pan

Henryk, pensjonariusz Domu Opieki Społecznej w Jarogniewicach, znany z tego, że pięknie śpiewa. Ładnie też mówi, w Jarogniewicach prowadzi zakładowy radiowęzeł. Jego marzeniem jest odwiedzenie Lasek i wzięcie udziału w jakiejś laskowskiej uroczystości. Może to próba zmierzenia się z trudną przeszłością? Tylko czy da się zrealizować to marzenie?

W Kościanie mieszka młodszy absolwent Lasek, Mateusz. Jego mama, bardzo otwarta osoba, zaprosiła mnie do ich mieszkania. Mateusz uczęszczał pod koniec lat dziewięćdziesiątych do Szkoły Zawodowej w Laskach. Teraz jest uczestnikiem Warsztatów Terapii Zajęciowej w Kościanie. Odwiedza Laski wraz z rodzicami. Prawie w tym samym czasie uczniem Szkoły Zawodowej w Laskach był Dawid, obecnie także uczestnik Warsztatów. „W Laskach prowadziłem radio i zdobywałem medale w pływaniu” – wspomina. W Warsztatach prowadzi Kronikę. Zamieszcza tam swoje artykuły i przemyślenia. W artykule pt. „Żyjąc z godnością sięgamy po szczęście” wspomina o Laskach:

„...W latach 1997 – 2000 uczęszczałem tam do Szkoły Zawodowej i muszę przyznać, że jak zobaczyłem, co pozostało po pożarze szkoły to ogarnął

mnie wielki smutek. Ucieszyło mnie jednak to, że apele o pomoc tym niewidomym dzieciom nie poszły na marne. Wielkie było zaangażowanie sponsorów i ludzi dobrego serca, którym należą się wielkie podziękowania”. A ja jestem zdumiona i szczerze zachwycona tym, co Dawid umie napisać! A więc absolwenci Lasek są wśród nas, potrafią godnie żyć i wykorzystywać swoje umiejętności.

Jeden z wychowanków Lasek powiedział: „Do Lasek przyjechałem jako mały chłopiec. Laski dały mi szczęśliwe dzieciństwo, które dziś wspominam z sentymentem...pozwoliły zaspokoić ciekawość świata, zdobyć zawód i wykształcenie...Laski dały mi to, co najważniejsze – świadomość, że jestem wartościowym człowiekiem...”(folder informacyjny „Laski”)

W Laskach, w różnym czasie znalazło swoje miejsce wiele osób z Kościańskiego. Jeśli nawet już nie żyją, informują o tym ich rodziny. W samym Kościanie, przykładowo, mieszka liczna rodzina Stanisławy Stelmaszyk z Kościana – siostry Hiacynty FSK, która w Laskach opiekowała się chłopcami pracującymi w warsztatach szczotkarskich (zmarła 1986 r.); w Racocie mieszka rodzina lekarki Barbary Maciejewskiej, sporo lat leczącej ludzi Lasek. (Koniec)

TERESA WIŚNIEWSKA



Profesor z licznymi pasjami

Kościaniak z dziada pradziada. Absolwent tutejszego Liceum, matura rocznik 1972. Magister fizyki. W 1977 rozpoczął pracę jako nauczyciel w technikum w Nietążkowie. Od 1984 kontynuował uczyć w Liceum Ogólnokształcącym im. Oskara Kolberga w Kościanie. Dwukrotny wicedyrektor „Kolberga” (od 1990 – 1994 oraz 2008 – 2013). W ubiegłym roku przeszedł na emeryturę. Na pożegnalnym benefisie, przy akompaniamencie i wsparciu swoich uczniów, zaśpiewał dwie piosenki z repertuaru Tadeusza Chyły. Z mgr. Feliksem Nowaczykiem rozmawiamy o szkole, podróżach, szachach, astronomii i w ogóle o życiu.

- Miałem szczęście. Do pracy chodziłem z przyjemnością. Przyznam, że bardziej lubiłem stać przy tablicy, niż siedzieć w gabinecie wicedyrektora. Do wielu spraw starałem się podchodzić z humorem. Ważne, aby mieć dystans do siebie i tego, co się robi...

- Dla mnie fizyka to szkolny koszmar, chociaż – rzeczywiście – na pańskich lekcjach nie brakowało humoru. Być może, dlatego chodziłam na nie z przyjemnością.

- Dla mnie zaś, fizyka to była rzecz naturalna. Najbardziej lubiłem rozwiązywać zadania. Jako uczeń liceum w czasie wakacji zadania rozwiązywałem tak sobie – dla przyjemności. Jednego lata przerobiłem cały program szkoły średniej. Zapisalem dwa grube zeszyty. Tak już jest, że fizyka dla jednych

to przyjemność, a dla innych koszmar. Jako nauczyciel wiedziałem, że nie z wszystkich zrobię fizyków. Nie o to przecież chodzi w ogólnokształcącym nauczaniu. Starałem się pokazać uczniom szersze horyzonty...

- W takim razie, co było ważniejsze nauczanie czy fizyka sama w sobie?

- W ostatecznym obrachunku nauczanie. Po ukończeniu szkoły podstawowej chciałem iść do Liceum Pedagogicznego w Lesznie, wybrałem jednak „Kolberga”, później Uniwersytet im. Adama Mickiewicza, kierunek fizyka. Poszedłem na studia chcąc zostać nauczycielem.

- Jest pan absolwentem kościańskiego liceum. Jakich nauczycieli, wychowawców z tamtego okresu najlepiej Pan wspomina?

- Moją ulubioną nauczycielką była Ludmiła Klaus. Konkretna, solidna, wymagająca, ale przy tym sprawiedliwa. Panowało przekonanie, że kościańskie liceum prezentuje bardzo wysoki poziom. Pewnie nie z wszystkich przedmiotów tak było, ale na pewno poziom matematyki był wyśrubowany. Oprócz pani Klaus, matematyki uczył Kazimierz Mizerka. Były bardzo dobre polonistki – Aleksandra Skroban, Barbara Mizerka. Przede wszystkim jednak w pamięci pozostaje Klemens Kruszewski, niesamowity człowiek, wielka osobowość. Wspaniały pedagog. Na jego lekcjach nie wypadało nie umieć. Miał w sobie coś takiego, że trafiał do ucznia. Tylko dzięki niemu nauczyłem się języka niemieckiego. Były to czasy poprzedniego ustroju. Myśle-

liśmy wówczas, po co nam ten niemiecki do szczęścia. Chyba jedynie po to, aby pojechać do bratniego NRD na wycieczkę. Dobrze wspominam mojego nauczyciela fizyki, Edwarda Urbańskiego. Najbardziej ceniłem go za systematyczność wymagań. U niego trzeba było porządnie zeszyt prowadzić, zadania domowe rozwiązywać, kartkówki pisać. Wszystko konsekwentnie egzekwował. Przez pierwsze lata swojej nauczycielskiej ścieżki próbowałem to kontynuować. Później to trochę ewoluowało. Wiadomo, inne czasy, uczniowie, podejście i wymagania.

- Nauczyciel powinien mieć różne pasje. Interesuje się pan astronomią. Przez jakiś czas, dzięki pana inicjatywie, w liceum działało Koło Miłośników Astronomii LUNA-tycy...

- To rzeczywiście ważne by mieć własne pasje i umieć się nimi dzielić. Uczniowie to zauważają i tylko wówczas można ich czymś naprawdę zainteresować. Skupiłem się na popularyzacji astronomii. Mało jej w naszym codziennym życiu. W szkole są jakieś wzmianki na ten temat tylko przy okazji lekcji fizyki czy geografii. Jeździłem więc z uczniami na ogólnopolskie seminaria astronomiczne, konkursy z wiedzy o astronomii, pomagałem przy ich organizacji. W 2000 roku finał konkursu wojewódzkiego odbył się w naszej szkole. Ale były jeszcze mistrzostwa szkół w szachach. W ubiegłym roku byłem z uczniami na Mistrzostwach Polski w szachach drużynowych w Solinie.



Szachy to jedna z moich aktywności. Jestem Przewodniczącym Wlkp. Izby Szachowej, Komisji Klasyfikacji i Ewidencji. Gromadzę bazy szachistów, rejestruje nowych, gromadzę wyniki i nadaję kategorie. Sędziuję Wielkopolską Ligę Szachową.

- Szachy, astronomia i co jeszcze?

- Podróże, niekoniecznie do miejsc odległych. Organizowałem wycieczki po ziemi kościańskiej. Odwiedzaliśmy Racot, Choryń, Kopaszewo, Lubiąż. Zakończenie było zazwyczaj w Turwi. Sam dowiedziałem się wielu ciekawych rzeczy podczas tych wycieczek. Lubię też dalsze wyprawy rowerowe. Tuż po maturze samotnie wybrałem się na Mazury. Najbardziej jednak zapadła mi w pamięć rowerowa podróż nad morze. Jechaliśmy w trójkę. To był początek lat osiemdziesiątych. Wojska radzieckie stacjonowały w Polsce. Pierwszy nocleg. Rozbiliśmy się nad małym jeziorkiem. Przyjemnie, cisza, spokój, jedynie komary strasznie cięły. Rano obudził nas dziwny hałas. Wyszliśmy z namiotu, a przed nami radzieckie samochody pancerne, transportery. Okazało się, że rozbiliśmy się na poligonie. Szybko wzięliśmy nogi za pas. Szosą, po której nikt oprócz nas się nie poruszał, dojechaliśmy do jakiegoś miasta. Było otoczone murem. Żadnej tabliczki, kierunkowskazu. Przy bramie stał radziecki oficer. Tłumaczymy mu, że chcielibyśmy przejechać. Nie pozwolił. Kiedy odeszliśmy kawałek dalej, podszedł do nas. Łamanym językiem, trochę po polsku, trochę po rosyjsku, wytłumaczył, że niedaleko jest

wyrwa w murze. Tam chłopaki, będziecie mogli przejść. Tak też uczyniliśmy. Miasto wyglądało w zasadzie normalnie. No może trochę ospałe było. Przy wyjeździe stał chłop, który sprzedawał jakieś owoce. Od niego dowiedzieliśmy się, że to Borne Sulino. Nie było go na mapie. Zaliczyliśmy radziecki poligon i radziecki garnizon. Mogli nas uznać za szpiegów, wywieźć na Syberię, zastrzelić na miejscu. Żartuję sobie dzisiaj, że zdarzyło mi się przejechać przez Borne Sulino i przeżyć.

- Brał pan udział w teleturnieju edukacyjnym „Jeden z dziesięciu”. Co skłoniło pana do wzięcia udziału w tym programie?

- Jednym z motywów było to, że osobiście chciałem się spotkać z Tadeuszem Szukiem. Chodziło też o to by się sprawdzić. Kiedy człowiek siedzi na kanapie przed telewizorem i ogląda ten program, wszystko wydaje się proste. A to proste wcale nie jest. Musiałem wypełnić test na stronie internetowej. Potem pojechałem do Warszawy na eliminacje. Trochę się naczekałem w kolejce. Trzeba było odpowiedzieć na 20 pytań. Udało się. Nagranie było w Lublinie. Okazało się, że Tadeusz Szuk jest „w realu” jeszcze bardziej sympatyczny niż mi na ekranie.

- Na kanapie jest łatwiej, przed kamerami trudniej. Nerwy? Trema?

- Nie denerwowałem się. Jediną barierą dla mnie był czas. Trzy sekundy na odpowiedź. Miałem wrażenie, że nie zdążę odpowiedzieć. A więc potrzebna jest wiedza i niesamowity refleks. Na dwa pytania, na

które nie odpowiedziałem, znałem odpowiedź przed i po nagraniu. To było pytanie o scenę pisania listu w „Zemście”. Kto pisał list dyktowany przez Cześnika Raptusiewicza? Zawsze wiedziałem, że jest to Dyndalski. Automatycznie strzeliłem, że to Papkin. Drugie pytanie o słowo wywodzące się z języka niemieckiego oznaczające otoczenie króla złożone głównie z kobiet. Kojarzyłem, że to Frauenzimmer. W tamtym momencie sobie nie przypomniałem. Podziwiam ludzi, którzy tam wygrywają.

- Uczył pan, że tak powiem, w dwóch systemach ustrojowych, a więc w PRL i w RP. Jaka była najważniejsza różnica?

- Najpierw było tak, że uczeń miał symboliczne prawa i mało do powiedzenia we własnych sprawach. Potem uczeń nabył liczne prawa, a obowiązki jakby pozostały w tle. Ale niepisany kodeks ucznia zapewne się nie zmienił. Głosi on: punkt pierwszy - nauczyciel ma zawsze rację; punkt drugi - w przypadkach wątpliwych, patrz punkt pierwszy.

- Szkoła kształci i wychowuje...

- To marzenie i czysta teoria. Prawda jest taka, że jeżeli dzieci nie wychowują rodzice, to szkoła ich w tym nie zastąpi. Nie ma takiej możliwości. Szkoła może wspierać, pomagać rodzicom, ale to nie jest wychowanie.

- Nie nudzi się panu na emeryturze?

- Wie pani, przy tylu zainteresowaniach, to teraz i tak brakuje mi czasu na ich rozwijanie. Na nudę nie narzekam.

KATARZYNA ŻUREK

Nauczyciele o nauczycielach (1)

Pomysł jest wytworem przemysła naszego współpracownika i przyjaciela, dyrektora Zespołu Szkół nr 4 w Kościanie - Leszka Michalczaka. I tak powstaje, mamy nadzieję stała, rubryka „Nauczyciele o nauczycielach”, w której publikować będziemy wspomnienia o pedagogach, którzy od nas odeszli, a dla współczesnych nauczycieli stanowili wzór godny naśladowania. Zapraszamy do sięgnięcia po pióro nauczycieli nie tylko z powiatu kościańskiego. Rubrykę redaguje Leszek Michalczak (kontakt tel. kom. 604 490 661)

Ludwik Beba,



Fot. w zbiorach Jerzego Zielonki

Pan od książek

W czasie, kiedy pobierałem nauki w szkole podstawowej (1962-1970), w obiekcie przy ulicy Mickiewicza 12 mieściły się dwie szkoły: Szkoła Podstawowa nr 1 i Szkoła Podstawowa nr 3. Korytarze w budynku były przedzielone ściankami, w których znajdowały się zamknięte na klucz drzwi. Uczniowie obydwu szkół mogli się kontaktować jedynie na boisku szkolnym w pobliżu budynku, w którym mieściły się szkolne toalety. Z tej możliwości korzystaliśmy zazwyczaj zimą, tocząc zaciekle wojny na śnieżki.

W drugiej połowie lat sześćdziesiątych funkcję bibliotekarza w Szkole Podstawowej nr 1 pełnił doświadczony pedagog pan Ludwik Beba. Wpadł on na znakomity pomysł i utworzył Koło Miłośników Książek. Do koła należała kilkunastu uczniów przeważnie ze

starszych klas szkoły. Spotkania koła odbywały się regularnie w bibliotece i były poświęcone omawianiu najciekawszych lektur i ukazujących się nowości wydawniczych. Do bestsellerów tamtego czasu należała seria autorstwa Alfreda Szklarskiego poświęcona przygodom Tomka Wilmowskiego, książki Marka Twaina, młodzi uczniowie zaczytywali się w książkach Astrid Lindgren. Lata sześćdziesiąte to czasy raczkującej dopiero telewizji. W niewielu domach znajdowały się odbiorniki telewizyjne, a jeśli nawet były, to w jednym programie nadawanym od popołudnia do wieczora mało można było obejrzeć interesujących nas, młodych ludzi, pozycji. To wszystko sprawiało, że lektura książek była naszym ulubionym zajęciem. W czasach dzisiejszych książka bardzo często przegrywa niestety rywalizację o młodego człowieka z wieloma kanałami telewizji i wszechobecnym Internetem.

Największą jednak osobliwością naszej biblioteki i pomysłem pana Ludwika było takie zorganizowanie pracy szkolnej wypożyczalni, że „uczniów - klientów” obsługiwali „uczniowie - bibliotekarze” – członkowie Koła Miłośników Książek. Pan Ludwik obdarzył nas pełnym zaufaniem – wykonywaliśmy wszystkie czynności od doradzania, przez wydawanie tomów i prowadzenie kart czytelniczych. Mimo że byliśmy wtedy w końcu dziećmi, to swoje obowiązki wykonywaliśmy bardzo odpowiedzialnie i nie przypominam sobie, żeby w wyniku naszych czynności doszło do jakichś nieporozumień. Byliśmy bardzo dumni z tego, że jesteśmy traktowani jak dorośli i cieszyliśmy się z wyróżnienia, jakim dla nas było wykonywanie powierzonych nam obowiązków.

Panu Ludwikowi Bebie, ja i wielu moich rówieśników, zawdzięczamy rozbudzenie pasji czytelniczej, która przetrwała do dziś i nie dała się pokonać „bardziej atrakcyjnej” telewizji oraz coraz bardziej ekspansywnemu Internetowi. Biblioteki i księgarnie ze swoim charakterystycznym klimatem i niepowtarzalną atmosferą są

miejscami, w których zawsze chętnie przebywam. Zbigniew Herbert miał swojego „Pana od przyrody”, któremu poświęcił jeden z najpiękniejszych wierszy dedykowanych nauczycielom, w mojej wdzięcznej pamięci na zawsze pozostał „Pan od książek”, na którego mogile zapalam lampki.

Leszek Michalczak
Kościan

Józef Kubicki z żoną.



Fot. w zbiorach Jerzego Zielonki

Wzorowy syn

Im starsi jesteśmy, tym większa w nas skłonność do wspomniania. W pamięci i sercu noszę wspomnienie sprzed ponad 30 lat. Odżywa ono we mnie, ilekroć widzę panią Alicję Zielonkę nauczycielkę języka polskiego, córkę ś. p. Józefa Kubickiego, którego miałam okazję i zaszczyt przed wielu laty poznać.

Pochodzę z Rogaczewa Wielkiego, studiowałam polonistykę w Poznaniu, mieszkałam w akademiku. W każdy weekend wracałam do rodzinnego domu z Kościana pociągiem zwanym czule „ciuchcią gostynianką” (nie ma jej w krajobrazie Ziemi Kościańskiej od lat i urokliwej podróży nią bardzo wielu osobom brakuje). Pewnego wieczoru wysiadłam na uroczej stacji w Rogaczewie Małym i miałam przed sobą 3 kilometry marszu do domu. Byłam trochę przestraszona, gdy zorientowałam się, że z pociągu wysiadł pewien pan w średnim wieku i idzie za mną. Mężczyzna szybko dołączył do mnie, powiedział, że bym się nie bała, przedstawił się, zapytał,

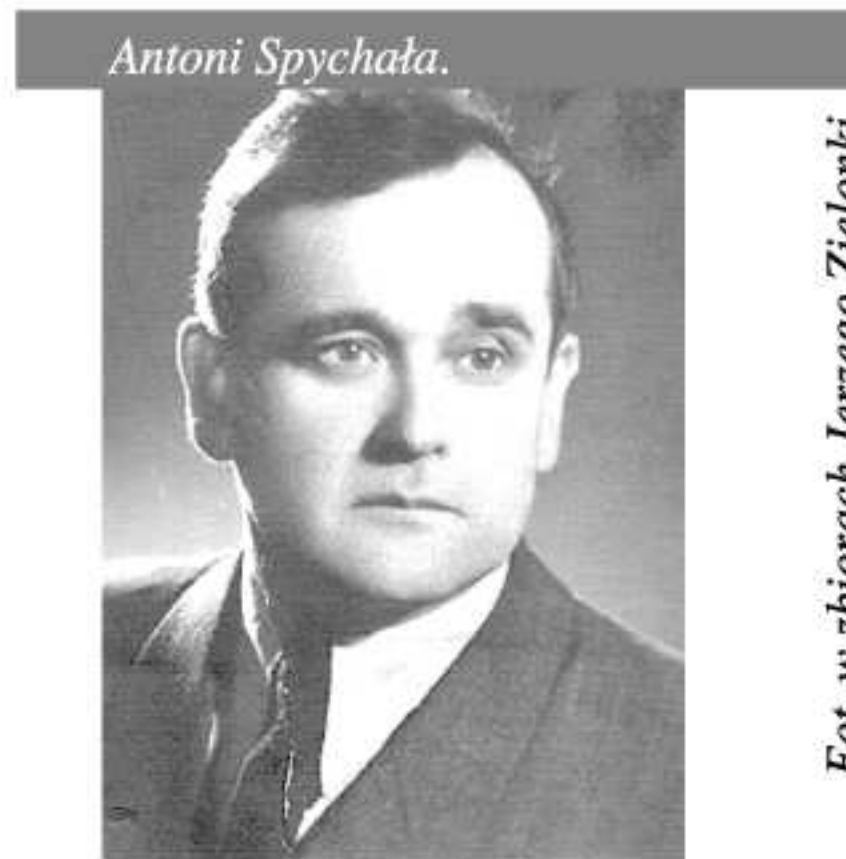
dokąd idę, a po usłyszeniu odpowiedzi stwierdził, iż również idzie do Rogaczewa Wielkiego, aby odwiedzić będącego w podeszłym wieku ojca.

Towarzyszem mojej wędrówki okazał się pan Józef Kubicki, nauczyciel, uroczy człowiek. Prowadziliśmy ciekawą rozmowę, pytał o studia, o środowisko studenckie. Było widać, że interesuje go życie młodych ludzi i jest do nich nastawiony bardzo życzliwie. Cieszyłam się, że nie muszę samotnie wracać, czułam się bezpiecznie. Po powrocie do domu opowiedziałam rodzicom, kogo spotkałam. Okazało się, że moja mama chodziła razem z panem Józefem (Józkiem, jak go serdecznie nazywała) do tej samej szkoły podstawowej. Wspominała go jako niezwykle grzecznego, dobrego kolegę, który z każdym potrafił porozmawiać i nigdy (co mama szczególnie podkreślała) z nikim się nie bił.

Pana Józefa Kubickiego jadącego do ojca w Rogaczewie Wielkim, spotykałam bardzo często. Szybko zorientowałam się, że jest wspaniałym synem. Z podziwem patrzyłam na człowieka, który tak chętnie odwiedza starego rodzica. Dzisiaj mógłby być wzorem syna dla wielu zabieganych i zapracowanych dorosłych dzieci, którym w dobie błyskawicznych połączeń z telefonów komórkowych, Internetu, poczty elektronicznej, coraz szybszych samochodów po prostu brakuje czasu. (Właściwie ciekawe, co z tym „zaoszczędzonym” na wykorzystaniu elektronicznych cacek czasem robią, skoro nie mają go dla najbliższych?).

W swojej wędrówce przez życie spotykamy wielu ludzi (proszę wybaczyć truizm), którzy często po latach giną w mrokach niedoskonałej pamięci. Moja pamięć „przechowała” osobę pana Józefa Kubickiego, który pozostał w niej jako wzór dobrego syna. Wspomnienie to dedykuję Jego córce, podobnie jak On nauczycielce, i jej dzieciom. Możliwe, że jest ono mało istotne, ale „ocala je od zapomnienia” osoba obca, postronna, przypadkowy świadek synowskiej miłości, wobec której nie chciałam przejść obojętnie, bo wzrusza mnie do dziś.

Emilia Grajewska
Kościan



Antoni Spychała.

Fot. w zbiorach Jerzego Zielonki

Pierwszy nauczyciel.

Moim pierwszym nauczycielem był pan Antoni Spychała, który mieszkał i pracował w szkole podstawowej w Rogaczewie Małym. Szkołę tę kończyli mój ojciec i dziadek ze strony ojca. Jest to ładny stary budynek z czerwonej cegły, dzisiaj znajduje się w rękach prywatnych. Pan Antoni Spychała znany był chyba wszystkim mieszkańcom Rogaczewa Małego, Wielkiego, Wyskoci i Turwi, wśród których cieszył się szacunkiem i poważaniem. Kiedy rozpoczęłam naukę w klasie pierwszej, pan Antoni był już u kresu swojej zawodowej kariery. W jednej sali lekcyjnej uczyły się wtedy dwa roczniki - uczniowie klas pierwszych i drugich jednocześnie. Kiedy pierwszoklasiści pisali, drugoklasiści głośno czytali i na odwrót. Taki system wymagał od prowadzącego zajęcia wielu umiejętności, cierpliwości, podzielności uwagi i wysiłku.

Pan Spychała uczył oczywiście wszystkich przedmiotów, w tym również muzyki, potrafił grać na skrzypcach. Smyczek służył niekiedy do dyscyplinowania, co niektórych mniej posłusznych wychowanków, o co jednak dyscyplinowani nie mieli do nauczyciela pretensji, bo kara zawsze była zasłużona, mało dotkliwa i miała raczej charakter symboliczny. Swoją szkołę bardzo lubiłam (zasługa nauczyciela), do tego stopnia, że nawet chora nie chciałam pozostawać w domu. Z Rogaczewa Wielkiego codziennie szliśmy na piechotę ponad 2 kilometry, by dotrzeć do

szkoły w Rogaczewie Małym. Byliśmy siedmiolatkami (ciekawe swoją drogą, co powiedzieliby rodzice z ruchu „Ratujmy maluchy”, gdyby ich dzieciom zaproponowano codzienny 5-kilometrowy marsz do i ze szkoły?), nieśliśmy tornistry, często ciężkie, podczas drogi nikt się nami nie opiekował. W moim roczniku (1961) w Rogaczewie Wielkim było siedmioro dzieci, wszystkich mieszkańców wioski było prawie 120, dzisiaj w tej wsi w jednym roczniku jest dwoje lub troje dzieci, wszystkich mieszkańców wioski jest ponad 120.

Pewnego razu wędrując do szkoły, wymyśliśmy, by powiedzieć panu, że w czasie drogi natknęliśmy się na wilka. Informację tę przekazaliśmy wychowawcy następnego dnia. Pan Spychała bardzo się przejął i zaniepokoił, wypytywał o wygląd zwierzęcia, jak na nauczyciela przystało, pokazał nam książki i albumy ze zdjęciami wilka i prosił, byśmy dobrze się przyjrżeli i potwierdzili, że to właśnie zwierzę spotkaliśmy. Wszyscy zgodnie zapewnialiśmy, że tak właśnie było. Wyobraźnia dzieci nie zna przecież granic, a przymiotnik bujna, nie oddaje jej rzeczywistych rozmiarów.

Pamiętam również, że pewnego dnia ułożyłam swój pierwszy, bardzo egzaltowany wiersz (tematem była chyba mama), pochwaliłam się panu, który wiersz zapisał na tablicy, wyróżnił autorkę i wyraził nadzieję, że w przyszłości zostanę poetką. Poetką na szczęście i bez szkody dla literatury polskiej nie zostałam, skończyłam jednak polonistykę na UAM w Poznaniu, z czego mój pierwszy nauczyciel byłby niewątpliwie dumny.

Przerwy pomiędzy lekcjami spędzaliśmy biegając po podwórzu szkolnym lub bawiąc się w podmokłych zagajnikach po przeciwnej stronie drogi. Dzisiaj z pewnością nikt nie pozwoliłby dzieciom podczas przerw przebiegać na drugą stronę jezdni, wychodzić tym samym poza teren szkoły. Wtedy jednak, a był to koniec lat sześćdziesiątych, nie było prawie na wsi samochodów osobowych, drogą czasami przejeżdżał

traktor, wóz konny, motocykl lub rowerzysta. Nie przypominam sobie, by któremuś dziecku stała się krzywda. Były to bardzo bezpieczne czasy, dzieci latem i zimą bardzo chętnie bawiły się na świeżym powietrzu, nie było sali gimnastycznej. Niepotrzebne były akcje typu „Rok szkoły w ruchu” (rok szkolny 2013/ 2014), nikt nie ważył także naszych tornistrów i „nie ratował” nas przed szkołą, chociaż sanitariaty znajdowały się poza budynkiem szkolnym.

Nie znaczy to wcale, że gloryfikuję siermiężne czasy mojego dzieciństwa, nie twierdzę też jak starożytni, że „za moich czasów nawet koguty piał lepiej”. Obiektywnie stwierdzam, że uczniowie w mojej obecnej szkole uczą się i wypoczywają w komfortowych warunkach w porównaniu z warunkami, w jakich ja jako pierwszoklasistka zdobywałam wiedzę.

Kiedy ukończyliśmy klasę drugą, rozpoczęliśmy naukę w szkole podstawowej w Turwi, do której woził nas autobus szkolny. Szkoła podstawowa w Rogaczewie Małym przestała istnieć. Pan Antoni Spychała uroczyście żegnany w Turwi przez liczne grono młodszych koleżanek i kolegów nauczycieli, rodziców oraz uczniów przeszedł na emeryturę. Uroczystość pożegnania pamiętam, bo stremowana recytowałam okolicznościowy wierszyk. Po przejściu na emeryturę, otoczony szacunkiem mieszkańców okolicznych miejscowości (kiedyś nauczyciel to był ktoś) pan Antoni mieszkał wraz z rodziną w starej, jak ją sentymentalnie zwano, szkole. Jego życie przerwała tragiczna śmierć jedyne go syna – studenta, który zginął zabity w Poznaniu przez pijanego kierowcę. Pan Antoni syna przeżył tylko o kilka miesięcy.

Pierwszego nauczyciela zapamiętałam jako dobrego człowieka, dobrego pedagoga i wychowawcę. Nauczyciela z powołania. Nauczył mnie nie tylko czytać i pisać, ale sprawił, że szkoła była niezwykle ważną częścią mojego życia i tak zostało do dziś.

Emilia Grajewska
Kościan

Podróże z literaturą

Mistrzowie słowa



Obelisk w Sycynie.

Góry Świętokrzyskie, a szerzej Kielecczyzna, to w literaturze nie tylko Stefan Żeromski, Gustaw Herling-Grudziński, Henryk Sienkiewicz, Adolf Dygasiński czy Bolesław Leśmian. To ziemia, z którą związani byli, mniej lub więcej, ludzie zapelniający stronicę podręczników literatury. Nie podobna w krótkim z natury rzeczy artykule wymienić ich wszystkich. Wspomnijmy więc chociaż niektórych.

W Małoszycach koło Opatowa urodził się powszechnie znany w świecie, a dziś i w Polsce Witold Gombrowicz. Tylko przypomnijmy, że autor „Ferdynand” był w 1968 r. bardzo poważnym pretendentem do Literackiej Nagrody Nobla. Ponoć „przegrał” tylko jednym głosem z japońskim prozaikiem i poetą, ówczesnym laureatem, Yasunari Kawabata. Twórczość Gombrowicza powstawała poza Ziemią Opatowską. Spora jej część w ogóle poza

Polską, a nawet Europą. Jednak jak podkreślają jej znawcy im dalej Gombrowicz uciekał od miejsc swego dzieciństwa tym bardziej miejsca te stawały się kopalnią pomysłów i postaci, upodobań i kompleksów. Warto pamiętać, że Gombrowicz wielki mistrz słowa, wojownik przeciwko polskim maskom i polskiemu konformizmowi właśnie tu rozpoczął swoją ziemską wędrówkę.

Tuż obok Kielc, w Domaszowicach, urodził się dziś odrobinę zapomniany Walery Przyborowski. Pisarz popularnych w czasach mojej młodości książek historycznych. Także autor niezapomnianej, przynajmniej przeze mnie, „Bitwy pod Raszynem” - akcję wielu swoich powieści umieścił na Kielecczyźnie.

Z kolei w Klimontowie urodził się współtwórca polskiego futuryzmu Bruno Jasieński. Tu też w tej niewielkiej miejscowości w 1919 r. utworzył amatorski teatr. Z kronikarskiego obowiązku podam



Przed dworkiem Reja

tylko, że Jasieński został w 1938 r. przez sąd sowiecki skazany na śmierć i rozstrzelany w okolicach Moskwy.

„Mój skrawek nieba i ziemi”

Z dawniejszych ludzi pióra wspomnieć należy Wincentego Kadłubka, autora „Kroniki polskiej” urodzonego we wsi Karwów leżącej koło Opatowa. Wincenty zwany Kadłubkiem beatyfikowany w 1764 roku był uczestnikiem IV Soboru Laterańskiego w 1215 r. Ostatnie lata swego życia spędził w klasztorze cystersów w Jędrzejowie, gdzie też został pochowany. Spoczywa dziś w jednej z bocznych kaplic kościoła. Z ciekawostek wartych odnotowania to to, że błogostawiony Wincenty wprowadził zwyczaj palenia wiecznej lampki przed Najświętszym Sakramentem.

W Dwikozach, nieopodal Sandomierza, urodził się jeden z największych współczesnych pisarzy Wiesław Myśliwski. Na cmentarzu w tej miejscowości spoczywają

jego rodzice. Sam pisarz tak o tym mówi Jerzemu Ablewiczowi:

Dwikozy - mój skrawek nieba i ziemi, ale także mój wielki świat, z którego wciąż płyną ożywcze soki w moją pamięć, w moją wyobraźnię, w moją krew. Stąd się wzięłam i tu zawsze jestem (...). Przeżyłam tu chwile wielkiego wzruszenia (...) zawsze będę z ludźmi tej ziemi i ich losem, bo to także mój los”. Czy można piękniej i ładniej? Myślę, że nie bardzo. Prawdopodobnie na cmentarzu w Dwikozach rozgrywa się akcja powieści „Kamień na kamieniu”, a dom dziadków pisarza jest także zobrazowany w powieści „Widnokraj”.

Można by tak jeszcze długo ciągnąć. Bo przecież na plebanii kościoła św. Józefa w Skarżysku Kamiennej co roku wakacje spędzał Leopold Staff, a Jan Długosz, kustosz kolegiaty w Wiślicy, fundował kościół w nieodległym od Wiślicy Chotlu Czerwonym, a dziejopisarz królewski Wespazjan

Kochowski urodził się obok Waśniowa, a Jarosław Iwaszkiewicz od 1936 prawie co roku bywał w Sandomierzu. A tematyka sandomierska jest obecna w wielu jego utworach. W Kielcach urodził się współczesny prozaik, twórca popularnych książek, nie tylko dla młodzieży, Edmund Niziurski. Z tą ziemią był także związany Stanisław Konarski. A są przecież jeszcze poeci i pisarze mniej znani czy popularni. Wojciech Belon, Jan Gajzler, Zbigniew Majsternak czy Józef Ozga Michalski. Dość już jednak tych krótkich z natury rzeczy wyliczeń.

W gościnie u Reja...

Niepodobna jednym zdaniem skwitować dwóch kolejnych nazwisk. Mikołaja Reja i Jana Kochanowskiego. Ten pierwszy zwany kiedyś ojcem literatury polskiej, w czasach swej młodości odziedziczył po wuju – Piotrze (bratu ojca), wieś Nagłowice, osiadł w niej i mieszkał przez całe



Pomnik Kochanowskiego w Czarnolesie

Fot.(3x) ze zbiorów autora tekstu

swe życie. Nagłowice natomiast położone są w powiecie jędrzejowskim. Miałem więc do nich niewiele drogi. Pojechałem.

Autentyczny, z czasów jego życia, dworek Mikołaja Reja oczywiście nie istnieje. Czas zdmuchnął go nieodwracalnie. Co więcej nie wiadomo jak ten autentyczny wyglądał. W końcu osiemnastego wieku wybudowano to, co dziś nazywane jest dworkiem Reja. Później zresztą wielokrotnie przebudowywano. W latach osiemdziesiątych do budynku przeniesiono bibliotekę gminną (Nagłowice to bowiem także i gmina) i wówczas urządzono w nim ekspozycję obrazującą życie i twórczość literacką Mikołaja Reja. Przed dworkiem popiersie pisarza dłuta zmarłej w latach dziewięćdziesiątych Barbary Zbożyny.

Wnętrze Muzeum skromne, ale nadzwyczaj miłe i czyste. Największe na mnie wrażenie zrobiła wystawa prac malarza z pobliskiego Jędrzejowa – Ryszarda

Kasperka. W szczególności jego widoki dworku Reja w różnych porach roku. Pokazuje to, że nawet niewielkimi środkami finansowymi (bo jakimi środkami finansowymi może dysponować gminna biblioteka) i dziełami miejscowych twórców można stworzyć rzeczy wspaniałe i wzbudzające zachwyt. W Muzeum są też przedmioty związane z Rejem podarowane przez jego rodzinę, w tym także przez Nicolasa Reja, byłego ambasadora Stanów Zjednoczonych w Polsce.

Prostopadle do dworku jest usytuowany sporych rozmiarów dawny pałac Radziwiłłów, w którym dziś znalazł swe miejsce dom dziecka. Zwracał uwagę park znajdujący się wokół dworku z przepięknymi lipami i modrzewiami. Część z nich to jeszcze nasadzenia Marii Walewskiej, która gospodarzyła w Nagłowicach po roku 1832. Wspomnieć wypada, że po II wojnie i pałac Radziwiłłów i dworek Reja oddano Związkowi Literatów

Polskich i wówczas zamieszkiwał w nich m.in. Paweł Jasienica.

...i Kochanowskiego

Po odwiedzeniu Nagłowic, po powrocie do Zagnańska, postanowiłem odwiedzić jeszcze kolejne miejsca nierozzerwalnie związane z literaturą polską. Kolejnego dnia, poprzez Skarżysko Kamienną i Radom dojechałem do Sycyny. To tu urodził się Jan Kochanowski najwybitniejszy polski poeta przed poetami romantyzmu i jego mniej znany, ale także zasłużony do literatury poeta i tłumacz - Piotr Kochanowski dodajmy dla ścisłości - bratanek Jana.

Po dawnym dworze Kochanowskich pozostały tylko resztki fundamentów. Sycyna to spora wieś, piękna zresztą. Poza wiejską zabudową, wśród pól, znajduje się tu jeszcze jedna pamiątka po Kochanowskich. Obelisk - kapliczka stojąca dziś samotnie wśród łąk zboża, prawie na prywatnym podwórzu, ufundowana

przez bratanka Poety Mikołaja Kochanowskiego z 1621 roku na pamiątkę zwycięstwa Chodkiewicza nad Turkami pod Chocimem.

Z Sycyny, niecałe pięć kilometrów Zwoleń. Jadąc ku temu miastu żegna nas, stojący tuż przy drodze, pomnik – popiersie Jana Kochanowskiego, wykonane przez artystę rzeźbiarza Władysława Janię, ucznia Ksawerego Dunikowskiego. W Zwoleniu, nadzwyczaj ciekawy i godny największego zainteresowania kościół pod wezwaniem Podwyższenia Krzyża Świętego. Po lewej stronie od głównego wejścia znajduje się kaplica Kochanowskich. Jej ściany zdobią epitafia. Na środku wykutego w czerwonym marmurze popiersie Poety. Zrobione zostało trzydzieści lat po jego śmierci. Jest więc jednym z najbardziej autentycznych jego wizerunków.

Pod posadzką kaplicy jest krypta, a w niej pochowany jest Jan Kochanowski. I tu ciekawostka. Poeta nie ma czaszki. Jeszcze w 1791 roku do grobu Kochanowskiego dostał się Tadeusz Czacki, zabrał ją i następnie podarował księżnej Izabeli Czartoryskiej. Kim był Tadeusz Czacki? Wielce zasłużonym dla Polski i polskiej kultury człowiekiem. Był m.in. członkiem Komisji Edukacji Narodowej i współtwórcą Konstytucji 3 Maja. To również główny twórca i organizator słynnego Liceum Krzemienieckiego. Zajmował się grobami słynnych Polaków. On to otwierał groby królewskie na Wawelu, m.in. grób Zygmunta Starego i Zygmunta Augusta. Stąd też jego zainteresowanie grobem Kochanowskiego.

Wracając do naszej opowieści – dziś czaszka Jana Kochanowskiego po różnych perypetiach znalazła się i jest przechowywana w zbiorach Czartoryskich w Krakowie. Wróćmy na moment jeszcze do kaplicy w kościele w Zwoleniu. Według różnych przekazów Jan Kochanowski pochował w niej swoich rodziców. Nie darmo przecież był prebendarzem tej właśnie parafii w latach 1566 – 1575.

Dzisiejszy Zwoleń, niewielkie przecież miasteczko, kulturowe swe

związki z Janem Kochanowskim. Są tu dwa uroczne pomniki Poety. Przed miejscowym gimnazjum przy ul. Kościelnej popiersie, Poeta trzyma na rękach Urszulkę. I drugi stojący w parku na placu Jana Kochanowskiego. Obydwa dłuta wspomnianego już tutaj Władysława Jani. Pierwszy pełen wdzięku i uroku, a kolejny ponad pięć metrów wysokości, Poeta w płaszczu sięgającym stóp, z szarego granitu, pełen dostojności - robią olbrzymie wrażenie. A Zwoleń to nie całe dziewięć tysięcy ludności.

Czas już żegnać Zwoleń tym bardziej, że czekał Czarnolas. Ze Zwolenia do tej wioski jest około dziesięciu kilometrów. A więc nawet tak słaby kierowca jak ja był tam po niecałych piętnastu minutach. Czarnolas to wieś nierozzerwalnie związana z Kochanowskim. Czasem nawet nazywano go Janem z Czarnolasu. Dawny dom Poety nie zachował się. Na jego miejscu starano się po wielu budowach i przebudowach odtworzyć go możliwie wiernie. Czy to się udało? Nie mnie o tym wyrokować. Współczesny dworek Kochanowskiego, mieszczący się w XIX-wiecznym dworku Jabłonowskich, robi jednak spore wrażenie. Wszystkich zaglądających tu wita sam Poeta. Oczywiście, że z pomnika. Stoi na nim odlany w brązie, z rękoma założonymi z tyłu, w których trzyma symbol poezji – różę, w bogatym, renesansowym stroju, na granitowym postumencie. Pomnik jest dziełem urodzonego w pobliskim Śremie znakomitego artysty plastyka Mieczysława Weltera.

Ojciec i córka

Zwiedzanie zaczynam nie od dworku, a od parku. Jest piękny. Z bujnym drzewostanem sosnowo-świerkowym. Swoimi brzegami dotyka rozległych stawów. Płynie tu również strumień. Naprzeciw schodów prowadzących z dworku do parku jest miejsce szczególne. Otoczone żeliwnym płotkiem miejsce, gdzie miała rosnąć opiewana przez Poetę czarnoleska lipa. Dziś znajduje się tu symboliczny sarkofag z napisem „Urszula”, nad

nim obelisk z popiersiem Piotra Kochanowskiego, bratanka Poety, i fragment jednego z jego trenów.

To wszystko, atmosfera tego miejsca, nastraja bardzo lirycznie. Czas jednak opanować wzruszenie i po obejściu dworku wejść do środka. Najpierw hall. Zdominowany jest przez rzeźbę wykonaną przez Ksawerego Dunikowskiego przedstawiającą głowę Poety. W pomieszczeniu tym jest także fotel obity skórą. Uważa się, że był on własnością Poety. Zgromadzono tu również dzieła Kochanowskiego. Patrząc na nie uświadomiłem sobie, że ostatnie wydanie Dzieł wszystkich Poety, tzw. Sejmowe, zgodnie z tradycją ostatnich lat, zostało przerwane w początku lat dziewięćdziesiątych. Teraz jednak Instytut Badań Literackich otrzymał grant na dokończenie tej edycji. Czy to nastąpi i kiedy?

Kolejne sale obrazują poszczególne etapy życia Poety. Są wspaniałe. Wypełnione obrazami i gobelinami. W jednej z nich jest rzeźba z dziewiętnastego wieku, przedstawiająca Ojca i córkę, Jana Kochanowskiego z Urszulką, która gra na lutni. U stóp Poety leży otwarta książka. Rzeźba została wykonana przez Zygmunta Trembeckiego, krakowskiego rzeźbiarza.

Zbliżał się czas opuszczenia przeze mnie Czarnolasu. Nie wiem dlaczego przypomniał mi się ten fragment jego Pieśni:

„I opatrzył to dawno syn pięknej Latony,

Że moich kości popiół nie będzie wzgardzony”

I jak świadczy o tym między innymi to Muzeum, i ta moja o nim opowieść, tak właśnie, mimo upływu wieków, się stało. I to mimo czasów, w których:

„...kto ma pieniądze, ten ma wszystko w rękę:

Jego władza, jego są prawa i urzędy;

On gładki, on wymowny, on ma przodek wszędy.

Nie dziw tedy, że ludzie cisną się za złotem,

A poeta słuchaczów próżnych gra za płotem,...

ZDZISŁAW WOJTCZAK

Boża Męka w Kopaszewie

(Ballada osnuta na miejscowym podaniu)

I.

Cudnie wysrebrzył jesienny ranek
Dywan ozimin zielony
I w koło drzewom z jasnych mgły tkanek
Wiotkie zarzucił opony.

Właśnie krąg słońca jak miesiąc płowy
Przez sine przebił się chmury
Gdy drózką polną wszedł do dąbrowy
Orszak milczący, ponury.

Przodem szedł kapłan z troską na czole
I skronią wiekiem zbieloną;
Tuż przy nim niosło młode pacholę
Księgę i wodę święconą.

Zaraz we wsi! Wyraz złowieszczy!
Któżby nie wiedziało znaczy!
Któż nie zna nagłych tych zgonów, dreszczy,
Cichych pogrzebów i płaczy?

Gmina, by łaski odzyskać Boże
I ująć przed strasznym pogromem
Podąża teraz w las na rozdroże
Krzyż wznosić strzaskany gromem.

Krętą ścieżyną doszli do wzgórza,
Strojnego w głóg i jałowce,
Gdzie krzyż stał dawniej, a u podnóża
Zbiegły się leśne manowce.

Strasne to miejsce, bo jak wieść niesie
Nieraz wśród nocnej godziny
Gdy wichur głucho szumi po lesie
Staje tam widmo dziewczyny;

Staje, rozplata włos, leci w knieję,
By skrzydłem niesiona chyżym,
A gdy kur z rannym brzaskiem zapieje,
Wraca i znika pod krzyżem.

Toż dziś niejeden do uroczyska
Z tajemnym zbliża się dreszczem.
Wtem szmer się rozległ, gdy pochód z bliska
Przed wzgórzem stanął złowieszczym.

Bo spoza krzaków z dziwem dla oka,
Jakoby upiorne licho,
Nagle – mgłą białą postać wysoka
Od ziemi strzeliła cicho.

Przestrach ogarnął rzeszę, wtem stary,
Śmiejąc się, Bartosz zawoła:
„Skąd za dnia nocne roicie mary?
To Błażej, kmieć z tego sioła!”

Miał tu trzy włóki ziemi przed laty,
Nim suknie przywdział pielgrzymie
I zatrzasnąwszy drzwi pustej chaty,
Poszedł spowiadać się w Rzymie.”

Mówiąc to kuma dawnego wita
Co patrzył w koło zadziwiony
O losy jego ciekawie pyta
I świata dalekie strony.

Lecz stary Błażej, którego siwa
Skronń ponad gromadą,
Milczeniem tylko pytania zbywa,
Łzą rosząc jagodę bladą.

Zgrzytną żelaza, szmerem pacierzy
Wtórują motyk podźwięki.
Chyłą się zgłiszczą krzyża, wnet świeży
Znak Bożej błysnie tam męki.

A wtem kopaczom rydel zadzwoni
Raz po raz tony dziwnymi;
Wreszcie się jakieś rdzawe wyłoni
Żelazne wieko ze ziemi.

„Może to skarby dawnego pana”
Zawoła Bartłomiej stary –
„Co to raz w święto polując zrana
Zapadł bez śladu w moczary.”

W koło ciekawa kupi się rzesza,
Sam dziedzic nawet tych włości,
Rzuciwszy pojazd szparko pospiesza
Na wzgórze z gronem swych gości.

Prężą się liny, pot rosi skronie,
Znać trud po mężów westchnieniach,
Już spiże w ziemi ukryte łonie,
Iskrzą się w słońca promieniach.

Gdy spadło wieko z ponurym dźwiękiem,
Zabrzmiął krzyk zgrozy do koła,
A stary Błażej pobladł i z jękiem
Runął i skrwawił śnieg czoła.



Wewnątrz pokrowca, w strzępy atłasu,
Kościotrup leżał spowity
Szaty mu drogie rozgryzł żab czasu
Zostawił zgonu ślad skryty.

Bo dotąd smutnie kadłub bez głowy
Wyziera ze swej osłony,
Czerep zaś w stopach i hebanowy
Lśni włos, misternie pleciony.

W straszne te zwłoki rzesza ciekawa
Topi źrenicę i chwilę
Duma w milczeniu, chcąc wykraść krwawe
Tajniki chciej mogile.

Wtem do pokrowca ksiądz z srebrną skronią
Sięgnie i z wnętrza kościanych
Wyjmie paciorków sznur drżącą dłonią,
Oraz obrazek szklany.

Utkwi w rycinę zdumiałe oko
I w napis ledwie widoczny,
Potem w zadumę wpada głęboką,
Myśl gubiąc w przeszłości mrocznej.

Snać się rozplotła wkrótce zmatwana
Nić dawnych jego pamiątek,
Bo już zanucił, gnąc swe kolana,
Nabożnej pieśni początek.

Gmina, choć wspomnień nie zna osnowy,
Dalej zaczętą pieśń śpiewa;
W lot chwyta echo jej las dębowy,
Wraz z ludźmi nuć ją drzewa.

II.
Wesoło ogień w komnacie płonie
Trzeszcząc skry sypie z komina
A ksiądz sędziwy w przyjaciół gronie
Tak powieść swoją zaczyna:

Tyle się wspomnień w mojej pamięci
W długim szeregu lat śmiło
Że dziś niejedno w głowie się męci,
Co niegdyś żywo tam lśniło.

Jedna noc przecież tak mi rdzą krwawą
Padła na wspomnień tych karty,
Że jeszcze dzisiaj łuną jaskrawą
Świeci jej obraz niestarty.

Było to pewnie w rok po zaborze,
Jam zawód właśnie kapłański
Rozpoczął młodo i słowo Boże
Jął wieścić w farze poznańskiej.

Raz, gdym modlitwy skończył wieczorne,
Turkot kół w dali posłyszę;
Wnet stuk u bramy popłoch w klasztorze,
Płosząc sen, rzucił zacisze.

Chociaż posępna wicher jesienny
Piał nutę bezgwiazdnej nocy
Spiesznie choremu jeszcze bezsennej
Biegłem udzielić pomocy.

Mając u piersi wiatyk święty,
W kolase wsiadłem w milczeniu,
Obok mnie zasiadł w płaszcz owinięty
Mąż, co swe lica krył cieniu.

Zacząłem pacierz, wtem mnie uderzy,
Że konie w biegu się mylą,
Bo pojazd w bok się zwraca i bieży
Wstecz tam, skąd ruszył przed chwilą.

Daremniem w myśli pęd jego ścigał
Wnet kopyt ucichły dźwięki,
Nieznany szlakiem pojazd nasz śmigał,
Wiatr swymi gonił go jęki.

Po psów szczekaniu liczyłem sioła,
Które wóz mijał wśród drogi,
Wtem parskną konie i zgrzytną koła,
Jękną kamienne bram progi.

Wnet niewidzialna dłoń towarzysza
Przez nocy wiodła mnie cienie,
Szliśmy schodami; grobowa cisza
Zaległa ganki i sienie.

Wtem drzwi skrzypnęły i oczy moje
Oślepiły od światła fali;
Gdy wzrok przez blasków przebił się roje,
W wielkiej ujrzałem się Sali.

Drogie tam wkoło lśniły makaty,
Lecz okna w całunach kiru;
W ramach za krepę mgłą antenaty,
A w głębi kobierzec żwiru.

Przedemną stały dwie czarne maski
W kontuszach żałobne barwy;
Przez ócz otwory posępne blaski
Rzuciły cicho te larwy.

Czekam w milczeniu, drżący, strwożony,
Wtem na znak przez nie wydany,
Niewieścia postać zpoza zasłony
Z bocznej wysunie się ściany.

Niepewnym krokiem, splótszy swe dłonie,
Chwarszcząc szat swoich atłasem,
Zwolna szła ku mnie w czarnym welonie,
Gdy dreszcz chód zwichrzył jej czasem.

Ponure maski w głąb uszły Sali,
A owa postać dziewicza
Kłękła przede mną, Boga pochwali
I nuż swe grzechy wylicza.

Gdym skończył spowiedź i Bożej łaski
Sakrament dawał grzesznicy,
Znowu się czarne zbliżyły maski,
Topiąc wzrok straszny w dziewicy.

„Est moribunda, księżo! Więc jeszcze
Olejem pomaż jej skronie”.
Ledwie te słowa ścichły złowieszcze,
Dziewica, łamiąc swe dłonie,

„Litości!” – krzyknie – „stryju, litości!”
I ścisła masek kolana
Spadł kwef jej z czoła strasznej białości
I błyska twarz jej liliowa.

Daremnie! Cisza trwa wciąż złowroga,
Więc ja, głos wznosząc wzruszony,
Zaklinam obu nasady Boga,
Toż i na ludzkie zakony.

„Księżo, wiesz przecie, jako z jej winy
Sromota w starym jest rodzie,
Zapadł niezmienny wyrok rodziny
I w dawnym stwierdzon jest grodzie.”

Z jękiem dziewica bez zmysłów padła,
Jam zaś, gdy prośby przebrzmiały,
Choć mi się w oczach snuły widziadła,
Kładł na nią olej, drąc cały.

Martwa, jak posąg grecki, na ziemni,
Lub kwiat leżała podcięty,
Kiedym wychodził dłońmi silnymi,
Ponurej maski ujęty.

W krużganku wzrok mój prawie niechący
Zwróciłem wstecz ku drzwiom Sali
I wraz mi czoło złał pot gorący,
Bom ujrzał olbrzyma w dali.

Niemy, w krąg dzikie rzucał spojrzenia,
W dłoni błyszczała siekiera;
Stał tam jak wyrzut straszny sumienia,
Co z cicha duszę pożera.

W sieni na Zbawcy musiałem rany
Poprzysiąc złowrogiej masce
Milczeć tak długo, aż sznur kościany
Znów mej nie wróci przepasce.

Wziął mi paciorki i błysnął trzosem;
Jam pełen cofnął się sromu.
Wtem niewieściego jęku odgłosem
Aż ściany zdrząły domu.

Zemdlałem. – Gdym się w głębi kolaski
Obudził, jęk mi ów jeszcze
Brzmiał, w oczach czarne latały maski
I ciche mary złowieszcze.

Tu doniósł księdzu sługa kościelny,
Ze w pośród Leśniak strzechy
Błazej, w nie mocy leżąc śmiertelnej
Ostatniej czeka pociechy.

III.
Morza córy, sine chmury, lecą stropem nieb
Wiatr je niesie, hucząc w lesie, drzy zielony sklep

W leśnej chacie, wśród zamieci
Drząc kaganek blady świeci
Przy nim starzec w zgonu chwili
Przed kapłanem siwym kwili,
Duszę korzy, zanim Boży, rajski przyjmie chleb.

W jego twarzy już się żarzy światło innych stref
Duch się smuci, gdy pierś nuci swój łabędzi śpiew
Pod okienkiem wiatr powieści
Skrycie słucha, wnet ją wieści
Starym dębem w mech ubranym
Smętnym jodłom rozśpiewanym,
Wkrótce w kniei, wśród zawiei szumiał ją chór drzew.

Ach radośnie, z dwóch serc w wiośnie w mig miłości
kwiat
Nieraz strzeli, choć je dzieli zły przesądem świat
Lecz nie długo swymi czary
Poi dusze młodej pary
Wnet nad nimi czarne chmury
Stroją niebo w kir ponury,
Cudne kwiecie burza zmiecie, zniszczy grom lub grad.

W starym dworze jako zorze młode dziewczę lśni,
Lecz w ustroniu wzdycha, roni ciche, rzewne łzy.
Jakże biedna nie ma szlochać,
Kiedy serce pragnie kochać,
A żelazna wola stryja
Samotnością ją zabija
I nieść karze Bogu w darze uciech ziemskich sny.

Za jeziorem, nad wieczorem, w cieniu starych drzew
Leśnik młody śle przez wody tęskny ku niej śpiew.
Choć syn kmieczy dla ojczyzny
Twarz swą w chlubne ubrał blizny,
Het z wędrówki obcych krajów
Do rodzinnych wrócił gajów
Rok się cały w polu chwały mężnie bił jak lew.
Raz wić wianek z macierzanek w ranny, śliczny czas
Rąbkiem gaju, wzdłuż ruczaju szła dziewczica w las.
Spotkał ją tam leśnik młody,
Zapłonęły im jagody,
On się skłonił i nieśmiałą
Podał dłonią wiązkę całą
Leśnych kwiatków i bławatków i znikł w gaju wraz.

Już też w łonie Halki płonie skrycie dziwny żar,
Pierś dziewiczą tajemniczo urzekł słodki żar.
Mknie do lasu co dzień z rana,
Bierze kwiatki z rąk młodziana
Potem obaj błędzą w gaju,
Niezapudki rwą w ruczaju,
A w dąbrowie ich rozmowie wtórzy ptasząt gwar.

Raz też w lasku, przy gwiazd blasku, gdy piał drugi kur,
Brzmiał miłosny szept, choć głośny ścichł już ptaków
chór.
Wtem gałązki skrzypną w dali,
Mignie jasny połysk stali;
Wnet zagrzmiało w ciszy leśnej,
Młodzian wydał jęk boleśny
I jak strzała postać białą pomyła w ciemny bór.

Ach radośnie z dwóch serc w wiośnie w mig miłości
kwiat
Nieraz strzeli, choć je dzieli zły przesądem świat!
Lecz nie długo swymi czary
Poi dusze młodej pary
Wnet nad nim czarne chmury
Stroją niebo w kir ponury;
Cudne kwiecie burza zmiecie, zniszczy grom lub grad.

Ludwik Mizerski
Tiegenhof, 1873

Twórczość Tadeusza Hofmańskiego

Z EWĄ PO JEJ ODEJŚCIU W NADCZAS ROZPACZLIWA PRÓBA NAWIĄZANIA KONTAKTU

Kochanie tak
źle

tu
jeszcze nie było -

Zamarudziłem
i właśnie dlatego

Tu
tak źle

jeszcze nie było
Kochanie -

A u Ciebie
Co?

Słuchać -

DO EWY PYTANIE ROZPACZLIWIE BEZRADNE

Kochanie
nie jestem gotowy:

na wszystko co
zostało
nie spoglądam jeszcze
z Twojego Teraz

Kochanie - prawdziwie doskonale
kiedy?

DO EWY PYTANIA Z DRAMATYCZNIE UŁOMNEJ PERSPEKTYWY

Śpisz jeszcze
Kochanie?

Czy już może
budzisz?

Do Nad - Poranku?

Szczęśliwa?

DO EWY PRZEBIJANIE PRZEZ GĘSTE ZASŁONY TAJEMNICY

Kochanie
czy nie masz już Czasu
jak Którzy z Tobą?

Kochanie
tu i w pełnym słońcu
coraz szaroczarniej

Kochanie
Najważniejsze wiesz
więc Cię szczęśliwą

śnie
że przychodzisz
ciepło litośnie?

Kochanie
czy na pewno
nie masz już Czasu?

W CZARNYM BALANSOWANIU DOCHODZENIE KOŚCIANA

Wobec mnie Kościan wycichł. Ale pojawia się często. Kościan wie, że pozostawiony bez Ewy balansuję nad czymś, co poraża otchłannością. Bo to, nad czym balansuję nie jest otchłanią. Nie jest czeluścią. To, nad czym balansuję, poraża, bo grozi spadaniem nieskończonym.

Kościan być może wycichł dlatego, ponieważ nie ma nic do powiedzenia, gdy ja tak bardzo pragnąłbym z Ewą. I nie ma nic do powiedzenia, gdy czy to w mieście Kościanie, czy to w mieście Poznaniu, czy to we wsi Lipno, przez mikrosekundy mam wrażenie, że Ewa jakoś się uobecnia. I przez takie mikrosekundy pragnienie się spełnia: jesteśmy.

Z Ewą raczej nie jestem we wsi Mórkowo. Na cmentarzu we wsi Mórkowo zostało pogrzebane jedynie ciało Ewy. Co Ewie po jej martwym ciele? Kościan jednak po swojemu daje mi do zrozumienia, żebym ważnych hipotez nie stawiał pochopnie.

Do miasta Kościana Ewa jeździła nierzadko. Ale nie, żeby często. Nie wiem, czy spotykał ją Kościan. Na przykład na targowisku, albo na Wrocławskiej, czy Szczepanowskiego. Albo w którejś z do cna pogańskich świątyń handlu. Ewa na Kościan mogłaby nie zwrócić uwagi. A gdyby nawet tak się stało, Kościan akurat małostkowy nie jest, nie miałby pretensji. Do mnie natomiast może mieć pretensje: że tak mało Ewie o Kościanie mówiłem.

A teraz w mieście Kościanie jest mi źle. Bo w mieście Kościanie od dworca kolejowego do Rynku śmiałem się z Ewą, kłóciłem się z Ewą, przytakiwałem w roztargnieniu Ewie, jadłem lody z Ewą, paliłem papierosy z Ewą. Co mam teraz robić w mieście Kościanie na odcinku od dworca kolejowego do Rynku? Kościan milczy.

I Kościan odradza wzywania Ewy na daremno. Odczytuję sugestię, że mam cierpliwie czekać. Oczywiście będąc w wyciszeniu, Kościan niczego nie artykułuje jednoznacznie.

TADEUSZ HOFMAŃSKI

Poezja Eugeniusza Wachowiaka

Ptaka ognisty

Widziałem płomień
dzwon się rozkołysał
zgiełk rósł na mostach
świat się więc przechylał
Widziałem płomień
w nim zmienione twarze
ostrze bagnetu
wbite w serce świata
Widziałem płomień
ptaka świetlną kulę
umknąć chciał z ognia
lecz z tym ogniem
latał

Kroki

Słyszę te kroki –
chyba kto nadchodzi
musi być ciężki
stary i obwisły
muszę te nogi
być już przechodzone
na ścieżkach wąskich
na kamiennych brukach
że się tak ciągną
człapią przesuwają
że prędkość obu
słyszeć można długo

Widzę te żyły –
dotknę ich fioletu
pod błoną skóry
tkanki delikatne
krew się przetacza
w zielonkawych gruzłach

Widzę te stopy –
kiedy się położą
z głową wysoko
złożoną w poduszce
skóra listkami
oblazie z nich będzie
palce ściśnięte
mimo że bez buta

Widzę te kroki
w nich zaś los człowieka

Twarz niedosytu

Twarz niedosytu
jest to twarz pragnienia
tkwiącego w oczach
zamkniętego w geście
gotowa sięgnąć
i wydrzeć uparta
smolna jak sosna
jak lont przewodliwa

Twarz niedosytu
męką jest pragnienia
może dziś umrzeć
nawet bez cmentarza
ciągle niepełna
i wciąż nie domkniona

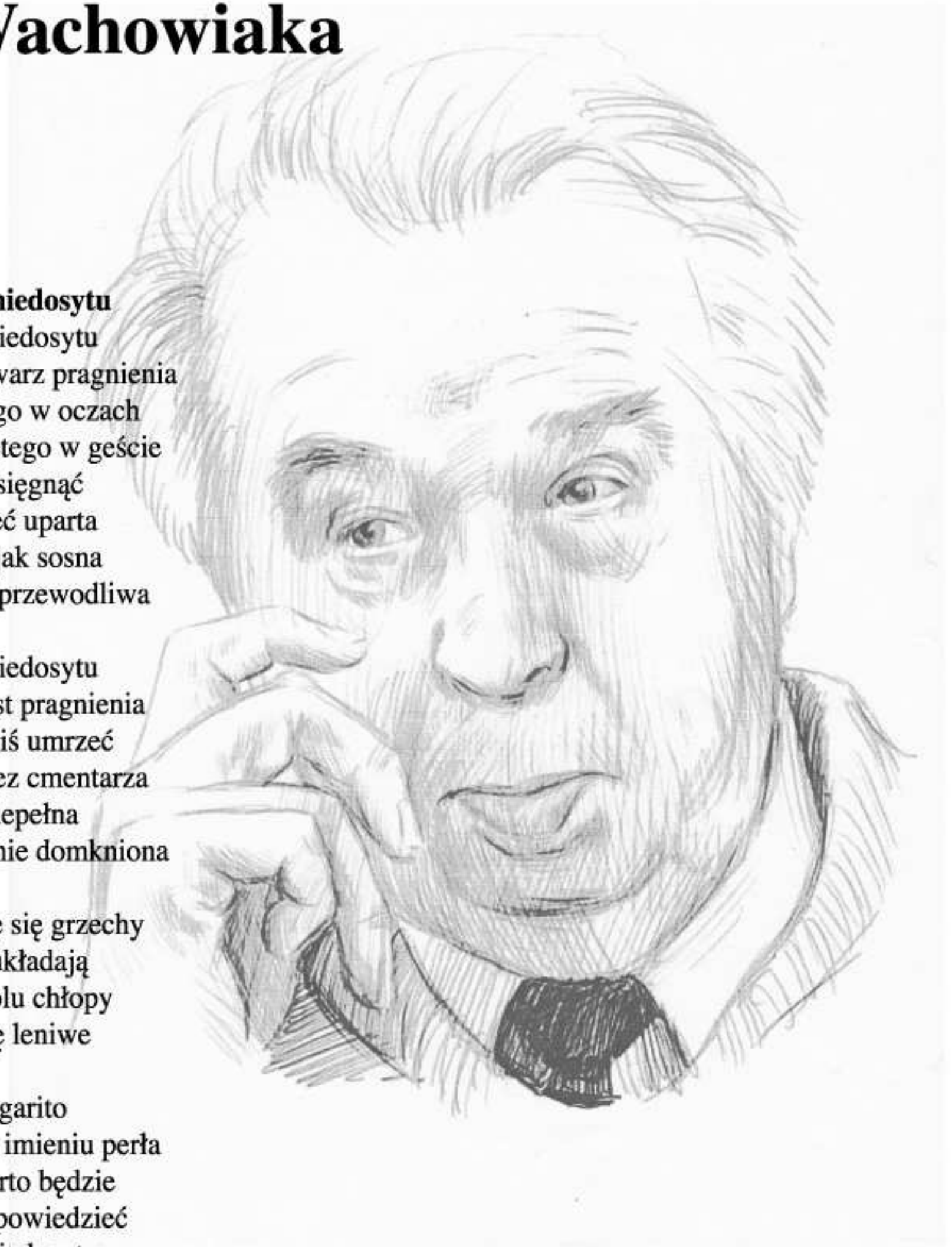
W biblię się grzechy
łatwiej układają
niż w polu chłopcy
kładą się leniwe

Żyj Margarito
w twym imieniu perła
więc warto będzie
ciebie opowiedzieć
Twarz niedosytu
jest to twarz pragnienia
a oko chłopki
bardziej przenikliwe
niż z instrumentem
oko uczonego

Twarz niedosytu
męką jest pragnienia

EUGENIUSZ WACHOWIAK

*) *Wiersze pochodzą z tomiku „Słowo i gest”* wydanego przez Wydawnictwo Poznańskie w Poznaniu w 1976 r.



Kamienie przemówiły o przeszłości

O problemach z pierwszym fundatorem, uczonych opatach, księgach tworzonych w skrytorium lubińskiego klasztoru - opowiada mediewista Zbigniew Wielgosz, profesor dr hab. Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu.

Po przyjęciu chrztu do Polski zaczęli napływać duchowni, by zaszczerpić nową religię, rozpoczął się okres trwającej kilka wieków chrystianizacji.

- U początków polskiego kościoła stoją Benedyktyni, byli najstarszą formacją zakonną w kraju. Święty Wojciech i jego przyrodni brat arcybiskup Radzim Gaudenty, poznańscy biskupi Jordan i Unger, biskup krakowski Aaron, pierwszy opat w Tyńcu; wszyscy oni byli benedyktynami. Historycy przyjmują, że najstarsze klasztory w Mogilnie i Tyńcu powstały za czasów Kazimierza Odnowiciela. W diecezji poznańskiej pierwszy klasztor powstał w Lubiniu. Konwent lubiński przybył do Polski z opactwa św. Jakuba z Liège w Belgii. Znaczenie kulturalne, religijne, oświatowe, gospodarcze, społeczne, osadnicze, cywilizacyjne klasztoru lubińskiego jest nie do przecenienia. Tyle że brak zachowanych materiałów pisanych uniemożliwia do niedawna odtworzenie jego początków, dopiero archeologia przyszła z pomocą. Jak powiedział jeden z historyków - kamienie przemówiły o przeszłości.

Historycy mogli wreszcie ustalić, kiedy naprawdę bracia przybyli do Lubinia?

- Przez całe wieki tradycją było twierdzenie, że klasztor został założony przez ród możnowładczy Awdańców i księcia Bolesława Krzywoustego. Jednak profesor Zbigniew Perzanowski z Krakowa, jeszcze przed podjęciem szeroko zakrojonych badań archeologicznych, postawił tezę, że Lubień jest fundacją królewską Bolesława Śmiałego. Wyniki prac wykopaliskowych potwierdziły w pełni domysły krakowskiego uczonego. Obecnie przyjmuje się, że

pierwsza fundacja powstała u schyłku XI w. i była związana z królem Bolesławem Śmiałym. Ta pierwsza fundacja była nieco kłopotliwa dla braci, dlatego przez wieki niechętnie się do niej przyznawali.

Przemilczanie niewygodnych faktów ma więc długą historię.

- Jan Długosz, piszący w XV wieku, niektóre wydarzenia upiększał, inne zaś pomijał. W swojej kronice jako fundatora podał komesa Michała Awdańca, a jako datę powstania klasztoru rok 1113. Kronikarze lubińscy: Tomasz Łysy ze Zbrudzewa, Bartłomiej Krzywiński i Stanisław Kieszkowski skwapliwie potwierdzali tę datę i obowiązywała ona aż do czasów najnowszych. Niewątpliwie przyczyną tego zamieszania był dramat z biskupem Stanisławem, którego Bolesław Śmiały kazał uśmiercić. Ani w Lubiniu, ani w Tyńcu nie było dobrze widziane przyznawanie się do niego, więc zatarto o nim pamięć. Jednak odkrycia wykopaliskowe wydobły na światło potężną królewską fundację Śmiałego. Prace archeologiczno-architektoniczne, które od lat 70. XX wieku prowadził zespół uczonych, głównie doktor Krystyna Józefowicz i profesorowie Zofia i Stanisław Kurnatowscy, ujawniły fundamenty ogromnej trzynawowej bazyliki z połowy XI wieku, mury obronne i fosę. Jak sugerują najnowsze badania, była to fundacja koronacyjna, o czym świadczą założenia okazałej bazyliki, bogate nadania ziemskie, liczne przywileje, około 30 osad, grody oraz dwa miasta: Krzywiń i Święciechowa oraz setka poddanych z Kuskowa. Nic w tej fundacji nie było przypadkowe, starannie wybrano miejsce, a było nim pogranicze Wielkopolski i Śląska. Najwyraźniej fundato-



Prof. dr hab. Zbigniew Wielgosz.

Fot. Teresa Mastowska

torom przyświecały także cele misyjne na słabo jeszcze schryistianizowanym obszarze południowo-zachodniej Wielkopolski. Na pogranicza nie było kościelnych ośrodków. Po tragedii króla, a może wskutek pożaru, tego nie wiemy, ogromne przedsięwzięcie zostało porzucone, a mnisi stamtąd odeszli...

... ale wrócili po około 50 latach.

- W herbie benedyktynów widnieje święty pień, z którego wyrastają zielone łodygi, tak przez wieki życie benedyktynów gasło, aby po jakimś czasie na nowo się odrodzić. Od numeru czwartego „Zeszytów Lubińskich” widnieje herb zakonu św. Benedykta z opactwa na Monte Cassino. Druga fundacja spowodowała nowe odrodzenie, a budowle wtedy postawione przetrwały przez wieki. W XII w. zbudowano nową, trochę mniejszą niż poprzednia, jednonawową świątynię z ciosów granitowych. Z Lubiniem mocno związali się wielkopolscy Piastowie. Rodzina Mieszka Starego prawdopodobnie szykowała tu swoją nekropolię rodową. Domysły te potwierdziły odkrycia archeologiczne miejsc pochówku w kościele opackim synów Mieszka Starego: Bolesława, poległego w bitwie nad Mozgawą i Władysława Laskonogiego. Bolesław został pochowany w krypcie pod emporą, a Laskonogi w 1231 r. w kaplicy grobowej po północnej stronie prezbiterium. Nie ulega wątpliwości, że książęta wielkopolscy, jako spadkobiercy króla Bolesława Śmiałego, utrzymywali patronat nad fundacją klasztoru. Opaci lubińscy byli kapelanami

dworskimi wielkopolskich książąt, ponadto przysługiwało im prawo zasiadania w stallach w poznańskiej katedrze oraz przemarsz w procesji na trzecim miejscu za biskupem ordynariuszem. Poza tym jak już wspominałem klasztor pełnił ważną rolę kulturalną. Posiadał bogatą spuściznę rękopiśmienniczą i drukowaną, skryptorium lubińskie pracowało pełną parą.

Zachowały się jakieś księgi, które powstały w klasztorze?

- Wybitny znawca dziejów benedyktynów ojciec Paweł Sczaniecki z Tyńca zwykł mawiać: „Szczęśliwy Lubiń! Opactwo tamtejsze ma bogatszy zasób źródeł historycznych, aniżeli którekolwiek inne na terenie Polski”. Jednym z najstarszych zabytków piśmiennictwa jest Ewangeliarz z XI w. Historycy twierdzą, że został przywieziony do Lubinia przez pierwszy konwent. Na końcu Ewangeliarza zostały dwie wolne karty, na których spisano księgę bracką z imionami fundatorów, żyjących i zmarłych oraz pozostałych dobrodziejów. Księga ta pochodzi z końca XII w. Na czele dobroczyńców wpisano Bolesława Śmiałego z żoną, Władysława Hermana z żoną oraz imiona innych książąt wielkopolskich. Natomiast Awdańcy znaleźli się na siódmym miejscu. W okresie zaborów około 1833 r. zabytek trafił do Rosji, odzyskany po pierwszej wojnie światowej, spłonął w czasie II wojny. Najstarszym, zachowanym w oryginale zabytkiem polskiej annalistyki jest Rocznik lubiński z XIII wieku, odkryty całkiem przypadkiem na wyklejce jednego z rękopisów, które po kasacji zakonu w 1834 r. wywieziono do Berlina. W XVI w. nie był już potrzebny i posłużył za materiał introligatorski. Zachowały się dwie strony i kilka pasków. Niesamowita sprawa. Tekst odczytany ze skrawków mówi, że w 1145 r. biskup Konrad poświęcił ołtarz w kościele klasztornej Najświętszej Marii Panny. Rękopis obecnie znajduje się w bibliotece uniwersytetu w Tübingen.

Po kasacie olbrzymią bibliotekę rozkradziono, część zbiorów wywieziono do Berlina, gdzie do dzisiaj jest wiele cennych rękopisów. Do Lubinia już nigdy nie wróciły. Natomiast pozostałe rękopisy, inkunabuły, książki drukowane włączono do bibliotek seminarium duchownego w Poznaniu, Gnieźnie i poznańskiego Archiwum Państwowego. Warto dodać, że część zbiorów księdza Wojciechowskiego odziedziczyła rodzina Biskupskich, która przekazała je do Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk.

Z zachowanych dokumentów dowiadujemy się wiele o klasztorze.

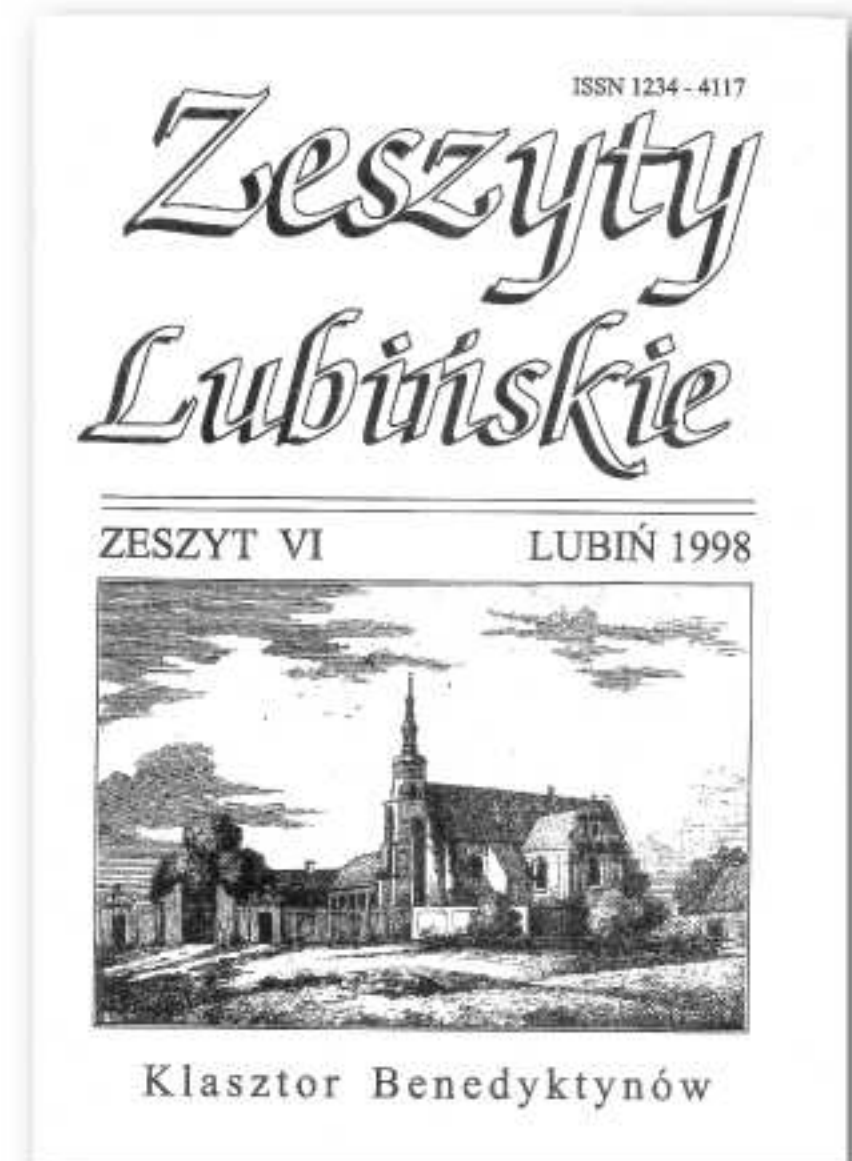
- Niewątpliwie, piętnastowieczny Nekrolog zawiera spis zmarłych, sporządzony został na podstawie wcześniejszych zapisów, figurują w nim nawet nazwiska opatów klasztoru z Liège, imiona zakonników i fundatorów. Takie nekrologi prowadzono w każdym klasztorze, stanowią cenne źródło dla badaczy. Niestety Nekrolog zaginął. Dzięki żmudnej pracy krakowskich i poznańskich naukowców lubińskie rękopisy; rocznik, księga bracka, nekrolog, doczekały się krytycznych wydań.

Klasztor w Lubiniu miał szczęście do świątłych, wykształconych przeorów, którzy doceniali słowo pisane, nierzadko sami tworzyli wartościowe dzieła.

- To prawda, znana jest działalność przeora Tomasza ze Zbrudzewa koło Śremu, zwanego Łysym. Zanim przybył do Lubinia uczył się w Kolegium Lubrańskiego, może na Uniwersytecie Jagiellońskim, tego dokładnie nie wiemy. Posiadał gruntowną wiedzę teologiczną, doskonale znał historię kościoła. Był uczniem księdza Walentego Wróbla, znanego tłumacza psalterza. Kierował klasztorem w latach 1538-1567, prowadził pracę duszpasterską, reprezentował konwent na zewnątrz, do tego był świetnym tłumaczem pism Starego Testamentu, spisywał kazania, tworzył kronikę klasztoru, która nie zachowała się do naszych czasów, ale była znana dziejopisom klasztoru lubińskiego. Jego tłumaczenia mają ogromne znaczenie dla badań nad historią języka polskiego. Pisarstwo i tłumaczenia zakonnika cieszyły się dużym poparciem wybitnego opata Pawła Chojnackiego. Zachowane kopie korespondencji świadczą o kontaktach klasztoru z wybitnymi osobami Wielkopolski i kraju. Przetrwiała tylko część twórczości Tomasza, około 30 woluminów rozproszonych po archiwach i bibliotekach, są jednak cenne dla scharakteryzowania jego działalności. Profesor Irena Kwilecka dokładnie przebadła jego spuściznę, wydo była z zapomnienia sylwetkę tego pisarza i biblistę.

Kolejny przeor zasłużony dla piśmiennictwa pochodził z Krzywina.

- Chodzi o znakomitego kronikarza Bartłomieja Krzywińskiego, człowieka wielce uczonego, po studiach, autora kroniki z połowy XVII w. Przy pisaniu wykorzystał zapiski żyjącego 100 lat wcześniej przeora Tomasza ze Zbrudzewa, nie podając tego



Okładka pisma naukowego „Zeszyty Lubińskie”, którego redaktorem naczelnym był prof. Wielgosz.

do wiadomości, ale kontynuował dzieje klasztoru. Utrwalił pogląd, że Awdańcy byli pierwszymi fundatorami klasztoru. Jego kronika czeka na opracowanie krytyczne. W klasztorze oraz Archiwum Państwowym w Poznaniu zachowały się jej egzemplarze. Autor doprowadził dzieje do 1630 r. kończąc słowami, że do kraju przybyli Szwedzi.

Nie oszczędzili Lubinia...

...spłądrowali klasztor, skradli część księgozbioru. Później zabór pruski to lata, kiedy nad lubińskimi benedyktynami znowu zawisły czarne chmury. Ważną, chociaż tragiczną postacią, był opat Stanisław Kieszkowski, który żył ze świadomością, że klasztorowi grozi upadek i ruina oraz zanik tradycji benedyktyńskiej. Proces sekularyzacji już się toczył, władze pruskie tylko czekały, by zamknąć klasztor i położyć rękę na jego dobrach. Kieszkowski był przedostatnim opatem przed kasatą. Przewidując to wszystko zabrał się do ratowania spuścizny, wiele ocalił; przepisywał, komentował, uzupełniał dzieło swoich poprzedników. Jest także autorem kroniki, w której najważniejsze wydarzenia z dziejów klasztoru doprowadził do 1802 roku. Nazwał to dzieło skromnie „Nowym dodatkiem”. Napisał też kronikę parafii św. Leonarda, kościoła obok klasztoru. Jego zapiski znajdują się w Lubiniu i Archiwum Państwowym w Poznaniu. Zanim w 1779 r. objął opactwo w Lubiniu był opatem w Horodyszczu. Po kasacie w 1836 roku bracia znowu opuścili Lubiń. Życie w

klasztorze zamarło na kilkadziesiąt lat. Powrócili w 1923 roku, a w 1924 z woli kardynała Edmunda Dalbora i opata z Pragi Vykoukala rozpoczęli działalność. W tym roku obchodzimy jubileusz 90. rocznicy powrotu mnichów reguły św. Benedykta do Lubinia. „Succisa virescit” – ponownie spełniło się proroctwo o odrodzeniu w dziejach benedyktyńskiego Lubinia. Myśl o wskrzeszeniu życia zakonnego przetrwała próbę czasu. W siódmym numerze „Zeszytów Lubiąskich” zamieściliśmy tekst aktu erekcyjnego klasztoru benedyktynek w Lubiniu z 25 lutego 1924 r. oraz decyzję o rozpoczęciu działalności klasztoru wydaną przez kardynała prymasa Edmunda Dalbora.

O których lubińskich zabytkach piśmienniczych warto jeszcze wspomnieć?

- Cennym źródłem jest Księga profesji z lat 1501-1815, która zachowała się w poznańskim archiwum. Każdy zakonnik, który składał śluby spisywał kartę ze ślubowaniem. Niewielka część księgi zachowała się, ale dostarcza istotnych informacji o ruchu ilościowym zakonników, ich nazwiskach, skąd pochodzili, jest wykaz nowicjuszy. Stamtąd wiemy, że opat Chojnacki w 1569 r. opasał klasztor murem z cegieł. Kilkanaście lat później wybudował w Poznaniu bursę dla braci uczących się w Kolegium Lubrańskiego, ponadto w Lubiniu założył szkołę średnią.

Lubiń posiada bogatą spuścizną dokumentów; inwentarze, kopiarze, czyli kopie dokumentów np. przywilejów klasztornych. Wszystko rozproszone w bibliotekach i archiwach Gniezna i Poznania. Część lubińskich dokumentów wydał krytycznie profesor Perzanowski, ale wiele zabytków piśmiennictwa, tekstów historiograficznych wciąż czeka na opracowanie, m.in. kroniki Bartłomieja z Krzywina, Kieszkowskiego. Jest to żmudna praca, polega na szczegółowym rozpoznaniu warsztatu pisarza.

Klasztor posiadał bogate dobra, ale przede wszystkim był motorem przeobrażeń w regionie. Z krzyżem, książką i pługiem wprowadzali postęp i wyższą kulturę w wielu dziedzinach życia, w przeobrażaniu krajobrazu osadniczego, organizacji życia społecznego, pracy duszpasterskiej. Na przestrzeni niemal tysiąclecia dziedzictwo benedyktyńskiego opactwa jest godne przypomnienia, zwłaszcza w okresie przygotowań do obchodów 1050 rocznicy chrztu Polski.

Rozmawiała
TERESA MASŁOWSKA

Z przeszłości miasta Wielichowa. (1)



Pocztówki ze zbiorów Muzeum Regionalnego im. dra med. Henryka Florkowskiego (2x)

Rozpoczynamy druk wybranych fragmentów unikalnej książki pt. „Z przeszłości miasta Wielichowa 1429 -1929:”, wydanej nakładem wielichowskiego Magistratu w Drukarni Śremskiej z okazji 500-lecia miasta. Jej autorem jest polski historyk i archiwista Adam Henryk Kaletka (* 22 XII 1877 w Wielichowie, † 6 I 1956 w Poznaniu). Zachowano pisownię oryginału.

I. Co oznacza nazwa? Jedną ze skróconych form imion takich, jak Stanisław, Czesław, Bolesław i t. p., i dziś jeszcze w codziennym jest użyciu jako Stach, Czech, Bolch i t. d. Analogiczna forma imienia Wielisław, niegdyś dość często używanego, brzmi zatem Wielich. Chcąc zaznaczyć, że coś jest własnością n.p. Bolecha możemy to w krótki sposób wyrazić zapomocą przymiotnika, urobionego od samego imienia. Dodajemy w tym wypadku do imienia końcówkę – owa – owa lub – owe. Dom jest więc – Bolechowy, rola – Bolechowa, stado – Bolechowe. W podobny sposób możemy przymiotnik urobić także od niezmiennych rzeczowników. Żoną króla jest więc król-owa, żoną zaś mego brata „brat-ową”. Ostatnie dwa razy są nam zrozumiałe nawet bez dodania rzeczownika „żona”, gdyż nie mówimy nigdy „żona królowa” ani też „żona bratowa”, lecz, opuszczając rzeczownik,

mawiamy stale „królowa” i „bratowa” z tą jednak świadomością, że opuściliśmy wyraz „żona”. Podobnie można było łatwo domyślnie rzeczowniki opuszczać także przy odmiennych rzeczownikach i tak wieś Częstocha, czyli „wieś Częstochową”, to znana nam „Częstochowa” a sioło Wielicha, czyli „sioło Wielichowo” (tak brzmiał ten dawniej tworząc go dziś, mówilibyśmy „Wielichowe”), to nasze „Wielichowo”.

Czy rzeczywiście w podanych dla przykładu ostatnich w wypadkach domyślać się należy właśnie wyrazów „wieś” wzgl. „sioło”, tego dzisiaj oczywiście już nie wiemy, gdyż możemy się zamiast nich domyślać także innych stosownych rzeczowników. Z biegiem czasu, gdy zatarła się świadomość, że nazwy miejscowości, zakończone sufiksem – owa lub – owo, z pochodzenia są przymiotnikami, stały się one rzeczownikami i odtąd równymi z nimi podlegają przypadkowi. Nie mówimy zatem, jakby właściwie być powinno – „do Wielichowego” (t. zn. „sioła”), lecz „do Wielichowa”. Tylko w niektórych jeszcze okolicach przetrwała może świadomość, że odnośna nazwa stanowi przymiotnik. Tak n. p. w Małopolsce mówią i piszą dziś jeszcze nie „do Limanowy” (jak do Częstochowy), lecz „do Limanowej” (t. j. „wsi”).



Nazwa Wielichowo oznacza zatem sióło Wielisława czyli Wielicha, a przekonanie ludności miejscowej, iż powstała ona stąd, że się tam „wiele chowa” wzgl. Kiedyś chowało zwierząt, ptactwa, ryb, jest zupełnie mylne. Pewien związek między imieniem Wielisław a nazwą miasta Wielichowa można nawet stwierdzić historycznie, lecz o tem na Innem miejscu. Z nazwą Wielichowo lub podobnemi spotykamy się na obszarze Polski jeszcze kilkakrotnie: łąka Wielichów czy też Wielichowa leży pod Mechlinem-Zbrudzewem (powiat śremski) jedno z jezior pod Świerczyną (pow. leszczyński) nosi nazwę Wielichowo, również jeden z lasów tamtejszych; Wielichów jakiś leży w pow. łuckim, pole, zwane Wielichowskie, na Siedleminie (pow. jarociński), pole, zwane Wielichowo wzgl. Wielochowo, na Wilkowyi (pow. jarociński).

II. Pierwsze historyczne wiadomości. Już w r. 1297 było więc Wielichowo własnością biskupów poznańskich. Kiedy się ono nią stało, czy wchodziło w skład pierwszego uposażenia biskupstwa czy też później nabyte zostało drogą kupna, zamiany lub darowizny z rąk książęcych lub rycerskich, tego z pewnością nie wiemy. Można w kwestii tej wyrazić tylko pewne przypuszczenie, niepozbawione

większego prawdopodobieństwa, że tak istotnie było. X. Stan. Kozierowski, który na podstawie osobnego studium nad rodem Samsonów-Watów dochodzi do wniosku, że imię Wielisław w rodzie tym jest charakterystyczne, a obecność ich w Prochach, Pruszkowie i Tarnowie stwierdza pod r. 1380, wyraża przypuszczenie, „że imię Wielisław jest w związku historycznym z Wielichowem”. Pyta więc, czy Samsonowie nie byli pierwotnymi właścicielami Wielichowa, nim je posiadli biskupi poznańscy przed r. 1297. Pytanie to powtarza on w jednej z następnych prac. Zdaje nam się, iż przypuszczenie wspomnianego badacza potwierdzić może fakt, że jeden z gruntów, t. zw. „Koźnierz” (obecnie łąka i las), jako zwarty kompleks rozciąga się poprzez granicę Wielichowa i Proch, co niewątpliwie świadczy, że obie miejscowości kiedyś mieć musiały wspólnego dziedzica i że granicę, przecinającą ten kompleks, ustanowić musiano później przy sposobności jakiegoś podziału majątności. Otwartą natomiast jest nadal kwestja, czy Samsonowie pozbyli się Wielichowa przez darowiznę, sprzedaż lub zamianę.

III. Choroby, Głód, drogość i nieurodzaje. Pożary. Wojny, pochody i postoje wojsk. „Od powietrza, głodu, ognia i wojny

zachowaj nas, Panie” – tak modli się i dziś lud polski w swoich kościołach, przejąwszy pieśń tę z ust dawnych pokoleń, często a srodze przez klęski te nawiedzanych. Trzy pierwsze zna ludność dzisiejsza – przynajmniej w zachodnich dzielnicach Polski – w całej ich zgrozie i okropności chyba już tylko z ksiąg i opowiadań. W dawnych jednak czasach, kiedy sztuka lekarska tkwiła niemal jeszcze w powijakach, kiedy liche drogi, brak i nieznamość szybszej komunikacji uniemożliwiały spieszłą aprowizację głodem dotkniętych krajów a drewniane czy słomiane miasta i wsie co rok licznie szły z ogniem i dymem, były klęski te dla bezbronnej wobec nich ludności ciężkim i srogim biczem bożym. Tylko wojna nie straciła dotąd nic z swych okropności, a raczej więcej nabyła.

Choroby: Najgroźniejsze choroby, jakie dawniej dziesiątkowały ludność i nieraz wyludniały całe wsie, miasta i okolice, były mór (morowe powietrze), cholera i ospa. Tylko o pierwszych dwóch przytoczyć możemy kilka wiadomości.

Powietrze panowało w Wielichowie w lipcu roku 1585, w ostatnim kwartale r. 1653 i w pierwszym kwartale r. 1657. Powszechnie w latach 1709 i 10 panując w Wielkopolsce, nie ominęło ono również Wielichowa. Kapituła poznańska, która,

uszedłszy przed niem z Poznania, dotąd się schroniła i tutaj w dniu 18. lipca 1709 r. odbyła walne swe posiedzenie, widziała się niebawem zmuszoną ujść przed niem do Żegowa.

Cholera srożyła się w mieście w r. 1849. Ile ofiar pochłonęła, nie wiemy. Ponownie pojawia się w r. 1866, kładąc na łożu 128 osób, w tem 62 mężczyzn i 66 kobiet. Z tej liczby umiera 40 mężczyzn i 39 kobiet, czyli przeszło 1/20 część mieszkańców (1498). Na chorobę tę zapadła jako pierwsza, przebywając ją zresztą szczęśliwie, w dniu 5. sierpnia Józefa Stähr (czy też Spähr) z domu Daltzówna, przeniósłszy ją – według tradycji – z Swarzędza. Następnego dnia zapadają na nią Marjanna Świtalska i Petronela Nadolska, umierając niebawem jako pierwsze ofiary. Ostatnie wypadki śmierci zaszyły 3. października (Szymon Paluch i niejaka Bartkowiakowi). Głód, drogość i nieurodzaje. Głód był zwykłym następstwem nieurodzajów, wywołanych nadmiarem lub brakiem opadów, pojawieniem się szarańczy, lub towarzyszyć mógł w czasie wojny a nawet pokoju pochodom i postojom wojsk, których liczebność sama nieraz wystarczyła, aby doszczętnie objeść i wygłodzić żyzną nawet okolicę, a tem więcej, jeżeli mściwe lub niesforne żołądactwo szlak swój znaczyło grabieżą i pożogą plonów. Brak szybkiej komunikacji a w dodatku i odpowiedniej organizacji, głównych czynników, któreby w danym wypadku zapewnić mogły rychłą pomoc nawiedzonemu kłeską głodową obszarowi kraju był również nie mniejszą przyczyną, że kłeski głodowe przybrać mogły często katastrofalne rozmiary. O ile brak środków spożywczych zaznaczył się w łagodniejszym stopniu, wywoływał on, powodując drożyznę, głód i nędzę zwłaszcza wśród ludności uboższej.

Powszechna drogość roku 1667 dała się odczuć również w Wielichowie. Była ona następstwem trwających jeszcze w poprzednim roku na obszarze Wielkopolski walk i ruchów wojsk królewskich i rokoczanina Jerzego Lubomirskiego. Niezwykle ostra zima roku 1739/40, trwająca aż do Świątek (5. czerwca) wygubiła pszenicę, przeredziła żyta, poniszczyła wiele drzew i ziół, ptactwa i ryb, opóźniając sprzęt zbóż o kilka tygodni. Roztopy, które jeszcze jesienią roku 1740 uniemożliwiły obsianie znacznych połaci ról w Wielichowie i Dębsku, należy z pewnością przypisać tej tak długotrwałej zimie.

Żniwa w r. 1759 „szarańcza popsowała”,

tak samo „pośrótowała” ona r. 1761 część żyta, a w Gradowinach zjadła doszczętnie jęczmień, że ani kłosa nie zebrano. W r. 1762 nie zebrano pszenicy w Wielichowie, Łubnicy i Trzcinicy, a w Gradowinach żyta, znowu z powodu najazdu szarańczy. Po nieurodzaju roku 1846 skazanych było 50 osób w mieście na dobroczynność z strony mienniejszych mieszczan oraz okolicznych dziedziców i dzierżawców. Znany nieurodzaj w r. 1856 zmusił miasto i władze państwowe do wydatniejszej jeszcze pomocy Wydano wtedy ubogim miejscowym bezpłatnie 12471 porcyj jadła, za minimalną opłatą zaś (4 wzgl. 6 fen.) 1748 porcyj zupy, 71 – mięsa i 350 – chleba. Powiat pospieszył miastu z pomocą, dając na ten cel 500 talarów, z których miasto czwartą część zwróciło kasie powiatowej.

Pożary. O pożarach miasteczka posiadamy, począwszy od pierwszych lat XVI w., dość dużo wiadomości, częściowo niestety tak ogólnikowych, że niepodobna z nich stwierdzić lat, w których pożary nawiedziły miasto, dzielnic miasta, które stały się ich pastwą, ani też ich przyczyn i skutków. Najdawniejszy pożar, o jakim doszła nas wzmianka, nawiedził miasto w r. 1507 lub krótko przedtem. Pochłonął on większą jego część, skutkiem czego miasto uzyskało zniżkę podatku, t. zw. szosu, płacąc tylko ½ grzywny (sąsiednie miasteczko Ziemin zapłaciło w tym samym czasie 1 grzywnę). W czasie Wielkiego Postu r. 1563 zniszczył ogień, jak z stosunku pewnych liczb, zanotowanych przy pobieraniu szosu, wnioskować można, przeszło piątą część miasta. W dniu 21. grudnia 1625 spłonęło 14 domów. O pożarze z r. 1719 zanotowano szczegółowszą wiadomość dopiero pod r. 1760, inna – z r. 1720 – wspomina o nim tylko w kilku słowach. Wybuchł on w dniu 6. sierpnia w domu Pawła Urama z powodu lekkomyślności jego żony, Katarzyny z Lasotów, a pastwą płomieni stały się wówczas 33 domy, browar miejski i dwór pański z stodołami i oborami. Pogorzenie browaru i zabudowań dworskich, których położenie jest znane z tradycji wzgl. Odpowiada dzisiejszemu, oraz domu Pawła Urama, który stał w rynku, jak również szpitala, o którym wizyta X. Lipowicza z r. 1725 wspomina, że „stoi w rynku... po świeżym pożarze nowo wystawiony”, pozwala nam ustalić, że ogień spalił rynek i najbliższą jego okolicę, a skutkiem zachodniego wiatru przeniósł się na dwór.

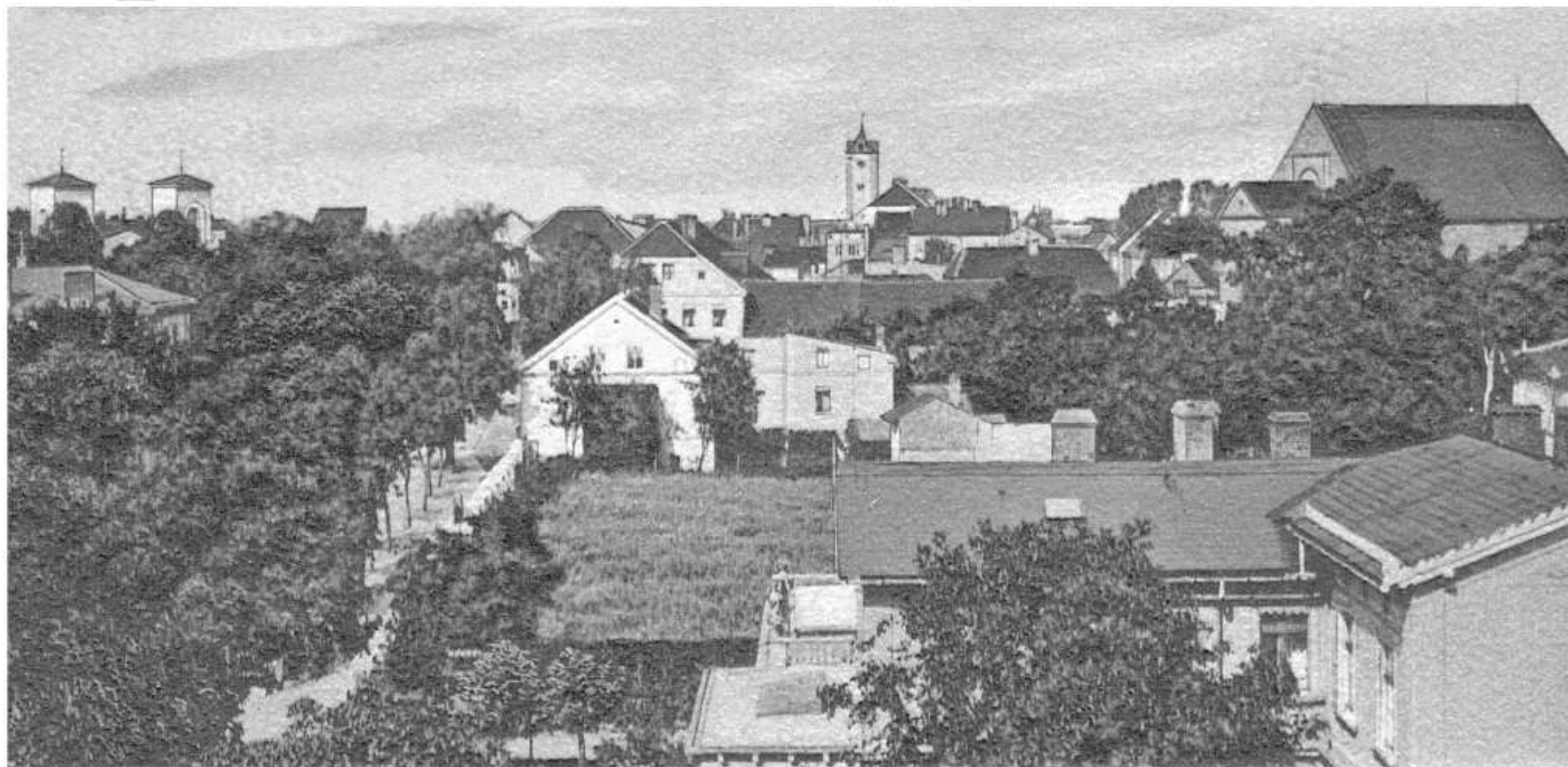
Następny pożar, o jakim się dowiadujemy,

wybuchł 18. września 1760 o godz. 9½ przed południem w tym samym domu i z winy tej samej kobiety, powtórnie zameżnej ze szewcem Kasprem Miałeckim. W ciągu 4 godzin obrócił ogień w gruzy i popiół 23 domy, w tem karczmę dworską „rynkową”, pozatem ratusz, 3 stodoły i 19 chlewów. W pomoc pogorzelncom przyszła kapituła, udzielając im zniżek w czynszach, częściowo może nawet całkowitego upustu, a pozatem niektórym z nich udzielając pożyczek pieniężnych. Pożyczki otrzymali: Kuźdowicz Mać., burm. Lasocki Michał (na zastaw klejnotu strzeleckiego), Nowaczyk Jak., Przykłocki Wawrz. (po 126 zł 20 gr), Krajewski Wojc. (220 zł), Bobrowicz Stan. (253 zł 10 gr.), Orłowicz Jak. (300 zł) i Krukowicz Krzysztof. (340 zł). Co do trzech z nich musiała kapituła widocznie zrezygnować w części lub zupełnie ze zwrotu należności, jak świadczyć się zdaje zapiska: „Za tę sumę tym pogorzelncom pożyczoną pewnie Illustrissimum Capitulum będzie się kontentowało tą zapłatą: Bóg zapłać! – gdyż excepto (wyjąwszy) Orłowicza i Krokowicza, co mogą cokolwiek dać, ale Krajewski tylko ma duszę w ciele”. Oprócz wspomnianych spaliło się także domostwo Kazimierza Młynka wzgl. Jego sukcesorów.

W Wielką Sobotę (2 kwietnia) 1774 r., o godzinie dwunastej w południe nawiedził miasteczko nowy pożar, „a lubo było ludzi dostatek z wsiów, którzy się zeszli na nabożeństwo dniowi temu zwyczajne, jednak dla wielkiej suszy i wyteżonych wichrów, które nadzwyczaj panowały, mało co ubronić mogli, to tylko, że się w rząd pod wiatr ku miastu ogniewi szerzyć nie dopuścili... W tym pożarze zgorzało domów obsiadłych z chlewami etc... czternaście, mielcuch suszenny jeden, stodoł, w których niektórzy jeszcze zboża mieli, jedenaście, w sadkach drzewa”. Z przytoczonego opisu możemy wnioskować, że tym razem srożył się ogień w ulicy Grodzkiej. Powstał on skutkiem nieostrożności przy wynoszeniu popiołu. W ciągu następnych 60 lat nie mamy żadnej wiadomości o pożarach w mieście. Dopiero rok 1834 przyniósł nowy straszny pożar, który, powstawszy w domu jakiegoś kowala, prawdopodobnie z niedbalstwa czy też nieostrożności, w perzynę obrócił – znowu w rynku – 20 domów i tyleż chlewów. (cdn)

Wybrała
TERESA MASŁOWSKA

Opis Kościana (4)



Panorama miasta Kościana na przełomie XIX i XX wieku. Pocztówka w zbiorach Muzeum Regionalnego im. dra Henryka Florkowskiego w Kościanie

Oparty na dokumentach historycznych znajdujących się w kościele farnym w Kościanie i na Wspomnieniach Wielkopolski tj. Województwa Poznańskiego, Kaliskiego i Gnieźnieńskiego Edwarda hr. Raczyńskiego.

Takie badawcze porównanie różnych wystaw, mianowicie w naszym kraju, a tych znów z zagranicznymi, jest nader pouczającym. Z niego to bowiem uczyć się możemy międzynarodowej niekrwawej wcale, a jednak morderczej a zgubnej dla zwyciężonych w niej walki o byt. W tej walce ten uledek musi, który się nie posuwa naprzód, i ten też naród utraci swoją narodowość, który się zatrzymuje w ogólnym ludzkości pochodzie, bo go największy zdobywca, handel i przemysł, zgniecie. Nie utrata niezawisłości, nie prawa przez zdobywców wydawane gubią narody podbite, lecz wciskający się zewsząd handel i przemysł cudzy, kiedy naród podbity go u siebie nie wytwarza, gubią narodowość.

W historii na to mamy przykłady. Sparta, póki się umiała utrzymywać przy barbarzyńskich prawach

Likurga i przeszkadzać wciskaniu się przemysłu ościennych narodów, istniała mimo swego zastoju, jako państwo udzielne; zginęła pobita zagranicznym handlem i przemysłem, nie umiając potrzebnych dla egzystencji przedmiotów wyrabiać u siebie a gardząc rolnictwem, przemysłem i handlem.

Chiny też murem i prawami odosobniły się przez długie wieki od reszty świata, w skutek czego nastąpił zastój myśli i zastój pracy. Runie to rozległe państwo, jeżeli uporczywie sprzeciwiać się będzie wprowadzaniu nowej idei i nowego rodzaju pracy. My, o tem świadczy tegoroczna nasza wystawa warszawska, idziemy naprzód, a zatem mamy nadzieję, że – nie zginiemy!

Patkul, generał moskiewski, wyprawił naprzeciwko Polakom natychmiast, tu z Kościana 4 szwadrony dragonii i 300 kozaków pod dowództwem podpułkownika Olszowa, który, ufny w swą siłę, zapewniał Patkula, że oddział Zaręby zbije, rozpędzi lub do niewoli weźmie. W jego przechwałki uwierzył Patkul, i już kazał tu w mieście więzienne uprzętać dla tych spodziewanych niewolników. Biedny

generał przysposabiał klatki dla ptaszków, których jeszcze nie miał. Zaręba tymczasem uszykował pod Rąbiniem, zapewne w lesie 200 ludzi, i dwa szwadrony jazdy, wysunął ten zastęp naprzód i kazał im się ukryć w boru po obu stronach drogi. Gdy Olszów zbliżył się do głównej siły polskiej, obie strony, jakby za danym znakiem, dały z koni ognia do siebie, ale Zaręba zaraz do odwrotu zatępić kazał. Olszów myśląc, że Polacy pierzchają, natarł na nich całą siłą, w te szwadrony w zasadzce ukryte z prawego i lewego skrzydła uderzył na Moskali, Zaręba odmienił z nagła front z swoją jazdą i hajzą na nich, a tu z tyłu Grabowskiego rotmistrza wojsk polskich oddział się ukazał i zupełnie odwrót im odciął. W jednej godzinie cała komenda Olszowa w pień wyciętą została, tak dalece, iż ledwie 15tu niedobitków do Kościana życie uniosło, zwiastując Patkulowi tę klęskę. Rozgniewany Patkul wyszedł natychmiast z piechotą a armatami na przedmieście i pogoń konfederatów wstrzymał, bo ci bez dział nie mogli dobywać miasta murem i fosą głęboką obwarowanego.

Kościan jako miasto królewskie

(rządowe) rządziło się prawem Magdeburskiem, miało sąd ławników jako 1szą instancją; apelacja od nich szła do senatu miejskiego, a od tego do starosty i nareszcie do sądów asesorskich w Warszawie przy boku króla. Był więc porządek u nas tak jak teraz jest, mieliśmy dobre swoje gospodarstwo tylko zazdrość sąsiadów w niem nam przeszkadzała.

Kościan miał także swoją szubienicę, stała ona na lewo od drogi do Białcza prowadzącej na pagórku piaszczystym, który jeszcze dzisiaj widzimy. Szubienica ta była świadkiem okropnej zbrodni, o której akta grodzkie poznańskie wspominają. Z rąk panów Arciszewskich przeszły dobra śmigielskie do panów Brzeźnickich. Ztąd przyszło pomiędzy nimi do procesów, które się ukończyły ugodą przez sędziów polubownych. Krzysztof Arciszewski czuł się jednakże pokrzywdzonym, dla czego, aby go ułagodzić Brzeźnicki przyrzekł, iż mu majątek cały zapisze. Że tego jednak nie uczynił, przeto zawzięty Krzysztof Arciszewski chciał go gwałtem do tego zmusić; zasadził się z licznym zbrojnych ludzi poczem pod Bninem i przejeżdżającego Brzeźnickiego napadł, zatrzymał i groźbami do owego zapisu zmusić usiłował, a ponieważ groźby te nic nie pomogły, przeto go zawłókł pod bliską szubienicę kościańską, tu go zamordował, gardło mu przerznął i język wyrwawszy nożem na szubienicy go przybił. Działo się to w roku 1628. Arciszewski sędownie ścigany, uszedł za granicę, wstąpił do holenderskiej służby, odznaczył się bardzo, został admirałem; po kilkunastu latach wrócił do ojczyzny ułaskawiony od króla Władysława, został generałem artylerii, a był to bardzo znaczny stopień wojskowy i przynosił 2000 tal. bitych pensyi. Pan Bóg chociaż nie rychliwy, ale sprawiedliwy; Arciszewski zginął gwałtowną śmiercią, spaliwszy się w ogniu w czasie pożaru w Lesznie w roku 1656.

Jak tu dawniej o zdrowie i wygody mieszkańców Kościana dbano, dowodzi najlepiej to, iż wodę rurami aż ze źródeł pod Przysieką niemiecką a więc o milę ztąd sprowadzano. Tych wodociągów już nikt z

nas nie pamięta, i niejeden uważa to za bajkę, ale znalazłem w księgach miejskich czyli notaryackich wzmiankę bardzo wyraźną o tem urządzeniu. Otóż w roku 1624 a więc właśnie przed 250 laty zrobił jakiś bogaty, jeszcze bezdzietny kupiec tutejszy, testament, w którym zapisuje 500 (wartość terażniejsza około 1000 tal.) na naprawę tych wodociągów w tych słowach:

Wiedząc jak wielokroć czasów pewnych miastu Kościanowi przez niedostatek wody ciężko i niebezpieczno bywa, bez której ani żyć ani się przygodzie ogniowej obronić dobrze nie możemy, a skarb miasta Kościana temi czasy z wielu miar i przyczyn wielce zubożony, bacząc na odnowienie i położenie porządne rur od źródła Przysieckiego aż do miasta, leguję złotych 500... na tę potrzebę rur sosnowych położenie.

O tych wodociągach utrzymała się także tradycja między ludem okolicznym. Starzy gospodarze z Przysieki Niemieckiej, Nielęgowa i Naclawia opowiadali sobie o tych wodociągach sprowadzających wodę z źródła przysieckiego do Kościana.

Źródło to znajduje się a raczej kilka tych źródeł, w Przysiece Niemieckiej u stóp wzgórza, nad łąkami graniczącymi z Naclawiem, a woda czysta i zdrowa schodzi się w kotlinie mającej kilkadziesiąt metrów kwadratowych. Kiedy, lat temu trzy, hr. Potworowski, dziedzic Przysieki Niemieckiej, kazał kotlinę tę wyczyścić, aby ją opatrzyć w upust, za pomocą którego możnaby zawodnić łąki, robotnicy, zabierając się do tej roboty, zaczęli sobie opowiadać historią źródła tego powiązaną z historią studzien kościańskich. Przy przekopywaniu grobli ograniczającej kotlinę, natrafili rzeczywiście na koryta drewniane, wykierowane ku Kościanowi. Wierzch tych koryt był pokryty. Przez długie wieki zachowały się koryta te w dość dobrym stanie, tylko niektóre spruchniały. Na łąkach naclawskich znajdowano podobne koryta przy kopaniu rowów, ztąd widać, że woda szła przez te łąki, inaczej też być nie mogło. - Takto nasi przodkowie radzili o swoim zdrowiu, aby nie truć wodą zgniłą z rzeki. Mogli zresztą to robić, bo mieli się dobrze, a przemysł kwitnął i

popłacał.

Z tego testamentu kupca pokazuje się też, że tu był wówczas kościół Bożego Ciała, podobno na cmentarzu późniejszym naprzeciw oberży p. Gąsiorowskiego. Kupiec ów prowadził handel sukniem i winem i zostawił spis długi panów polskich z okolic, którzy mu byli winni za towary. Wartość kwarty wina podana tam na 7 groszy, a więc około 4 złotych terażniejszych. - Kamienicę swą zapisał dla mansjonarzy.

Przypatrzmy się gospodarzom okolicznym z owych polskich naszych czasów! Gospodarze we wsiach miejskich już wtedy byli właścicielami i rozporządzali majątkiem wedle woli, bo gospodarstwo do nich należało. Znajduje się w aktach inwentarz po Mateuszu Bąku z Naclawia z roku 1696; zapisane tam są 4 konie robocze, klacz i 3 żrebaki, wołów 4, krów 10, świń 5, owiec 50. - Pan Mateusz musiał więc być zamożnym gospodarzem i pewno mu było cieplej, jak niejednemu z dzisiejszych Bąków, jego potomków! Nazwiska we wsiach spotykają się te same co teraz: Sobiech, Mocek etc., widać więc, że Sobiechy, Bąki i Moczkowie, których i dziś mamy w naszej parafii, już setki lat między nami. W mieście za to bardzo się z czasami odmieniły stosunki, niemieckich nazwisk, jest wiele w księgach, bo Günther, Szulc, Teichert, a dziś ich nie znamy.

Na zakończenie jedną jeszcze wzmiankę. Oto w one czasy w testamentach oprócz funduszu na pogrzeb, zapisywano też na ucztę pogrzebową i nazywano to Boży obiad. Dziś tego nie znamy.

Taką jest panowie, historia miasta naszego, zebrana z dokumentów. Zestawiłem ją, aby ją przekazać potomności i uratować przed zapomnieniem. - Życzę nam wszystkim, aby miasto doczekało się dawnej swej świetności i swobody, abyśmy lepszych dożyli czasów!(Koniec)

KLEMENS KOEHLER

**) Dr med. Klemens Koehler (1840-1901) jest uważany za jednego z twórców kościańskiego regionalizmu. Powyższy tekst zaczerpnięto z poznańskiego tygodnika „Ognisko” z 1874 roku, zachowując pisownię oryginału.*

Kościaniacy w Powstaniu Styczniowym (2)



Generał Edmund Taczanowski.

Fot. w zbiorach
Muzeum Regionalnego im.
dra Henryka Florkowskiego w Kościanie

Taczanowski Edmund

Jeden z najwybitniejszych dowódców powstania. Związany przez wiele lat z ziemią kościańską, generał Edmund Taczanowski. Mieszkaniec historycznego dworku w Choryni, w którym był goszczony Adam Mickiewicz, trzymający do chrztu w miejscowym kościele siostrę Edmunda, Zofię, urodził się 23 listopada 1822 r. w Wieczynie k. Pleszewa. Jego ojcem był Józef herbu Jastrzębiec, a matką Katarzyna z Hersztopskich. Po ukończeniu 10 roku życia podjął naukę w gimnazjum im. Św. Marii Magdaleny w Poznaniu, gdzie mieszkał przy ulicy Św. Marcina. Naukę w gimnazjum ukończył w 1839 r. i natychmiast wstąpił do wojska pruskiego. Służbę rozpoczął w 5 brygadzie artylerii, która stacjonowała na terenie Wielkiego Księstwa Poznańskiego i Śląska. Po okresie rekruckim kształcił się w

szkole oficerskiej artylerii i inżynierii w Berlinie. W 1843 r. otrzymał stopień oficerski i wrócił do służby w 5 brygadzie. Służył w oddziałach tej brygady stacjonujących w Głogowie, Poznaniu, Świdnicy i ponownie w Głogowie.

W styczniu 1846 r. na własną prośbę zwolnił się z wojska. Wkrótce podjął współpracę z Ludwikiem Mierosławskim w sprawie powstania w Wielkim Księstwie Poznańskim. Miał przygotować żołnierzy do służby w artylerii. Jako kurier działał w południowej Wielkopolsce gdzie został 12 lutego 1846 r. aresztowany. Przez blisko 2 lata był więziony w poznańskiej cytadeli i w Berlinie.

W wydarzeniach, jakie miały miejsce w okresie Wiosny Ludów nie zabrakło także Edmunda Taczanowskiego, który organizował powstańczą artylerię w Pogrzebowie k. Pleszewa. Niestety już 26 kwietnia 1848 r. oddział został otoczony przez Prusaków i zmuszony do kapitulacji. Po 2 miesięcznym pobycie w więzieniu w Krotoszynie został zwolniony. Przez krótki okres czasu przebywał w Choryni, skąd wyjechał do Rzymu.

We Włoszech wstępuje w szeregi powstańcze G. Garibaldi. Tam otrzymał stopień kapitana. Walczył m.in. pod Veletro i Palestrino oraz w oblężonym przez Francuzów Rzymie i tam wyróżnił się nadzwyczajnym męstwem. W dowód uznania Garibaldi nadał mu 17 czerwca 1849 r. stopień majora. W walkach tych został ranny i wzięty do niewoli francuskiej. Po zwolnieniu z niewoli wrócił do swego majątku w Woli Książęcej. 13 listopada 1860 r. ożenił się z Anielą Baranowską.

Prowadził w tym czasie działalność patriotyczną poprzez zaangażowanie w tworzenie i działalność Bractwa Strzeleckiego w Pleszewie i Bractwa Jedności w Woli Książęcej, a także w Towarzystwie Rolniczym, w którego pamiętnych obradach w Warszawie w dniach od 24 stycznia do 27 lutego 1861 r. aktywnie uczestniczył.

Wybuch powstania zaskoczył

Taczanowskiego w Woli Książęcej. Istniejący w Poznaniu Komitet Działyńskiego zajął się organizacją oddziałów zbrojnych i pomocą materialną dla powstańców. Po przybyciu do Poznania francuskiego ppłk. De Noe podjęto decyzję o utworzeniu 3 kolumn. Kolumna odpowiadała sile ówczesnego batalionu. Jedną z kolumn za usilną rekomendacją Władysława Niegolewskiego zorganizował i dowodził Taczanowski. Działo się to w okolicy posiadłości w Woli Książęcej.

Jego oddział został dwukrotnie rozbity przez Prusaków i dlatego Taczanowski postanowił dalej organizować swój oddział po drugiej stronie granicy w okolicy Pyzdr. 29 kwietnia doszło tam do zwycięskiej bitwy z Rosjanami. Około 1200 powstańców, a wśród nich około 500 strzelców, 650 kosynierów i 50 konnych starło się z oddziałem ppłk. Alojzego Oranowskiego, którego siły liczyły około 1500 żołnierzy – 9 kompanii piechoty, Kozaków i 4 działa. Polacy wytrzymali 8 godziną wymianę ognia, a o losach bitwy przesądził atak kosynierów. Polacy w tej bitwie stracili 8 zabitych i 22 rannych. Po bitwie doszło do potyczek z wojskiem gen. Brunnera pod Choczem i Rychwałem. 6 maja oddział Taczanowskiego zajął Koło, a dwa dni później doszło do krwawej bitwy pod Ignacewem. Bitwa ta została uwieczniona obrazem Kossaka. Osiągnięcia wojskowe docenił Rząd Narodowy, który mianował Edmunda Taczanowskiego generałem oraz komendantem województwa kaliskiego i mazowieckiego. Taczanowski bardzo szybko otrząsnął się z porażki i w majątku Józefa Gajewskiego ponownie zorganizował oddział powstańczy. W kampanii letniej dowodzi w starciach z Rosjanami pod Łądem w dniach 14-15 lipca, 15 sierpnia koło Łasku, 22 sierpnia pod Złoczewem, a także Czepowem, Goszczanowem, Pęcherzewkiem i Sędziejewicami. Zaskoczeni początkowo Rosjanie przystąpili do koncentracji swojego wojska i 29 sierpnia doszło do bitwy pod Kruszyną, gdzie oddział Tacza-



Nekrolog gen. Taczanowskiego.

nowskiego został rozbity. Generał rozpuścił do domów resztki powstańców, a sam przekroczył granicę i udał się do Francji.

Władze pruskie doskonale znały działalność generała, który w zaocznym procesie został skazany na karę śmierci. Na emigracji generał nie pozostawał bezczynny, nawiązując kontakty z władzami francuskimi, tureckimi i włoskimi. Starania te okazały się jednak bezowocne. W 1870 r. skorzystał z amnestii i wrócił do Choryni, gdzie zmarł 14 września 1879 r. i tam został pochowany. Jego doczesne szczątki zostały ekshumowane w 1938 roku, przewiezione uroczysto do Warszawy i tam w dniu 2 listopada 1938 r. złożone do grobu na Cmentarzu Powązkowskim. W 125. rocznicę śmierci generała odbyła z udziałem rodziny, władz, wojska i ludności msza św., a następnie dalszy ciąg uroczystości miał miejsce przy pamiątkowej tablicy umieszczonej na dworku. Nie brakowało i nie brakuje dzisiaj głosów, że generał powinien spoczywać na wielkopolskiej ziemi.

Ziolecki Roger

Urodził się 26 listopada 1846 r. w Kościanie. Ukończył studia medyczne. Brał udział

w postaniu styczniowym. Powołany do wojska pruskiego w czasie wojny prusko-francuskiej zginął 8 lipca 1870 r. pod Metz.

Ziolecki Roman

Urodzony 23 lutego 1805 r. w Poznaniu. Zmarł 24 kwietnia 1879 r. w Kościanie,

a pochowany został w Zaniemyślu. Uczestnik powstania listopadowego, był później sędzią

w Kościanie. Przez władze pruskie podejrzewany o udział w powstaniu styczniowym.

*

Lista osób biorących udział w działaniach powstańczych z pewnością nie jest pełna, gdyż nie obejmuje osób, które nie dostały się w ręce Prusaków lub Rosjan. O próbie zaangażowania się innych kościaniaków można dowiedzieć się z raportu landrata kościańskiego z dnia 3 marca 1863 r. skierowanego do prezesa prowincji poznańskiej Horna, z którego dowiadujemy się o wyprawie ks. wikariusza Andrzeja Kamieńskiego z Krzywina

i ks. Mateusza Szafranka z Wyskoci, którzy w towarzystwie dwóch innych młodych ludzi zamierzali przekroczyć granicę Królestwa. Zdaniem landrata wyprawa nie udała się, gdyż towarzysze, z którymi mieli się spotkać w Miłostawiu zawiedli. Arcybiskup poznański indagowany w tej sprawie przez prezesa Horna bronił zdecydowanie księży. Wśród mieszkańców ziemi kościańskiej, uczestników powstania zwraca uwagę to, iż reprezentowali oni najróżniejsze profesje. Było więc wielu

duchownych, ziemian, rzemieślników, pracowników rolnych i uczniów.

Powstańcy ponieśli klęskę. Ocenia się, że spośród 200 tysięcy powstańców zginęło 20-25 tysięcy. W wyniku represji sądowych po upadku powstania zginęło kolejnych 700 osób, a 40 tysięcy zesłano w głąb Rosji. Skonfiskowano blisko 3 tysiące majątków

i zamknięto wiele klasztorów. Władze pruskie także nie pozostawały bezczynne w stosowaniu represji wobec powstańców. 7 lipca 1864 r. rozpoczął się w Berlinie proces 149 oskarżonych, a wśród nich ks. Józefa Huberta, Józefa Plucińskiego i gen. Edmunda Taczanowskiego. Wyrokiem z dnia 23 grudnia skazano zaocznie na karę śmierci 11 osób, a wśród nich gen. Taczanowskiego. 45 osób zostało uniewinnionych, a pozostałych skazano na kary więzienia od kilku miesięcy do dwóch lat. Mimo poniesionej klęski Polacy ze wszystkich zaborów dali wyraz swojej solidarności, a światu sygnał, że nie zamierzają rezygnować ze starań o odzyskanie niepodległości. II RP doceniła ofiarę krwi i wolności powstańców. 5 sierpnia 1921 r. marszałek Piłsudski odznaczył weteranów powstania orderem *Virtuti Militari*. Zostali oni wyróżnieni specjalnymi honorami, a także gratyfikacjami materialnymi. Honory powstańcom zobowiązani byli oddawać wszyscy, generałów nie wyłączać. Ostatni z tych bohaterów Feliks Bartczuk zmarł w 1946 roku. W przemówieniu wygłoszonym 5 sierpnia 1921 r. do powstańców dekorowanych orderem *Virtuti Militari* Marszałek Piłsudski powiedział, że „uzbrojeni źle, wyżywieni, wytrzymali półtora roku, walcząc jako żołnierze, z olbrzymim, potężnym wówczas państwem. Walczyli nawet bez nadziei zwycięstwa... zazdrościłem wam gorąco walki oko w oko, pierś w pierś z wrogiem”. Niech puentą tych wydarzeń będzie wiersz Felicjana Faleńskiego napisany w nocy z 22 na 23 stycznia 1863 r.

„Niech zginiemy, byle naszym
Dzieciom po nas lepiej było.
Z naszych ciał i krwi topieli
Bądź nam Polsko w wolność
żyzną” (Koniec)

JAN PAWICKI

Ks. Piotr Bączkowski (1841-1894) „Szermierz w walce kulturalnej” (1)



Kościół nie zapomina. Delegacja miasta na grobie ks. Piotra Bączkowskiego w 120 rocznicę Jego śmierci. Fot. Anna Szklarska - Meller

Na starym cmentarzu katolickim w Kościanie znajduje się grób ks. Piotra Bączkowskiego, którego 10. rocznica śmierci minęła 13 marca 2014 r. Okres, w którym ks. Bączkowski działał w kościańskiej parafii był czasem trudnym dla Kościoła katolickiego w całym zaborze pruskim. Dzisiaj z perspektywy czasu wydaje się, że swoją postawą zasłużył na wdzięczną pamięć kościańskich parafian, którzy docenili go nadając już przed II wojną światową nazwę ulicy ks. Bączkowskiego, przy której znajduje się wspomniany cmentarz.

Dlaczego wspomniany okres działalności księdza był trudny dla Kościoła? Po zwycięskiej wojnie prusko-francuskiej w 1870 r. doszło do zjednoczenia Niemiec. Powstała II Rzesza Niemiecka, a w 1871 r. król pruski został obwołany cesarzem Niemiec. „Żelazny” kanclerz Otto von

Bismarck czuł się na tyle silny, by w ramach nowej polityki wewnętrznej rozpocząć intensywną działalność germanizacyjną, skierowaną przeciwko Polakom, m.in. poprzez tzw. Kulturkampf. Działalność ta prowadzona była w dziedzinie oświaty, kultury, religii i gospodarki. Już 1 listopada 1871 roku Bismarck oskarżył polskich duchownych katolickich o tworzenie przeszkód w rozpowszechnianiu języka niemieckiego w zaborze pruskim, ponieważ narody słowiańskie i romańskie (...) w całej Europie zwalczają ducha niemieckiego, który próbuje nieść oświecenie”.

Na mocy ustawy z marca 1872 r. „O dozorcze szkolnym” inspektorzy szkolni, którymi byli dotychczas duchowni, byli powoływali spoza tego grona i uznani za urzędników państwowych. Rozporządzenie ministerialne z 16 listopada 1872 roku wprowadziło

język niemiecki jako wykładowy przy nauce religii w gimnazjach katolickich. Z kolei rozporządzenie Naczelnego prezesa Prowincji Poznańskiej z 27 października 1873 r. stanowiło, że językiem wykładowym we wszystkich przedmiotach w szkołach ludowych, z wyjątkiem nauki religii i śpiewu kościelnego, jest język niemiecki. Następnym krokiem była decyzja ministra Gosslera z 7 listopada 1887 r. o całkowitym usunięciu języka polskiego ze szkół ludowych.

W opinii władz niemieckich kościół katolicki na ziemiach zaboru pruskiego był instytucją, która mogła zniweczyć plany germanizacyjne władz i dlatego przyjęto cały pakiet ustaw tzw. majowych (1873-1874) skierowanych przeciwko Kościołowi. Ograniczono m.in. uprawnienia władz duchownych przy obsadzaniu stanowisk kościelnych, na duchownych na-

łożono obowiązek zdawania egzaminu państwowego i przysięgi na wierność państwu. Dotkliwie stało się ograniczenie prawa Kościoła do kształcenia kleryków. Władze duchowne sprzeciwiały się tym nakazom i zakazom.

Abp Ledóchowski mianował proboszczów i wikariuszy, a także kierował kleryków do seminariów zagranicznych. Narastający konflikt doprowadził do tego, że władze pruskie wydalły m.in. 30 tzw. „niepaństwowych” proboszczów na stałe, a czasowo 80. W efekcie w 1886 r. liczba nieobsadzonych parafii wynosiła 201. Lekkie osłabienie antykościelnego kursu nastąpiło w 1880 r., kiedy pozwolono sąsiadującym proboszczom opiekować się nieobsadzonymi parafiami. Wobec niepokornych księży stosowano szeroki wachlarz kar, tj. od grzywien do pozbawienia wolności. Oprócz abp Ledóchowskiego aresztowanego w 1874 r. na okres dwóch lat, pozbawiono wolności 77 księży, a grzywną ukarano 116. Liczba kapłanów w 1873 r. wynosiła 810, a po kilku latach spadła do 450.

Ten ostry kurs jak wspomniano zelżał w 1880 r., gdy Bismarck był zmuszony w sprawach parlamentarnych zwrócić się do tzw. Centrum parlamentarnego. Jednym z kierunków działań władz pruskich były próby wprowadzenia do polskich katolickich parafii tzw. proboszczów państwowych. Na terenie prowincji poznańskiej obejmującej regencję poznańską i bydgoską udało się to zaledwie w 10 przypadkach. Jedną z tych parafii była parafia kościańska, której rządcą został mianowany przez władzę świecką Julius Brenk, kierujący uprzednio parafią w Piaskach. Warto nadmienić, że będąc w tej miejscowości Brenk był dyscyplinowany przez władze diecezjalne. Okres rządów Brenka, to szczególnie trudny czas dla ks. Bączkowskiego.

*

Piotr Bączkowski urodził się 28 kwietnia 1841 r. w Bożacinie koło Krotoszyna. Jego ojcem był tamtejszy wójt Wojciech, a matką Jadwiga z domu Kałużna. Po ukończeniu w 1864 r. gimnazjum w Krotoszynie został klerykiem w Seminarium Duchownym w Poznaniu i Gnieźnie. Po otrzymaniu święceń kapłańskich został wikariuszem w Grodzisku Wlkp., a po

2 latach w 1870 r. mansjonarzem w kościańskiej farze, której proboszczem był w tym czasie ks. Arnim de Welnitz. Od 1872 r. drugim mansjonarzem był ks. Józef Bielski. Władzom pruskim nie odpowiadała. Władzom pruskim nie odpowiadała działalność ks. Bączkowskiego i dlatego już na początku 1876 r. zabroniono mu prowadzenia lekcji religii w Wyższej Szkole Sierot prowadzonej przez Siostry Miłosierdzia, którym także zakazano zajmować się kształceniem i wychowaniem sierot. 27 września 1876 r. zmarł dotychczasowy proboszcz ks. Welnitz. Przygotowaniem do obsadzenia parafii przez „właściwego” proboszcza było aresztowanie w dniu 6 listopada 1876 r. ks. Piotra Bączkowskiego.

Jak donosił „Kuryer Poznański” 7 listopada 1876 r. „Z Kościana piszą nam pod dniem 6 listopada. Dziś o godz. 4 po południu osadzono w więzieniu ks. Bączkowskiego, mansjonarza tutejszego dlatego, że nie chce świadczyć przeciw swemu konfraterowi ks. Bielskiemu”. Ten sam dziennik informował 15 listopada 1876 r., że ks. Bączkowski został zwolniony z więzienia. Kilka dni po tych wydarzeniach przybył do Kościana Brenk”.

O tym jak wyglądało wprowadzenie do kościoła farnego nowego proboszcza donosił 30 listopada 1876 r. „Kuryer Poznański”:

„Pogłoski i przeczucia niestety się ziściły, bo dziś popołudniowym pociągiem przybył ks. Brenk, by objąć tutejsze probostwo. Już od godziny 10 rozeszła się lotem błyskawicy ta wiadomość. Koło godziny 11 zaczął się lud gromadzić około kościoła, a wkrótce też zaczęli żandarmi szukać kluczy od kościoła, najprzód u kościelnego a potem u księdza Bączkowskiego, wszelkie ich szukanie jednakże było bezskuteczne, choć u ks. Bączkowskiego przeszukano nawet kosz z bielizną, przeznaczoną do magli. Pociąg przybył, żandarmi odprowadzili ks. Brenka do domu radzcy ziemiańskiego. Kluczy jeszcze nie było, a zatem trzeba było sprowadzić ślusarza, Niemca, który napróżno przy dwojgu drzwi się namęczywszy, otworzył wreszcie trzecie, które natychmiast żandarmi obsadzili, nie wpuszczając nikogo do kościoła.

Teraz przybywa ks. Brenk w

otoczeniu radzcy ziemiańskiego a kapitana żandarmeryi z drugiej strony, a za nimi jeszcze żandarmi i woźny landratury. Okrzyk boleści pomimo woli wyrwał się z ust zgromadzonych ludzi. Przy wejściu do kościoła stał ks. Bączkowski (ks. Bielski wyjechał na odpust i przybył na sam koniec tego zajścia smutnego) w komży i stule, z krzyżem w rękę, a kiedy chciał w imię Trójcy św. prosić ks. Brenka, by do kościoła nie wchodził, ostatni odezwał się do radzcy ziemiańskiego: Bitte, lassen sie den Hern nicht reden, w tej chwili więc zabrał głos p. dr Bojanowski, protestując w imieniu dozoru kościelnego, którego jest przewodniczącym. Gdy i temu radzca ziemiański mówić zabronił, zaklinał lud aby się spokojnie zachował; z burmistrzem razem wszedł więc ks. Brenk do kościoła, a radzca ziemiański ze żandarmemą bronił wstępu do kościoła księdzu Bączkowskiemu, pozostawiając go przy drzwiach. Pomimo upomnień nie mogło się wielu wstrzymać od głośniejszego westchnienia, a niestety trzy osoby aresztowano, a między nimi dwóch mężczyzn Danielewicza i Ciężyńskiego. Hałasu zresztą nie było żadnego, bo choć wojsko tutejsze, prócz może 15 żandarmów, było gotowe, nie uważał je za potrzebne komenderujący tutejszy wyprowadzić.

Ks. Brenk krótko w kościele pobawiwszy wyszedł w otoczeniu dawniejszym, do którego przyłączył się burmistrz i kilku jeszcze żandarmów jako arriergarde i znów poszli do domu radzcy ziemiańskiego. O 3 po południu udał się ks. Brenk do mieszkania swego, jakie dlań najęto w mieście w domu właściciela browaru – Niemca. Przed domem tym patroluje żandarm, a inni szukają po mieście organisty, któryby grał podczas nabożeństwa, mającego się jutro zrana odbyć. Na mieszkańcach przykre i smutne wrażenie wywarł czyn ten, tak mało dziś spodziewany, obywatele po kilku stojący zdradzają swoją małomówność, posępnością i twarzą zafrasowaną, jak głęboko czują swoją niedolę. Cała nadzieja i otucha w tem, że pozostał nam jeszcze jeden choć szczupły kościół, który nie będąc zawistym od proboszcza, mając swego osobnego pasterza, pozostanie przytułkiem dla osieroconej parafii”. (cdn)

JAN PAWICKI

Z kronik szkolnych (2)

Bez kija ani rusz?



Zabytkowy wiatrak.

Fot. Jerzy Zielonka

Kroniki szkolne są ważnym źródłem historycznym. W zależności od skrupulatności i pisarskiego talentu prowadzących je nauczycieli dostarczają nam informacji ciekawych, niejednokrotnie zaskakujących nie tylko w odniesieniu do życia samej szkoły, ale także lokalnej społeczności, regionu i całego kraju. Prezentujemy fragmenty kroniki katolickiej szkoły powszechnej w Kiełczewie,

która obejmuje czas od 1905 do 1935, a odnoszące się do lat 1919 – 1920. Zapisy prowadził nauczyciel, kierownik szkoły Walenty Jezierski, późniejszy autor monografii powiatu kościańskiego. Problem w tym, że dysponujemy kserograficzną kopią kroniki, a jej oryginału – mimo poszukiwań – nie udało się nam odnaleźć. W tekście zachowano pisownię oryginału.

Rok 1921

Drożyzna szalona! Nauczycielskie pobory niewystarczające, choć podwyższone. Od 5 – 9 I i od 12 – 20 I pani Piątkowska chora. Od 21 I do 15 III stoi załogą w Kiełczewie 1 baon pułku piechoty. Także drugą klasę i jedno wolne pomieszkanie nauczycielskie wzięło wojsko w użycie. Od 14 – 27 II pani Wojciechowska chora.



Stara kuźnia w Kiełczewie.

Fot. Jerzy Zielonka

7 lutego

Wydzierżawiła gmina kiełczewska polowanie panu Chłapowskiemu z Bonikowa przez publiczny przetarg za 105 000 marek rocznie. Dotychczas przynosiło to polowanie 1 820 marek.

15 lutego

Zawiązało się tu Koło Śpiewackie.

19 lutego

W naszej szkole urządziliśmy dzisiaj uroczystość i składkę na rzecz Górnego Śląska w obecności 4 obywateli z Kiełczewa. Dzieci złożyły 1 007 marek i 50 fenygów. Poprzednio odbyło się w farze uroczyste nabożeństwo z udziałem młodzieży szkolnej na intencję pomyślnego wyniku plebiscytu górnośląskiego.

27 lutego

Zawiązało się Koło Związku Ludowo – Narodowego, a już przed rokiem Towarzystwo Robotników Chrześcijańsko – Narodowych i Towarzystwo Włościan.

15 marca

Pierwsza wieczornica, zarazem miesięczne zebranie Koła Śpiewackiego Cecylja: śpiewy, deklamacje, wykład kierownika szkoły Jezierskiego pt. Zmartwychwstanie Polski. W piątek przeszły zebrali N. Gidaszewski i St. Klupiec na plebiscyt na Górnym Śląsku 1 310 marek, 68 i pół funta słoniny, 6 funtów masła i 100 papierosów.

17 marca

W niespełna 130 lat po uchwaleniu wiekopomnej Konstytucji 3 Maja święci Polska odrodzona znowu dzień radosny i pamiętny; dzień, w którym wskrzeszone z odmętów wojny światowej państwo polskie nadało sobie nową Ustawę Konstytucyjną, stwarzając przez to fundament trwałej swej egzystencji, podstawę zapewnionego ładu i porządku na wewnątrz, rękojmię autorytetu i powagi na zewnątrz.

18 marca

Nareszcie w Rydze pokój pomię-

dzy Polską a Bolszewją zawarty i podpisany.

19 marca

* Urządziła szkoła podług reskryptu pana ministra Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego o godz. 11 rano uroczystość manifestacyjną za przyłączeniem Górnego Śląska.

Podług rozporządzenia Kuratorjum Okręgu Poznańskiego wyjaśniliśmy młodzieży w dniu imienin Naczelnika Państwa ważne jego stanowisko w Polsce (śpiew, deklamacje i wykład kierownika o Górnym Śląsku, a p. Piątkowskiej o stanowisku Naczelnika Państwa w Polsce).

* Ceny maksymalne blisko wszystkie zniesione, podskoczyły niebywale i okrutnie! Obuwie kosztuje dziś 3 000 – 5 600 marek, ubranie 5 000 – 10 000 marek, funt mąki pszennej 5,50; żannej – 5,00; mąki dla chorych 8,50; za czterofuntowy chleb 26 marek. Za centnar żywej wagi bydła rogatego 1 800 – 2 400; cieląt 2 300 – 3 000; świń 4 500 –

19. l. 21. W naszej szkole urządziliśmy dzisiaj uroczystość ^{i skłótkę} (na rzecz Górnego Śląska) w obecności 4 obywateli z Kietczewa. Dzieci stawiły 100% ^{Przeduro} ~~Przeduro~~ odbyło się we formie uroczyste nabożeństwo z udziałem młodzieży szkolnej na intencję pomysłnego wyniku plebiscytu górnosląskiego.

Zapis w kietczewskiej kronice szkolnej. Ksero w zbiorach Jerzego Zielonki

5 400; owiec 2 200 – 4 800 marek. Za jedno prosię 800 – 1 100; kozę 900 – 1 200, krowę 15 000 – 30 000; konia 60 000 – 150 000 marek.

20 marca

Plebiscyt na Górnym Śląsku wypadł na korzyść Polski.

21 marca

Dzieci szkolne na przedstawieniu pasyjnym w Kościanie Zarządu Towarzystwa Uczelni Marji Konopnickiej.

23 marca

Na prośbę Zachodniej Straży Obywatelskiej - oddziału oświaty zwołałem do szkoły wiec plebiscytowy o 7 ½ godz. wieczorem. Po dłuższym referacie „Górny Śląsk a Polska”, który w obecności 500 obywateli wygłosiłem, uchwalono jednogłośnie rezolucję, którą odesłałem do Komendy Straży, ponieważ materiał, przedłożony zostanie Lidze Narodów.

30 marca

Dla chorych żołnierzy szpitala wojskowego w Kościanie ofiarowało grono młodzieży kietczewskiej z „dyngusu”: 92 jaja, 1 blachę placka i 2 ¾ funta kiełbasy.

2 kwietnia

* Odbyła się w Kościanie olbrzymia manifestacja narodowa z powodu uchwalenia Konstytucji; zawarcia pokoju i w sprawie Górnego Śląska z udziałem wszystkich szkół, towarzystw, korporacji wiejskich i miejskich, władz i Górnosłazaków, którzy wrócili z plebiscytu. Za oznaki

uroczystościowe zebrały dzieci szkolne 174 marek na dobro narodowe.

* Urządził ks. proboszcz kościński dla dzieci szkolnych parafji rekolekcje, w których wszystkie dzieci tutejsze z siłami nauczycielskimi wzięły udział. Rekolekcje trwały 3 dni, to jest do 4 maja.

3 maja

* Po raz pierwszy dzień ten radosny i podniosły obchodziliśmy w wolnej Rzeczypospolitej jako obywatele, posiadający już prawa konstytucyjne; w tutejszej szkole zaś w zwykły sposób przez udział w nabożeństwie, modlitwę, śpiewy, deklamacje i przemówienie pani Wojciechowskiej o Konstytucji 3 maja i 17 marca. Na prośbę Zarządu Głównego Towarzystwa Czytelni Ludowych zezwolił pan Kurator, aby w dniu tym młodzież szkolna urządziła składkę na cele T.C.L. pod hasłem „na akademie ludowe”, to znaczy na szkoły doksztalające dla młodzieży włościańskiej. Zebraliśmy 420 marek.

* Rozporządzeniem z dnia 27 IV 1921 powołało Kuratorjum Okręgu Szkolnego Poznańskiego panią Marję Kostecką z Sarnowa jako czwartą nauczycielkę tymczasowo do tej szkoły.

* Od 2 – 23 V udzieliło Kuratorium urlop inspektorowi szkolnemu [w Kościanie] panu Grabowskiemu.

4 maja

Podług rozporządzenia Minister-

stwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego urządziliśmy dziś „dzień Francji” z okazji jutrzejszej setnej rocznicy śmierci Napoleona I. W dniu tym naukę skróciliśmy o 2 godziny, a czas ten poświęciliśmy na obchód, którego składowa część była pogadanka i odczyt kierownika Jezierskiego o Francji, o stosunkach polsko – francuskich w przeszłości i teraźniejszości i ich znaczenie dla Polski.

4 czerwca

* Od 2 VI musiało dla gorączki wypaść nauka w 3 i 4 klasie.

* Na Górny Śląsk zebrano na zabawie letowej kietczowskiego Koła Śpiewaczego „Cecylja” 1055 marek.

28 czerwca

* Uroczystość zwalniania dzieci, rozdawanie świadectw, klasyfikacja i przyjmowanie nowicjuszków. Zwolniliśmy z przymusu szkolnego wszystkie dzieci, kończące do 31 XII 14 lat: z IV klasy -18, z III – 2, z II – 2 = 22, a przyjęliśmy nowych 39. Obecnie uczęszcza do I – 39, II – 67, III – 47, IV – 42 = 193.

29 czerwca

Do 4 sierpnia wakacje letnie.

4 sierpnia

* Kuratorjum Okręgu Szkolnego Poznańskiego zwolniło panią Piątkowską od 1 sierpnia z obowiązków szkolnych; przesiedliło panią Kostecką do szkoły w Kokorzynie i powołało panie Marję i Wandę

Mirtyńskie (matkę z córką) z Kęt z Małopolski jako nauczycielki w charakterze sił pomocniczych do tutejszej szkoły. Od 1 do 15 sierpnia miały panie Mirtyńskie urlop.

* Wolny handel! Unifikacja! Drożyzna okrutna! Urzędnicy i nauczyciele mają wiele, wiele mniejsze pobory niż niewyuczeni, surowi robotnicy! To, co teraz przecierpimy i przechodzimy jest próbą ciężką i dotkliwą! Dziś, kiedy znowu przeżywamy chwilę krytyczną, myśl o przyszłości i całości bardziej niż kiedykolwiek skupić musi nas wszystkich pod jednym sztandarem miłości ojczyzny!

* Susza tegoroczna przybrała z powodu swej długotrwałości rozmiary katastrofalne. Pola, łąki i ogrody wypalone, kartofle i wszelkie jarzyny schną w przepalanej ziemi, owoce powiędły i przeważnie spadają. Kilka minut zaledwie trwający deszcz z gradem spadł z burzą okrutną 29 lipca nad wieczorem, nie zdołał nawet powierzchni skropić dostatecznie, ale wozy z zbożem powywracać i zboże na polu jeszcze stojące częściowo wymłócić. Zachodnio – północną część pól i łąk Kiełczewa nawiedziła podczas tej burzy trąba powietrzna i porobiła na polach i w lesie ogromne zniszczenie. 12 par koni zaprzęzonych wicher i grad wpędził do Obry – jeden z koni utopił się.

10 sierpnia

Kartofle poschły i tak są małe, że w wielu miejscach nie opłaca się wykopywać ich. Tam znów, gdzie ziemia wilgotniejsza i ziemniaki wyrosły większe, tam rozwinęło się złodziejstwo; właściciele pilnują ogrodów i pól bezskutecznie, bo kradzieże prowadzone są z bezczelnością przez starych i młodzież, i to nie tylko u nas, ale wszędzie. Napomnienia i nawoływania, prośby i nauki nic a nic nie pomagają, a tem więcej, że Ministerstwo i Kuratorjum wszelką karę cielesną chłostę zniósł. Ani ksiądz, ani nauczyciel, ani władza, ani sąd to pomóc nie mogą! Zatomowane nasze życie gospodarcze, zwichrzone wszystkie nasze warstwy społeczne, skrzywione pojęcie pracy, rozpowszechnia się próżniactwo, zuchwałość i krnąbrność; obniżona wartość i ilość pracy, zamknięta droga wzbogacenia

się przez uczciwą i rzetelną pracę, otworzone natomiast szerokie pole dla wyzysku jednych warstw przez drugie. Demoralizacja publiczna osiągnęła szczyty – przekupstwo, przedajność, samowola, chaos, nieumiejący znaleźć różnicy między miarą, prawdą, sprawiedliwością, a własną wolą przeżera jak rdza żelazo nasz organizm społeczny. Powaga i szacunek władzy, kościoła i szkoły, nawet sądu spada coraz więcej! Ustalenie stosunków normalnych, prawa, pilności, obrony przez nadużyciem, silnej i rozumnej ręki dla zgniecenia nadużyć, słowem uporządkowania przede wszystkim stosunków wewnętrznych w państwie, dzielnicy, powiecie i gminie doczekać się nie można.

* Za centnar żywej wagi płaci się dziś: bydła rogatego 4 000 – 5 000, świń 13 500 – 15 600, owiec 50 000 – 53 000 marek... Za lepsze ubranie 30 000, buciki 8 000 marek. Za funt: masła 250, chleba 100, jedna bułka 10 marek...

* Wskutek panującej okrutnej drożyzny uchwalili dozór i reprezentacja preliminarz szkolny na rok 1921/22 w dochodzie i rozchodzie po 120 000 marek, dotąd 10 000 marek.

Chałupnik Bożek sprzedał swoją chałupę z stodołą i 10 morgów piasków, które zeszłego roku za 1500 marek kupił dziś za 50000 marek. Gospodarz Fr. Owsiany dostał za 70 mórg oraz gospodarstwo 1 800 00 marek, a Woźniak Fr. swoje gospodarstwo 60 morgowe za te same pieniądze sprzedać nie chciał. Przed wojną światową płacono za 60-70 morgowe gospodarstwo 50 000 – 54 000 marek.

* Podług dzieła „Geschichte des Deutschtums im Lande Posen unter polnischer Herrschaft” s. 145 i 162 nadał Władysław Łokietek 1310 r. Kiełczewowi niemieckie prawo. Biskup Andrzej z Poznania rozparcelował swą biskupią wieś Kiełczewo 1310 r., pozostawił dla siebie „góry” i 4 łany ziemi dla własnej uprawy. Każdy czynszowy kmiotek musiał przez 3 dni w roku po jednej mordze zaorać.

* Drożyzna coraz większa! W czwartek rano na targu [w Kościanie] robotnicy zmuszali sprzedawców do sprzedawania towarów po cenach

wyznaczonych przez samą ludność, zabierając częściowo towary gwałtem. Policja państwowa nie mogła wszystkim aktom gwałtu zapobiec...

2 września

* Odpędziłem w mroku rannym złodzieja, który wyrąbywał szybę z okna 1 klasy na polnej stronie. Zginęła lina 25 metrów długa szkolna do gimnastyki, którą ze strachu porzucono za kilka tygodni w ogrodzie szkolnym.

1 października

Spis ludności i bydła w Kiełczewie, pierwszy w Polsce po wojnie. Kiełczew liczy 172 budynki mieszkalne, 203 mieszkania, 188 gospodarstw rodzinnych, 4 zakładowych i 12 osób samotnych, 473 mężczyzn, 576 kobiet, razem 1 049 polskiej narodowości, nieobecnych 11 osób. 135 koni, 498 szt. bydła, 12 owiec, 502 szt. trzody chlewnej – na 3 649 morgach.

25 listopada

* Na gwiazdkę dla biednych dzieci po poległych zebrały we wsi panny: Koszewska Benigna, Bąkówna Stanisława, Mikołajczykówna Stanisława i Klupciówna Marjanna 8 855 marek.

29 listopada

* Rocznica powstania listopadowego. Byliśmy z dziećmi na nabożeństwie o 9 godz. O godz. 10 uroczyste uczczenie bohaterskich walk z r. 1830/31, pozatem normalna nauka szkolna...

8 grudnia

* Odbyły się wybory do Sejmiku powiatowego. W tutejszym okręgu padło 221 głosów na listę rolników, a 398 na listę robotników.

21 grudnia

* Konferencja w Kościanie celem omówienia akcji zbierania funduszu dla Komitetu Pomocy Inwalidom Polskim na Województwo Poznańskie

* Do 10 stycznia 1922 wakacje.

28 grudnia

* Na dzieci po poległych złożyła młodzież z Kiełczewa z przedstawienia „Heroda” 1 205 marek.

* 25 książeczek dla biblioteczki młodzieży szkolnej w Kiełczewie jako dar Departamentu Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego Ministerstwa byłej Dzielnicy Pruskiej i Inspektoratu w Kościanie odebrałem.

Opr. JERZY ZIELONKA

Wspomnienia ze szkolnej ławy

(Stanisław Frąckowiak ukończył szkołę podstawową w Kielczewie w 1953 roku. Mieszkał w Kościanie, emeryt.)

*

Kozę prowadzono do kozła. Nie bardzo chciała iść. No to dostała baty łańcuchem od tego, który ją prowadził. Widziałem to z okien klasy szkoły w Kielczewie. Ktoś krzyknął: Proszę pani, kozę biją! Pani przerwała lekcję i pobiegła ratować. Bo kochała zwierzęta. Zrobiło się zamieszanie. Były krzyki i wyzwiska. Ale nauczycielka dopięła swego - koza przestała być bita i chyba do kozła w spokoju dotarła. A my się cieszyliśmy - lekcja minęła...

*

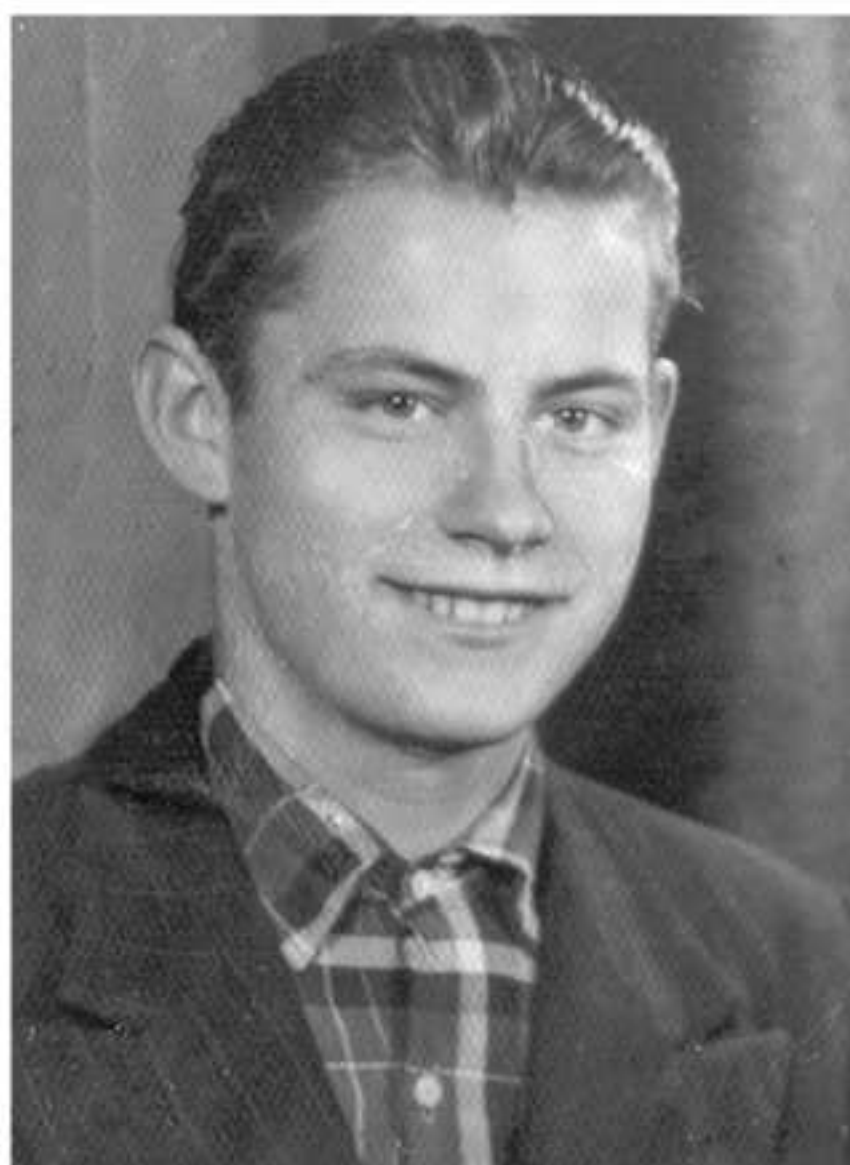
Piłka była krótka. Jak przeszkrobało się coś w szkole, to od razu linijką po tyłku albo ręce. Ostro - nie było litości. Wróciło się do domu i człowiek nic rodzicom o tym nie mówił, bo zaraz by jeszcze poprawili. Nauczyciel był świętością, autorytetem. Kimś, kogo trzeba zawsze słuchać. Ta duża dyscyplina w szkole w Kielczewie pomogła mi w życiu.

*

Elementarz i zeszyt - 16 kartek. Nosiłem to do szkoły w torbie, którą mama zrobiła mi z dywanu. Zszyła wszystko czarną nicią. Torba była solidna i wytrzymała przez te całe lata. Zadania domowe? Jak się lekcje odrabiało w domu, to przy lampie naftowej. Gdy nafty zabrakło, to problem się robił. Następnego dnia trzeba się było nauczycielce tłumaczyć - dlaczego jakieś zadanie nie było zrobione. Nikogo nie obchodziło, że po ciemku wtedy siedzieliśmy.

*

Przy szkole małe boisko. Pompa. Blisko wiatrak. Patrzyliśmy, jak się kręci - wszystkim się podobało. To były powojenne czasy. Do naszej



Stanisław Frąckowiak - 1957 rok.

Fot. Czesław Ludowicz

szkoły w Kielczewie różni wtedy trafiali. Pamiętam dwóch takich, o wiele od nas starszych. Nauczyciel powiedział, że przyszli na lekcje pijani. Zaprowadził ich pod pompę, kazał im podłożyć głowę pod kran. Pompowaliśmy na zmianę, woda leciała ostro. Szybko wytrzeźwieli.

*

Gdy wychodziłem do szkoły, to mama zawsze robiła mi coś do jedzenia. Skibki zawijała jak zwykle w gazetę. Cudów w jedzeniu nie było, ale w szkole zawsze dostawaliśmy jeszcze po szklance mleka albo kakao. To było podczas długiej przerwy - koło stodoły, przy pralni.

*

Buty. To była ważna rzecz. Mama pilnowała - idziesz do szkoły, to musisz mieć wyczyszczone buty. Czyściłem. Było chuchanie i świecenie szczotką.

*

Szkoła w Kielczewie. Zawsze, kiedy obok niej przejeżdżam żal mi tamtych lat. Nie było wtedy łatwo, ale człowiek był młodszy...

Wysłuchał

RAFAŁ FRĄCKOWIAK

* Red. Rafałowi Frąckowiakowi i jego małżonce wyrazi współczucia z powodu śmierci Ojca i Teścia - Stanisława składa zespół redakcyjny „WK”

Gdzie jesteś Itako?

Kielczewo, Bonikowo, Naclaw, Sierakowo, Szczodrowo, Białcz, Czacz, Wonieść, Wielkie Łęki, Konojad, Pelikan, Głuchowo, Jarogniewie. Wsie bliższe i dalsze, rezydencje „mocnych gospodarzy” i folwarcznej biedoty, żywicielki mieszcuchów, odbiorcy i dostawcy miejskich sklepów. Jedne przedmieścia nieledwie rozrastającego się wciąż miasta, inne oddalone o kilka czy kilkanaście kilometrów, rozsiadłe wśród pól, lasów i łągów, wbite w horyzonty, za horyzontami ukryte. Wiejskie osiedla z natury zasobne, z kultury rolniczej sławne a przecie Dobry Stwórca nie poskąpił mieszkańcom tej części Wielkopolski i dodatkowych łask i faworów. Boć to i łąka piękna i sady owocu pełne i ryby i grzyby.

Splatało się wiejskie i miejskie życie przyjaźniami, powinowactwami, wspólnotą interesów, wspólnotą samego istnienia na tej ziemi równo przez wszystkich umiłowanej. Ziemi, bez której tamtejszy człowiek, skądby pochodził, do jakiej przeszłości, rodzinnej tradycji od pokoleń nad Obrą rozsiadłej był



Pałac w Bonikowie. Poczta w zbiorach Muzeum Regionalnego im. dra med. Henryka Florkowskiego w Kościanie

przypisany, nie wyobrażał sobie w ogóle bytu.

Po bliższych i dalszych wioskach ćma koleżków rozmaitego rodzaju. W czasie długich letnich wakacji odwiedzało się wiejskich osiłeków, przyglądając się z podziwem jak szerokim machem kosy kładą pachnące rumiankami i smółkami pokosy, („nie bierz kosy do łapy człowieku, to trzeba umieć, jeszcze se girę utniesz”) nosząc ciężkie wory, zajeżdżają z fasonem wyładowanym kopiasto wozem pod rozwarte szeroko wierzeje stodół.

To oni, „wsiowi”, wtajemniczali nas w swe codzienne sprawy. Dla nich swojskie, od dziecka znajome, dla nas czasem śmieszne, zawsze niezwykcyjne, niemal egzotyczne: „Tutej mieszkają takie jedne, pół wiejskie, pół miastowe. Nikt ich dotąd nie przyłapał, ale baczenie na nich mamy. Odkąd zaczeny się pokazywać wycięte głąby po kapuściskach, jeszcze przyjdzie czas na tych dziadków”.

„Ten znowu pola na czas nie zbronuje, gnoju spod krowy nie wyrzuci. Nimo czasu. Króle hoduje. Kłotek po całym obejściu

ani zliczysz. Baba na niego krzyczy od rana do wieczora, a on jeno ręką machnie i swoje robi... Bydzie to kto słuchoł babskiego trzeszczenia? Ale żonka Mo recht, króliczorze i gołembiorze to są kiepskie gospodarze”.

„Tamten murowaniec, białe, zawsze czyste firanki w oknach, w ogródku kwiatów, tyle że tego wszystkiego nie wyliczysz – należy do wdowy. Młodo i jeszcze dosyć rajcowna, kobiety jej nie lubiom, powiedają że z własnym parobkiem żyje. Chudy, pryszczaty, mały taki, łokietek istny. O nom co do tego? Zgorszenia nima, ksiądz jej z ambony nie obwoływał. Gospodarka piękna, ludzie jej zazdroszą, tak to już jest na świecie”.

Zaglądało się też na folwarki i „resztówki” gdzie mieszkali sprawcy niejednej szkolnej psoty, synowie administratorów dóbr czyli „rzundców”. Opalone jak Cyganie, przedsiębiorcze chłopaczydła, wyręczające niekiedy ojców w doглядaniu ludzi na polach („Maciej z Maryną najlepszą maszyną”), za pan brat z wiejskimi kowalami i stelmachami, w łaskach u „borusów”, o świecie prowadzących na rogacza.

*

Właśnie takich dwu zawałidrogów stało się bohaterami niezwykłego wydarzenia w czasie mego pobytu w klasie czwartej, kiedy od dwu lat już wprowadzono w naszym gimnazjum koedukację. Chodziło o najprawdziwszy – klniemy się na Bożewicza – pojedynek.

Poszło, jakżeby inaczej, o kobietę. Wcześniej jak na klasę, w której sylabizuje się dopiero Agricola puellam amat. Należy jednak dodać, że przeciwnicy przezimowali już w niejednej klasie, sypał im się wąż jak się patrzy i szybko wyrastali na młodzianów na schwał.

Obaj „agricolae” in spem (obaj poszli później do Szkoły Rolniczej) niezbyt przykładali się do języka starej Romy, a wcześniej jednak skombinowali że powodzenie mężczyzny zależy od ustosunkowania się do tego całego skomplikowanego miłosnego gipsu, stworzenia które w „słówkach” figuruje jako puella.

Na imię miała Zosia, oczy jak niezabudki, grube czarne warkocze, marynarski kołnier na śnieżnej bluzeczce i „pogrążyła” bez reszty Janka B. czyli „Białasa”,



Ogródek letni przed restauracją wiejską w Luboszu Starym. Poczta w zbiorach Muzeum Regionalnego im. dra med. Henryka Florkowskiego w Kościanie

długonogiego dryblasa, jednego z najlepszych sprinterów w gimnazjum, syna administratora majątku w Parzęczewie.

Holendrowali trochę na ślizgawce, ze dwa razy odprowadził ją do domu, i to wszystko. Chociaż onże „Białas” wyobrażał sobie bógwico, nie świadomy, że fertyczna zwodnica flirtowała z nim i tuzinem innych.

Aż przyszła kresk na Matyska i panna zakochała się w Janku P. ze Szczodrowa, smagłym chłopaku, przypominającym raczej południowca niż mieszkańca wielkopolskich równin.

Przed każdą klasą, na korytarzach znajdowały się stojaki z uczniowską garderobą, oba Jany nosiły identyczne płaszcze, modne wówczas i później, fasoniarskie „burberry”. Któregoś dnia dziewczyna przebiegając korytarzem, rozejrzała się szybko i wsunęła liścik przeznaczony dla ukochanego do kieszeni płaszcza rywala! Były tam płomienne wyznania miłości i informacje, co do następnej randki. Taką zniewagą obmywa się tylko we krwi, miłość żąda ofiary.

Zaraz nazajutrz, przed pierwszą

lekcją, „Białas” podszedł do Janka P. i na oczach całej klasy rzucił mu w twarz wełnianą rękawiczkę!

Zapadła taka cisza, że aż zdumiał się „Hugo” podążający na lekcję historii. Rozejrzał się po twarzach uroczystych, skupionych i poważnych, wpisał co trzeba do dziennika i rozpoczął wykład. Mówił zajmująco o łajdactwach braci Pizarro w Peru, ale mało kto słuchał. Ledwo wyszedł, w klasie zawrzało. Niezwłocznie wybrano sekundantów, niezwłocznie „strony” rozpoczęły burzliwe obrady. Przez kilka dni spierano się o wybór broni. Padały najdziwsze propozycje.

- Wypożyczy się od „Sokoła” dwie pary bokserskich rękawic.

- Pistolety...

- Ba, skąd weźmiesz?

- Można by dwa karabiny z P.W.

- Jak to zrobisz? Włamiesz siudo magazynu?

- Zresztą to stare graty. Nie ma nabożów.

- Sztylety.

- Albo, albo... jak apasze. Na noże...

Spojrzeni po sobie, skrzywili się.

- Głupio to wymyśliłeś. To

dobre dla opryszków.

- Albo my nie opryszki?

- Nie wygłupiaj się Kazek.

- Po amerykańsku. Dwie kiełbaski, jedna zatruta...

- Może topory? Jak w „Krzyżakach”? Dostałoby się od rzeźników.

- Mogą być i toporki. Znajdą się w każdym domu.

Powiadomieni o projektach kolegów przeciwnicy jakoś nie kwapili się do proponowanych „bronii”. I może cała sprawa rozeszłaby się po kościach gdyby nie „Białas” który przypomniał sobie że w dworskim lamusie wala się jakaś starożytna broń sieczna.

Nie dowierzano mu zbyt, ale wbrew przewidywaniom przywiózł i pokazał. Nie obeszło się bez komplikacji. Przyłapany przez rodzicela tłumaczył się, że broń potrzebna do demonstracji na lekcjach historii, usłyszał przy okazji, że mogą to być przyszłe eksponaty. Wzbudziły pono zainteresowanie jakiegoś muzeum.

Oglądano owe curioza bez wielkiego entuzjazmu. Czerwone od rdzy szabliska, bez pochew, z czarnymi od brudu rękojeściami, opatrzonymi krzyżykiem. Może i



Uroczysko pod Racotem. Poczta w zbiorach Muzeum Regionalnego im. dra med. Henryka Florkowskiego w Kościanie

nosił je u boku jaki szlachciura-sze-repetka w XVII czy XVIII wieku, powiatowy kauzyperda i opój? „Oczyści się to szmerglem, pomaze tłuszczem” – powiedział ktoś niepewnie. Ktoś inny pociągnął palcem po ostrzu i skrzywił się. „Tępe to jak kozik-żydek. Nawet kapusty nie obetniesz”.

- A szkoda. U obu awanturników tego pełne łby.

*

Pewnego majowego poranka, po stwierdzeniu nieobecności aż sześciu uczniów „Goryl” znacząco pokiwał głową. Kiedy nastaje pora chrabąszczów, kiedy zakwitają bzy i jaśminy, w szkole zaczynają się epidemie... chorób zakaźnych.

Tymczasem owa szóstka ostro maszerowała brzegiem kanału w stronę Bonikowskich Gór. W teczkach, próżno byś szukał książek. Obok rzecz jasna śniadania – paczki waty, butelka z jodyną, plastry, zwitki bandaży, nawet proszki „z kogutkiem”. „To na wypadek gdyby któryś dostał tak w łeb, że rozboli go makowa” – tłumaczył ad hoc wybrany sanitariusz, spoglądając znacząco na zawinięte w gazety przedmioty dźwigane przez

kolegów.

Minęli most kolejowy, minęli półka gdzie na płonych glebach wyrasta nędzne żyto, dotarli wreszcie do piasków sfałowanych w wydmy i usypiska, od niepamiętnych czasów znanych w całej okolicy jako Bonikowskie Góry.

Między niedawno posadzoną szkółką świerków a torem kolejki, dwa razy dziennie jadącej tędy do Grodziska, znajduje się miejsce gdzie podobno miasto chowało niegdyś zmarłych „od powietrza”. Niedaleczko znaleźli kotlinkę otoczoną zewsząd pagórkami, dobrze osłoniętą przed okiem niepowołanego świadka. Tu? Tu...

*

„Świsnęły szable i ostrze szczękę o ostrze”. „Białas”-Bohun natarł z wściekłością na Janka--pana Michała, ale nie na długo starczyło tej zabawy. Już w drugim złożeniu trzęsły klingi i frunęły nad głowami kawały zżartego rdzą metalu. Zbaranieli adwersarze stali chwilę z ułamkami rękojeści w dłoniach, po czym podali sobie ręce i ucałowali się serdecznie. Sekundanci odetchnęli z ulgą i podnieśli radosny wrzask, zapanowało

odprężenie i ogólne kochajmy się, nie dajmy się.

- Bojałem się jak diasi, że zadraśnie się który tym świństwem...

- No pewnie. Zakażenie krwi murowane.

- Rzućcie oba tę kołową Zośkę.

- Bo i racja.

Łby sobie rozbijać bez taką?

- Mało to innych, do ciężkiej Anielki?

- Nie jednemu psu Łysek...

- Pół świata tego dziewczynskiego kwiatu.

- Każdy z was powinien napisać po dwieście razy „byłem dureń”.

Jeden „Białas” nie podzielał ogólnej radości. Zamyślił się fraso-bliwie. Co tobie? Zagadnął któryś ananas. „A to pasztet psiamac, krewa, poruta. Co ja teraz powiem staremu? Bydzie się pieklił o te wredne żelastwo... Radźcie... Wymyślcie coś”.

Radzono długo. Niestety trust mózgów klasy czwartej prochu nie wymyślił. Jak fama niosła „Białas” nie wymigał się od ojcowskiego pasa.

ADAM TOMASZEWSKI

Kość z kości Kościanin



Tabliczek, takich jak ta jest co najmniej 5.

Fot. Jerzy Zielonka

Nędza Polski w cyfrach i bieda Polaków w cyfrach przedstawiają się straszliwie. Można jednego dnia osiwieć i ołysieć, gdy się coś więcej o tym czyta lub rozmawia z ludźmi wracającymi nie to z Francji czy z Anglii, nie to z Wiednia i z Rzymu, a wprost z Bułgarii, z Danii, z Estonii, z Pragi. Człowiek za głowę się chwyta i uszyском wierzyć się nie chce. Zimny dreszcz po kościach czy po gościach. Najmniejsze spożycie wszystkiego, literalnie wszystkiego. Rodak przeciętny, Polak nowoczesny konsumuje wszystkiego najmniej ze wszystkich narodów europejskich. Z roku na rok mniej i skąpiej. Mocarstwo jest, owszem, wyraźnie namacalnie, ale obywatel Polak spożywa najmniej węgla, najmniej cukru, najmniej żelaza, najmniej tłuszczów, najmniej mydła, najmniej nawozów sztucznych, najmniej alkoholów, najmniej wódki, piwa, wina, najmniej wody! dosłownie wody! Owoców najmniej, mleka

najmniej, mięsa najmniej. Ma najmniej psów i najmniej samochodów.

Od roku 1880 („Nędza Galicji w cyfrach”) nie tylko, że się nic nie poprawiło, ale się wszystko zgalicjanizowało, zmniejszyło, zepsuło. Dziecioróbstwo owszem, koni, Kohnów dużo, ale co do mostów, dróg, szosów, gościńców, autostradów, co do łązienek i wanienek, co do kakao i czekolady, sól, siarka, cynk, cyna... gorzej. „Nędza Polski w cyfrach” jest nadal straszliwa, przygnębiająca, upokarzająca, definitywna i finalna. Miarodajne refreszysery rozpylają optymizm i różanowidztwo. Z syfonów oratorskich ulatniają się gazy rozweselające. A roczniki statystyczne z roku na rok zeznają coraz smętniej i żałościwiej. W jednej jedynej gałęzi dzieje się jeszcze jako tako, to jest w produkcji... biuralistów. No i nadal rymuje się: prosperity... i emeryty... Poza tym przygnębiająca nędza, bieda, bryndza.

W handlu zagranicznym (alias export) na głowę obywatela

Najjaśniejszej przypada złotych 53, na Duńczyka 780, na Austriaka 307, Czecha 205, Słowaka 205, Estończyka 189, Węgry 148, Rumuna 68, Bułgara 66 złotych... Na Polaka 53 (słownie: pięćdziesiąt trzy). Wskaźnik produkcji przemysłowej nadal horrendalny: Finlandia 125, Rumunia 120, Węgry 110, Estonia (sic! Estonia!) 100, a mocarstwo od może do może 66 (słowami sześćdziesiąt sześć). I jak się to dziwić potem, że Polak jeden do Polaka drugiego najmniej pisze listów i najmniej telegrafuje? Że Czech do Słowaka, a Słowak do Czecha piszą 52 listy rocznie, a u nas Sarmata do Izraelity i vice versa tylko 26. I jak się dziwić, że w Danii wypada przeciętnie 10 depesz na 100 mieszkańców, a w Polsce zaś: 0,64 czyli że pod względem częstotliwości depeszowania stoimy na 28 miejscu, po „dzikich kraikach” bałkańskich. 28 miejsce!

Wobec tego, co się rzekło, nie można się też dziwić, że w takich warunkach, w takiej koniunkturze Polakowi przeciętnemu dosłownie

nawet żyć się dłużej nie chce. Innymi słowy, że przeciętny Polak czy B. B. W. R.+O. Z. O. N. żyje 45,9 lat, podczas gdy Austriak z rozebranej Austrii 60 lat i 8 miesięcy, Niemiec 61 lat 2 miesiące, Szwed 62,3 l., ba że nawet niehygienicznym Serbom i Bułgarom dłużej żyć się chce i żyją...

Z drobniejszych cyfr statystycznych godzi się jeszcze zanotować, że wskutek permanentnej nędzy i biedy przeszło czterokrotnie sto tysięcy obywateli obciążonych jest: jaglicą... Na końcu zaś, że podczas gdy co 8-my obywatel żyje na koszt państwa, to co piąty (5) poborowy (1936) wskutek masowego niedokarmienia i wadliwego odżywiania do służby wojskowej zakwalifikowany jest jako niezdolny... Horoskopy przykre...

Czy więc nie czas by już było, aby siadł do biurka jakiś mocny pisarz bojowy i twardym stylem napisał ciężkodziałową, bombardującą broszurę o zgalicjanizowaniu Polski (Poland greater Galicia?) pod tytułem: „Nędza Polski w cyfrach”?

*

Pierwszą o Galicji, o Głodomarii napisał w r. 1888 a więc 50 lat temu bez mała człowiek z Kościana, kość z kości, krew z krwi Wielkopolanin, nazywający się ściśle tak jak święty patron z Wawelskiej Katedry. Że pochodził z Kościana, zapomnieli wszyscy, literalnie wszyscy. W miasteczku ani śladu. Jest ulica Kościuszki, Mickiewicza, i jest ulica... Pierackiego, dosłownie, bez blagi i bez złośliwości: „ulica Pierackiego”. W Kościanie? W Kościanie! Natomiast ulicy Stanisława Szczepanowskiego nie ma. I w ogóle nikt tam pojęcia o wyobrażeniu ani w ogóle nawet przez myśl nie przeszło nikomu. Jest Magistrat, jest jinteligencja, aptekę ma Karol Libelt, pod miastem tuż pan exambasador, są profesory, adwokaty, radcy, prezesi, starosta itp., ale kto tam teraz interesowałby się Stanisławem Szczepanowskim? Był pod Oleandrami? Nie był. Do czwartej brygady należał? Nie należał. No to nie ma o czym mówić, tak? Wobec tego może być jeszcze w Kościanie

ulica Koca czyli Kocka, ale o ulicy imienia wielkiego i zasłużonego Kościanina na razie nie ma mowy.

A to jednak był wielki i ważny człowiek. W różnych czasach pisali o nim księżki i broszury jako o żadnym tu dotąd Kościaninie. Pisał Ant. Chołoniewski (1890), poseł Dubanowicz, M. Zawiszyna, Wł. Wolski, ekonomista Henryk Radziszewski. Powieść o Kościaninie napisał Paweł Maciejowski pt. „Ponad siły” (Nafta). Nawet niedawno w 25-lecie jego śmierci (w r. 1926) wyszły dwie publikacje: Gerstmana i Józefa Mirskiego. Ta ostatnia wydana nawet w Poznaniu. Czy jest tedy możliwe, aby tej broszury Mirskiego nie miał w ręce żaden z prominentów Kościana i z niej nie dowiedział się zaraz na pierwszej stronie, że: Stanisław Prus-Szczepanowski urodził się w Kościanie w Wielkopolsce 12 grudnia r. 1846. Jest. Widoczne jest, skoro dotychczas nie ma w Kościanie pomnika czy placu czy ulicy im. Szczepanowskiego, a jest ulica nic nigdy w niczym z tym grodziszczem nie związanego śp. Pierackiego.

*

Jakież tedy są zasługi i jaki dorobek życiowy tego jedyne Kościanina na wielką skalę i ogólnopolskiego fasonu? Otóż zasługi jego związane są głównie z inną dzielnicą, bo z Małopolską, a pośrednio dopiero z całą Polską.

Przybył do Lwowa jako inżynier, chemik, metalurgista, kiedy zaczęła buchać ze ziemi ropa naftowa. Człowiek bezsprzecznie genialny, Londyńczyk, od razu intuicyjnie odczuł i poznał, czym może być nafta dla ekonomicznego odrodzenia społeczeństwa grzęznącego w nędzy, w tromtadracji, w kulcie „złotych kołnierzy”, czapek z bączkiem, pirogów z zielonymi kogucimi piórami i w „wierze w Wiedeń”. Ideałem kariery życiowej był w inteligencji homo hofrath, excellencja, biurokrad. Wyzwolone włościanstwo szło stadowo, masowo, „na księży”, na prefesurów i do kancelariów, co w sumie i w rezultacie „było na rękę” Widniowi. Szczepanowski postanowił rzucić rękawicę temu



Adolf Nowaczyński (1876 – 1944).

Fot. w zbiorach Jerzego Zielonki

światopoglądowi Habsburgocentrycznemu, Stańczykom-erlom i równocześnie dynamikę i energię ucłowieczonego chłopstwa skierował w stronę przemysłu, handlu, produkcji i dobrobytu.

I rozpoczęła się walka z marazmem, z pauperyzmem, z l'improductivite slave i z l'imbecillite galicienne. Z pomocą tak potężnych środków jak ropa i nafta. Pierwsze „Krajowe Towarzystwo Naftowe”. Szczepanowski, Wolski, Odrzywolski, Klobassa-Zręcki, Skrzyńscy, Mac Garvey..., Schodnica, Sanok, Gorlice, Biecz, Krosno, Jasło, Stryj, Otynia, Kołomyja (nie pomyja), Słoboda Rungurska, Drohobycz (skąd ta postać bycza, pewnie z Drohobycza). Zaczęło się wiercenie na coraz większą skalę, przyjeżdżali Anglicy, Francuzi, Belgi i Niemce, ruch w interesie, złoto, fortuny, milionerzy po raz pierwszy w Galicji i Głodomarii. Pisze teraz „monografię tej nafty” młody Pruszyński, brat Ksawerego. Równocześnie i równoległe z naftą propaganda industrializacji i komercjalizacji, merkantylizmu i „enrichissez vous”. Niech głównym wielkim poematem, dramatem narodowym, będą nadal „Dziady”, ale wy do krośset diabłów przestańcie raz być



Wskaźnik ulic w Kościanie.

Fot. Jerzy Zielonka

dziadami, biedaczynami, pariasami i uczyć się produkować, ryzykować, wiercić w ziemi, sprzedawać, handlować, a nie całymi stadami do biur, do kancelarii, do administracji.

Równoległe i równocześnie z tym walka z poczwarnym analfabetyzmem. Szczepanowski zakłada „Towarzystwo Oświaty Ludowej”, zakłada pismo „Ekonomista”, zakłada „Słowo Polskie” (1897). Wzorem i torem Staszica, wzorem Cegielskiego, Wawrzyniaka nie tylko działa, nie tylko politykuje i posługuje (od r. 1886 do Wiednia, a od 1889 do Sejmu), ale i pisze: artyku-

ły, odezwy, manifesty, programy, broszury, książki. „Idea Polska”, „O polską tradycję wychowawczą”, „Nędza Galicji w cyfrach”. Socjalików i konserwę (rouge et noir) ma rzecz prosta przeciw sobie. Polemizują z nim, szkalują, rzucają kłody, podstawiają nogi. Latyfundyści boją się o swój monopol, nie chcą żadnej bogatej warstwy mieszczańskiej. Czerwonoskórzy też nie chcą żadnej silnej burżuazji, a handel rezerwują dla Semitów, którzy ich abonują i dają szmirgeld na fundusze partyjne. Jedni i drudzy (rouge et noir) zarzucają Szczepa-

nowskiemu marzycielstwo (sic), fantastyczność, nieliczenie się z lokalnymi warunkami, pozytywizm (sic) i nietutejszość, nietuteeczność, obcość. Don Kiszot walczy z wiatrakami, z szynkarzami, z propinacją, z lichwiarzami i paserami, z ekscelencjami. Zachciewa mu się zpoznać Głodomierę, wprowadzać tu „pruską kulturę” (sic) materialistyczną (sic), a „sameś mistyk”... Co nam po wielkim przemyśle, kiedy „Schwere Industrie” ma już mateczka Austria, Translitawia (sic) i to wystarczy. A po sklepach i kantorach mech se

siedzą Kantorowicze jak se siedzieli.

Walczyli ze Szczepanowskim Galicjandery, wojowali, aż go i zwalczyli i zadźgali. Na Szczepanowskiego przyszedł Krach, przysła Zima. Tak się nazywał nieuczciwy defraudant, chef kasy oszczędności, który poderwał zbyt szeroko „rozbudowane” przedsiębiorstwo grupy pionierów nafcjarstwa polskiego. Dwadzieścia lat przeszło borykał i zmagał się polski Shell czy niedoszły Rocquefeller z mentalnością galicyjską, a raczej z niedorozwojem, niedowładem, z urazem mózgowym ogólnopolskim, z przerostem gruczołu niepraktyczności czy nieporadności. Impet i rozmach pioniersko-gospodarczy czy industrialno-businesowski zatracił niestety już omal w połowie rozwojowej drogi, wdając się w najniepotrzebniej i w nieswoje sprawy. Niepotrzebnie wszedł na robotę polityczno-parlamentarną, w środowisko demokratyczne, nieco łykowate a nieco łyczakowskie (Rutowski, Romanowicz, „Reforma”). Także niepotrzebnie za intensywnie zajął się problemami i dziejowością ogólnej i dawnej edukacji narodowej, co z konieczności wpłynęło na rozproszenie i rozładowanie energii, potrzebnej tylko i bez reszty w organizacji... nafcjarstwa. Ani Cecil Rhodes, ani Basil Zacharow mistyków angielskich nie czytali. A Szczepanowski w drugiej swej fazie zaczytywał się w Cieszkowskim, Trentowskim, ba nawet w Towiańskim (sic) i zaczął się zaplątywać w gąszczach i chaszcach polskiego romantycznego mesjanizmu. Były lata, w których obsiedli go literaci typu Naciągalskich, którzy wmawiali weń i popychali go do roli proroka, apostoła, Jasnowidzącego. Proza w jego wystąpieniach ówczesnych zaczęła mistyczyć, myśli wychodziły mętne, górnochmurne i lutosławskie, a interesy (geszefta) zaczęły na tym bardzo cierpieć i podupadać. Wprawiał w zachwyty i ekstazy Narcyzów Naciągalskich, ale ropę i naftę opanowywały obce kapitały, Anglożydy, żydobelgi i... Wiedeń...

Właściwy człowiek na właści-

wym miejscu, to był ten Szczepanowski z pierwszego okresu, kiedy jeszcze nie obłąkała go brać dziennikarska i okadzający a profitujący z okadzania pisatiele, zresztą trzeciej sorty; potwierdzić by tę koncepcję mogli zięć Plutyński, znany dziś pisarz ekonomiczny i inni ze Lwowa, co te czasy przeżywszy jeszcze coś pamiętają... Ciężko życiem pionierskim przemęczony, moc ludzi ze złej, ujemnej strony do cna poznawszy, zgryzotami i utrapieniami ścigany, zmarł ten Staszic naszych czasów w r. 1900 w Nauheim.

*

Czy tego typu i tych wymiarów człowiek z gatunku rari nautes in gurgite vasto wyskoczył z Galicji we Lwowie jak Atena z głowy Jowisza? Czy był anomalią, fenomenem, unikatem? Tego by powiedzieć nie można. Szczepanowski miał swoich prekursorów i antycypatorów (Lubecki), jak ma i swoich następców (Kwiatkowski). W Kongresówce bywali: Tyzenhaus, Steinkeller, A. Zamojski i wielu innych. W Galicji, najhojniej obdarzonej w skarby podziemne, nie było ani jednego *captain of industry*. Nafcjarze? Owszem, Nafcjarze? Nie. A naftą i benzyną już pachniało w Europie mocno, gdy człowiek z Kościana znalazł się u Lwowi. Mógł robić karierę w Londynie i to wielką. Skończywszy chlubnie paryską „Szkołę Dróg i Mostów”, skończywszy technikę, w Londynie dostał posadę natychmiast w Ministerstwie Kolonii. Był zanglizowany. Mógł szybko awansować. Może wtedy właśnie bywali tam J. Conrad Korzeniowski... count Strzelecki. Postąpił odwrotnie czyli wprost przeciwnie, to jest zrzekł się posady i „oddał w ręce” rodaków. Jak na tym wyszedł osobiście, to znów rzecz inna. Ale swoją misję, swoje posłannictwo w dużej mierze wypełnił. Z głowy Jowisza atoli nie wyskoczył, ale najorganiczniej i najnormalniej genetycznie wyszedł z Wielkopolski, z wielkopolskiej mentalita, kość z kości.

Po ojcu inżynierze w Kościanie a potem emigrancie (po 1848) miał zmysł konstruktywistyczny i organizacyjny, po matce Poplińskiej pe-

dagogizm, nauczanie, naprawianie, korygowanie, mentorstwo. Anglofilów, anglomanów Wielkopolska też miała pierwszych: Dezydery Chłapowski, Marcinkowski, Mielżyński, Koźmian, Strzelecki, no a przede wszystkim wmiieszany Podolanin z córką Marsz-marsz-Dąbrowskiego ożeniony, dziedzic z Rudek a potem dyrektor londyńskiego „Banku Rolniczo-Przemysłowego” Teodor Mańkowski. Babką ideową Szczepanowskiego była Liga spółdzielcza Spółek Zarobkowych. Dziadkiem duchowym Hipolit Cegielski. Angielskim duchem i angielskim światopoglądem przejęty i przepojony był ten Kościanin Szczepanowski w swoich najlepszych latach. Dopóki się nie zaczął „romantycznie bałamucić”. I Polaków chciał z pospolitych „zjadaczy chleba” przerobić na słowiańskich Anglosasów, na Szkotów, bogatych, mądrych Szkotów... Że atoli było to „ponad siły” (Sewera powieść) Szczepanowskiego, więc mu się nie udało...

Jest jedno dzieło Wyspiańskiego poczęte po głębokiej i żarliwej lekturze wszystkiego, co pisał Szczepanowski. Nazywa się: „Wyzwolenie”. Oj, przydaliby się nam teraz tacy Szczepanowscy. Z Kościana panowie, z Kościana był. Nic na to poradzić nie można. *Nemo propheta in sua paraphia.*

ADOLF NOWACZYŃSKI

* *Adolf Nowaczyński urodził się 9 I 1876 r. w Podgórzu pod Krakowem, zmarł 3 VII 1944 r. w Warszawie; pochowany na Powązkach. Polski pisarz i publicysta o wszechstronnych zainteresowaniach. Prezentował skrajne poglądy narodowe. Zaciekle przeciwnik Piłsudskiego, zafascynowany pozytywistycznymi cechami Wielkopolan. Autor m.in. książek „Warta na Wartę” (1937) i „Poznaj Poznań” (1939). Wskutek swoich poglądów kilkakrotnie napađnięty i pobity, w 1931 r. stracił oko. Tekst pochodzi z czasopisma „Kurier Poznański” nr 356 z 1937 r. Po tym artykule ul. Szeroką w Kościanie przemianowano na ul. Stanisława Szczepanowskiego*

Losy pułkownika Skrzydlewskiego (2)

W Rumunii został internowany w Calimanesti, skąd uciekł do Bukaresztu 13 października 1939 roku. Z kolei 24 października 1939 roku wyjechał do Francji przez Jugosławię i Włochy. Po przekroczeniu granicy włosko - francuskiej w Modane, znalazł się w Paryżu następnego dnia, t.j. 27 października 1939 roku. Początkowo bez przydziału został przyjęty do tworzącej się Armii Polskiej. Z uwagi, iż termin organizacji 3 dywizji piechoty, gdzie miał otrzymać dowództwo pułku nie był określony, poprosił o przydział na stanowisko d-cy baonu 1 Dywizji Gren. Pierwszym baonem 2 pułku dowodził od 18 XII 1939 roku do 12 III 1940 roku szkoląc napływających rekrutów. Oddział ten był rozmieszczony na kwaterach w okolicy Plelan - le - Grand pod Coetguidan w Bretanii.

Trzynastego marca 1940 roku objął funkcję szefa sztabu 1 Dywizji Grenadierów z miejscem postoju w Coetguidan, a następnie w Guer. Wkrótce, 16 kwietnia 1940 roku dowództwo 1 Dywizji Grenadierów przybyło do strefy frontowej w Lotaryngii. Okazało się, że szefem sztabu był bardzo krótko, gdyż o godzinie 8 00 21 czerwca 1940 roku dowódca dywizji wydał rozkaz rozproszenia się i przedzierania się małymi grupkami przez pierścień Niemców trzech armii francuskich, w tym 1 Dywizję Grenadierów. Dla dywizji, która była związana walką w rejonie Raon, wykonanie rozkazu wymagało co najmniej kilku godzin czasu. W związku z czym Skrzydlewski wraz ze zredukowanym sztabem pozostał w dotychczasowym miejscu postoju dywizji w Hurbache dla zapewnienia ciągłości dowodzenia i umożliwienia rozproszenia się jak najprędzej większości oficerów i żołnierzy d-twa dywizji. Tak więc o godz. 10.00 21 czerwca 1940 roku objął dowództwo dywizji, niszczącej w tym momencie swój sprzęt i uzbrojenie oraz przygotowującej się do rozproszenia. Po dokonaniu rozpoznania, że wszystkie oddziały dywizji zdołały wykonać rozkaz i rozpuszczeniu reszty sztabu, po

godzinie 14.00, w towarzystwie dwóch oficerów łącznikowych zamierzał udać się do dowódcy 20 korpusu, któremu Polacy podlegali. W trakcie odbywania tej drogi został wzięty do niewoli i odesłany do Moyenmoutier.

Przebywał w obozach jenieckich dla oficerów francuskich na terenie Westfalii w Doessel, Soest, Muenster i powtórnie w Soest [Oflagi :VI-B, VI-A, VI-D, VI-A]. W niewoli był najstarszym oficerem polskim niewielkiej polskiej grupy w tychże obozach. Dodajmy, iż w czasie pobytu w niewoli był przesłuchiwany przez Abwehrę 27 lipca 1942 roku w Berlinie. Uwolniony został 6 kwietnia 1945 roku przez wojska 9 armii amerykańskiej.

W związku z tym, iż na tych terenach znajdowało się wielu Polaków, w szczególności wywiezionych na roboty do Niemiec, ogłosił się komendantem polskim Soest i okolicy i utworzył stację zborną. Pierwszy polski obóz założył w uzdrowisku Bad Sassendorf. W ciągu kilku dni obóz ten pomieścił blisko 1500 mężczyzn, kobiet i dzieci. W okresie do 17 kwietnia 1945 roku uruchomił względnie zapoczątkował organizację innych obozów : w Anroechte dla wojskowych, w Warstein dla kobiet i dzieci, w Hirschberg - mieszany, w Lippstadt - mieszany, w Benteler - mieszany, które mogły pomieścić osiem do dziesięciu tysięcy osób. W Paryżu w dniu 18 kwietnia 1945 roku został wcielony do Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie.

W liście wysłanym z Nicei 25 marca 1946 roku do swego krewnego - Jana Kowalkiewicza napisał: „ *Ja, z swej strony, jestem zdecydowany wrócić do kraju. Byłbym zadowolony, gdyby to mogło nastąpić jak najrychlej. Na emigracji nie widzę ani dla siebie ani dla swojej rodziny żadnej przyszłości. Dzisiejszy stan rzeczy, wedle mojej oceny, utrwali się na dłuższy okres czasu. W tych warunkach dalszy pobyt z dala od kraju wydaje mi się zmarnowanym czasem*”.

Będąc bez przydziału, maju i czerwca 1945 roku poddał się leczeniu w szpitalu Polskiego Czerwonego

Krzyża w Aix les Bains. Z kolei w lipcu tegoż roku z powodu ostrej grypy znalazł się w amerykańskim szpitalu

W celu spisania i uzgodnienia z byłym dowódcą 1 Dywizji Grenadierów - gen. Duchem kroniki dywizji udał się w październiku 1945 roku do Włoch. Wobec zniszczenia dokumentów dywizji było to niezmiernie ważne dla historii. Skrzydlewski po powrocie został przeniesiony do oficerskiego domu wypoczynkowego w Nicei, gdzie przebywał do czerwca 1946 roku. Dnia 26 lutego 1946 roku złożył u Attache Wojskowego w Paryżu płk. Naszkowskiego prośbę o odesłanie go do Polski.

W czerwcu 1946 roku, po przyjeździe do Paryża, uzyskał w drodze wyjątku dostęp do archiwum francuskiego wojskowego Biura Historycznego. Za zgodą płk. Naszkowskiego pracował tam nad zbieraniem dokumentów, dotyczących Wojska Polskiego na terenie Francji podczas kampanii 1939 – 1940.. Wedle zapewnień Attache rządu warszawskiego praca ta miała być dla dobrej Armii Polskiej oraz miała być pomocną w przyjęciu Skrzydlewskiego do wojskowej służby czynnej po powrocie do Kraju. Z kolei francuskie Wojskowe Biuro Historyczne zwróciło się do niego o napisanie po francusku relacji o 1 Dywizji Grenadierów dla potrzeb tego biura. Relację tę zakończył 1 kwietnia 1947 roku, a kopię złożył Attache Wojskowemu rządu warszawskiego w Paryżu ppłk. Krajewskiemu oraz byłemu dowódcy francuskiemu 20 korpusu generałowi Hubert. W dniu 3 czerwca 1947 roku został zdemobilizowany przez rząd londyński z Polskich Sił Zbrojnych poza Krajem. Jeszcze w lipcu 1947 roku opracował na życzenie Polskiego Attache Wojskowego w Paryżu ppłk. Krajewskiego podręczne archiwum o polskim wysiłku zbrojnym na terenie Francji, w latach 1939 - 1940.

W dniu 30 lipca 1947 roku przekroczył granicę polską w Międzyzlesiu na Śląsku. Po załatwieniu formalności repatriacyjnych udał się do miejsca zamieszkania żony w Poznaniu przy

+

Ś. p.

Józef Skrzydlewski

podpułkownik dyplomowany

urodzony 21 lutego 1890 r. w Grodzisku Wlkp.
zmarł 7 maja 1952 r. w Warszawie

organizator powstania wielkopolskiego w Grodzisku Wlkp. i pierwszy dowódca grodzkich kompanii powstańczych 1918/19. Wykładowca Szkoły Ofic. w Bydgoszczy (1920/26). Oficer Sztabu Głównego W. P. (do roku 1939). Szef Sztabu I Dywizji Grenadierów Armii Polskiej we Francji (1940). Więziony przez Niemców w obozie jenieckim (1940/45). Okrzczony między innymi: Krzyżem Niepodległości, 4-ko krotnie Krzyżem Walecznych, Srebrnym Krzyżem Zasługi, Krzyżem Kawalerskim Legii Honorowej, Krzyżem Oficerskim Lwa Białego i Croix de Guerre.

Staraniem Komisji Śledczej Powstańców Wielkopolskich przy Związku Bojowników o Wolność i Demokrację nastąpi ekshumacja zwłok w Warszawie i przewiezienie ich do Grodziska Wlkp., gdzie złożone zostaną w mogile jego pięciu poległych powstańców wlkp. na cmentarzu parafialnym w Grodzisku w dniu 13 października 1957 r.

Przebieg uroczystości pogrzebowych:

dnia 10, 10, 1957 r. złożenie zwłok w świetlicy kolejowej przy dworcu
dnia 11, 12, 10, 1957 r. nezenie zwłok przez mieszkańców miasta i okolicy
dnia 13, 10, 57 godz. 13,00 zbiórka wszystkich organizacji przy ulicy Kolejowej nr 23
dnia 13, 10, 57 godz. 13,30 wyruszy kondukt pogrzebowy do Kościoła Parafialnego gdzie odprawione zostanie nabożeństwo żałobne. Po nabożeństwie pochód żałobny wyruszy na cmentarz parafialny.

**Związek Bojowników o Wolność i Demokrację
Kolo Grodzisk Wlkp.**

*Nekrolog z 1957 roku.
W zbiorach autora tekstu*

ulicy Jackowskiego 9 m. 2. Niestety, jak napisali jego dawni podkomendni - powstańcy wielkopolscy: „[...] wrócił w 1947 roku z Francji do Polski, w dobrej wierze służenia w dalszym ciągu ojczyźnie jako oficer sztabowy. Wniosek jego o przyjęcie do czynnej służby wojskowej został załatwiony odmownie. Przyjął więc posadę w Związku Stowarzyszenia Kupców Polskich woj. Śląsko - Dąbrowskiego w Katowicach”.

Niedługo mógł nacieszyć się Polską, 17 lutego 1951 roku został zatrzymany przez Urząd Bezpieczeństwa Publicznego: „pod zarzutem przestępstwa określonego w art. 3 dekretu z dnia 22 stycznia 1946 roku popełnionego w ten sposób, że w latach 1937 - 1939 w Warszawie jako kierownik Wydziału III w Oddziale II Sztabu Generalnego W.P. organizował ośrodki wywiadu wojskowego oraz dywersji na terenie Związku Radzieckiego”. Po piętnastomiesięcznym pobycie w więzieniu przy ulicy Rakowieckiej w Warszawie zmarł. Wicedyrektor Departamentu II Generalnej Prokuratury A.Hapon po przełomie październikowym, udzielił w tej sprawie następującą informację: „Do chwili zgonu Skrzydlewskiego, który nastąpił w dniu 7 maja 1952 r., w śledztwie wyjaśniono okoliczności związane



Cmentarz w Grodzisku Wielkopolskim. Miejsce ostatecznego spoczynku ppłk. Skrzydlewskiego. W zbiorach autora artykułu

z zajmowanym przez niego w latach 1937 - 1939 stanowiskiem kierownika Wydziału III Oddziału II Sztabu Generalnego W.P.. Należy nadmienić, że Józef Skrzydlewski do stawianego zarzutu nie przyznał się, a zgromadzone w toku śledztwa dowody nie pozwalają na uznanie go winnym zarzucanego mu czynu”.

Nie zapomnieli swym bohaterze powstańcy wielkopolscy, którzy w 1957 roku, posiadając pełnomocnictwa rodziny, wystąpili do Prezydium Miejskiej Rady Narodowej - Wydział Społeczno-Administracyjny w Warszawie o ekshumację zwłok „pochowanych na Cmentarzu Powązkowskim w Warszawie, w dniu 14 maja 1952 r. i przywiezienia ich do Grodziska Wlkp., celem złożenia ich w wspólnej mogile Powstańców Wielkopolskich poległych i zmarłych w 1918/1919 r.”.

Zwłoki płk. dypl. Józefa Skrzydlewskiego umieszczone zostały po ekshumacji do drewnianej trumny z wkładką metalową, a następnie zostały przewiezione do Grodziska Wielkopolskiego, gdzie odbyły się uroczystości pogrzebowo - poekshumacyjne. W dniach 11 i 12 października 1957 roku trumna wraz z pamiątkami i odznaczeniami była wystawiona na widok pu-

bliczny dla oddania hołdu przez mieszkańców Grodziska Wielkopolskiego i okolicy. W niedzielę 13 października w godzinach przedpołudniowych nastąpiło oddanie hołdu przez rodzinę, znajomych, liczne miejscowe społeczeństwo oraz dwadzieścia kilka sztandarów powstańców wielkopolskich z różnych miast.

Warto nadmienić, że na pogrzeb przybył zastępca przewodniczącego Rady Państwa Franciszek Mazur, który udekorował trumnę Wielkopolskim Krzyżem Powstańczym. Władze obawiały się demonstracji jednak do niczego takiego nie doszło. Pogrzeb przebiegał - jak wspominał syn podpułkownika - o. Władysław B. Skrzydlewski w skupieniu i głębokim przeżywaniu tej żałobnej uroczystości przez jej uczestników.

W dniu 13 października 2010 roku imię ppłk. Józefa Skrzydlewskiego otrzymało rondo na skrzyżowaniu ulic Chopina i Powstańców Chocieszyńskich w Grodzisku Wielkopolskim; Ta piękna uroczystość odbyła się w 53 rocznicę złożenia trumny z ciałem Podpułkownika na grodziskim cmentarzu. (Koniec)

Dr ZDZISŁAW KOŚCIAŃSKI



Wierny przysiędze Hipokratesa

Andrzej Buxakowski nad pamiątkami rodzinnymi.

Fot. Teresa Maślowska

Doktor medycyny Aleksander Buxakowski, oficer lekarz WP, jeńiec niemieckich oflagów, żołnierz generała Maczka, kierownik Państwowego Sanatorium dla Nerwowo Chorych w Wonieściu. Człowiek nieprzeciętny. Jego syn inżynier Andrzej Buxakowski, absolwent Państwowego Gimnazjum i Liceum im. św. Stanisława Kostki w Kościanie, mieszka w Poznaniu, skrupulatnie gromadzi pamiątki rodzinne i rejestruje wspomnienia.

Franciszek Buxakowski, ojciec

Aleksandra i dziadek Andrzeja, pochodził z Gołańczy. W rodzinie dziś nikt już nie wie, czy do armii pruskiej wstąpił na ochotnika, czy został powołany, a o zdanie nikt się go nie pytał. W Spandau pod Berlinem służył w 3 Pułku Grenadierów Gwardii Królowej Elżbiety. Po trzynastu latach miał dosyć wojskowego drylu, zwolnił się otrzymując nienaganną opinię. Przepracował jeszcze rok w fabryce zbrojeniowej, a potem przeniósł się do Wrocławia na posadę w niemieckiej kancelarii ubezpieczeń

społecznych. Ale ciągnęło go do Ojczyzny. W 1900 roku na wakacjach w Wielkopolsce poznał przyszłą żonę Helenę Jasińską z Witkowa.

Z Wrocławia do Poznania

Aleksander - pierworodny syn Franciszka i Heleny, w rodzinie nazywany Alim, urodził się 7 kwietnia 1901 r. Dorastał w ówczesnym Breslau, tam chodził do gimnazjum św. Macieja. Od dziecka biegle władał językiem polskim i niemieckim. Pierwsza wojna ominęła ojca



W dywizji generała Maczka.

Fot. w archiwum rodzinnym Andrzeja Buxakowskiego z Poznania

i syna: jeden był za stary, drugi - za młody na wojsko. Jednak powoli, ale nieubłaganie, nadciągały brunatne chmury nad Europę...

Po traktacie wersalskim Wrocław pozostał w granicach Niemiec, więc Buxakowscy, którzy zawsze czuli się Polakami, przeprowadzili się do Poznania. Sprawa wymagała wielu zabiegów i formalności; załatwiono ją drogą wymiany rodzin. Wrocławskie mieszkanie Buxakowskich zajął niemiecki urzędnik z Poznania, oni zaś wprowadzili się do jego mieszkania w grodzie Przemysława na ul. Przemysłowej.

Zaczynał się „polski” etap życia Alka. Eksternistycznie zdał maturę w gimnazjum św. Marii Magdaleny w Poznaniu. Język polski, historię i geografię na dobry. Nie mogło być inaczej, w niemieckim Wrocławiu dom Buxakowskich był zawsze polskim domem.

Obraza Marszałka

Po maturze Aleksander wybrał medycynę na Wydziale Lekarskim

Uniwersytetu Poznańskiego. Jego rocznik był drugim, który opuścił mury uczelni utworzonej w 1919 r. Specjalizował się w psychiatrii, przeszedł praktyki w Krajowym Zakładzie Psychiatrycznym w Owińskach i Klinice Neurologiczno-Psychiatrycznej Uniwersytetu Poznańskiego. W 1928 r. obronił doktorat z psychiatrii. Promotorem jego pracy był wybitny neurolog i psychiatra profesor Stefan Borowiecki. Spisany po łacinie dyplom ma swoją wagę i objętość, zajmuje prawie połowę stołu.

Wcześniej, w 1920 r. pojechał odwiedzić rodzinę w Zaniemyślu. Wpadła mu w oko - Anna; miał 19, ona zaledwie 15 lat. Miłość od pierwszego wejrzenia. Zachowały się zdjęcia z romantycznymi dedykacjami. Miłość kwitła; pływali łódką, chodzili na spacerki wokół jeziora, z przyjaciółmi urządzali pikniki. Wesele urządzono w 1928 roku w restauracji Andrzejewskiego w Zaniemyślu.

- Rodzice bardzo się kochali. Żyli tyle lat zgodnie, mama ciężko

przeżyła jego śmierć. Na ich ślubie zwykowny szpaler uformowali żacy z korporacji „Baltia”. Na jednym z pamiątkowych zdjęć podpis „Ali barwiarz”. Co za barwiarz, myślałem, a to jest stopień wtajemniczenia w korporacji. Od Bartłomieja Wróblewskiego, prowadzącego archiwum korporacji studenckich, dowiedziałem się, że to narodowa korporacja, podobno jeszcze istniejąca, która obrała za patronów generała Józefa Hallera i Romana Dmowskiego. W czasie zamachu majowego studenci z „Baltii” wybierali się „na wojnę z Piłsudskim”, ale zrezygnowali. Wychodzi na to, że ojciec był zagorzałym endekiem. Nam nigdy o tym nie wspominał, ale ciotka zdradziła, że w kasynie lekarskim w trakcie gorącej politycznej dyskusji podchmielony walnął kuflem w portret Piłsudskiego. I zgadza się. Ostatnio byłem w Kościanie i czytałem jego ankietę personalną, na pytanie o karalność, napisał twierdząco: „Byłem karany. Obniżono mi pobory na rok za rzekomą obrazę Piłsudskiego” – opowiada

Andrzej Buxakowski.

Siedzi gołąbek na dachu...

Po studiach dr med. Aleksander Buxakowski podjął pracę w ośrodku w Owińskach. Tam urodziła się trójka ich dzieci. Najstarsza Wiesława, Mieczysław i Andrzej. Po około 6 latach doktor Buxakowski został ordynatorem w Wojewódzkim Zakładzie Psychiatrycznym w Dziekance. Był lekarzem z prawdziwego zdarzenia, całkowicie oddanym pacjentom. Całe dnie spędzał w pracy. Buxakowscy mieszkali w willi na terenie zakładu, bardzo dobrze im się powodziło.

- W wakacje przyjeżdżali kuzyni, ustawialiśmy namioty w ogrodzie zakładu. Z ojcem puszczałyśmy latawce. Mieliśmy dreżynę ręczną, na której szaleliśmy. Kiedyś z bratem musieliśmy ciężko zbroić, bo zamknięto nas w pakamerze. Z pomocą przyszła niania wyciągając nas na wolność przez okienko. Pamiętam jeszcze, jak przekreśliłem wiersz dla taty, zamiast: „Siedzi gołąbek na dachu i skubie sobie mech, a kto tatusia nie kocha, ten żeby zdechł”, palnąłem: „a tatuś żeby zdechł”.

Porucznik rezerwy lekarz Aleksander Buxakowski został zmobilizowany do 7 Wojskowego Szpitala Okręgowego. Wieczorem wyjeżdżał. - Nie pamiętam tego, bo już spałem, znam tylko z opowieści:

- Andrzej, pożegnaj się z tatusiem. A ja: - W imię ojca i syna... - Z tatusiem masz się pożegnać, nie przeżegnać. A ja znowu: - W imię ojca i syna... Nie dobudzili mnie. Ale - na szczęście - w ostatnich dniach przed wybuchem wojny byliśmy u ojca w Poznaniu. Wtedy pożegnałem się z nim aż na siedem długich lat. Pożegnałem się wtedy także ze szczęśliwym dzieciństwem.

Wojna i okupacja

Do zimy matce i dzieciom pozwolono mieszkać w willi, wiosną 1940 musieli ją opuścić. Pozostawiono ich w Gnieźnie, gnieździli się w pokoju jednego z pielęgniarskich domów, ale dyrektor Dziekanki Viktor Ratka i stamtąd kazał im się wynosić. Zresztą robił znacznie gorsze rzeczy. Został volksdeutschem; jako lekarz wskazywał pacjentów, tak Polaków jak Niemców, których potem uśmiercano



Dr Buxakowski (od prawej) z dr Oskarem Bielawskim w Wonieściu w latach 50 XX w.

Fot. ze zbiorów Andrzeja Buxakowskiego

przez zagazowanie.

Anna Buxakowska była kobietą silną i zaradną. Przed wojną ukończyła seminarium nauczycielskie i pracowała w szkole w Margoninie. W Gnieźnie znalazła mieszkanie na Piekarach, które były wtedy wsią, żeby mieć ogródek z warzywami, trzymać króliki i kury. Nie dała się namówić do wpisania na volkslistę. Dzięki znajomości języka niemieckiego zarabiała parę groszy pomagając sołtysowi w tłumaczeniu dokumentów czy pisaniu listów.

Tymczasem Aleksander ze szpitala polowym trafił do niewoli w Iłowie. Przeszedł obozy jenieckie w Żychlinie, Łodzi, Ostrzeszowie, Antoniewie, Szubinie, Arnswalde, najdłużej przebywał w Oflagu II D w Gross Born, czyli Bornem Sulinowie. Wiosną 1945 r. ewakuowany do Stalagu X B – Sandbostel, został wyzwolony 29 kwietnia przez wojska kanadyjskie.

Sowieci w Gnieźnie byli już 21 stycznia 1945 r. Pierwsze spotkanie z wyzwolicielamiomal nie skończyło się tragicznie. Przyszli do domu, zachowywali się głośno, gospodyni poprosiła, żeby nie hałasowali, bo obok jest pani doktorowa. – Co? Burżujka? To my ją zaraz ubijemy. Na kolanach błagała, żeby odpuścili. Innym razem podjechali działem pancernym, przywieźli pół świni, ledwo co opalanej ze szczeciny i litry

bimbru w kanie po mleku. Jak już się spili zaczęli strzelać.

Powrót taty

Wojna skończyła się. Wracali do domów żołnierze, więźniowie obozów koncentracyjnych, przymusowi robotnicy, jeńcy. A doktora Buxakowskiego ani widu, ani słyhu.

- Mama miała z nim jakiś kontakt, nam nie mówiła nic. Może jej było przykro, że wciąż go nie ma. Ojciec jak wielu innych oficerów z obozu w Sandbostel wcielony został do Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Pod komendą generała Maczka niósł medyczną pomoc żołnierzom. Wreszcie wrócił dwa lata po wojnie. Pojechaliśmy po niego na dworzec w Gnieźnie. Po tylu latach rozłąki, rozplakałem się na jego widok rzewnymi łzami. Nie zmienił się za bardzo, włosy stracił już przed wojną. Przywiózł radio, cieszyliśmy się, bo w domu nadawał tylko „kołchoźnik”...

Zanim wrócił, przysłał posłańca, także oficera, z wiadomością, co u niego. Musiał być lubiany w obozie i jako człowiek, i lekarz, skoro na imieniny otrzymał pięknie intarsjowaną kasetkę z podobizną doktora jako rycerza z mieczem walczącego z hydrą, czyli „chorobą drutów kolczastych” z napisem: „Kochanemu opiekunowi sala D”. Za drutami jego pomoc była szczególnie potrzebna. Jeńcom

czas dłużył się niemiłosiernie, mimo wielu zajęć, wykładów, teatralnych, językowych, wydawania gazet; żołnierzy zżerała tęsknota za domem, depresje, poczucie klęski. Pamiątkowa kasetka zachowała się w bardzo dobrym stanie. Syn przechowuje w niej pamiątki po ojcu: książeczkę wojskową, książeczkę do nabożeństwa, kalendarzyk jeniecki z odnotowanym każdym listem wysłanym i otrzymanym, datą i nadawcą. I – co najważniejsze – wykaz obozów jenieckich, dzięki któremu mógł odtworzyć jenieckie losy ojca.

Po dwóch latach w szeregach 1 Dywizji Panczernej generała Maczka, wracał do Polski ze strachem. O pobycie w obozach prawie nic nie mówił, ani tym bardziej o obozowej konspiracji, w którą najprawdopodobniej zaangażował się. We wrześniu 1944 r. przez obóz przetoczyła się fala aresztowań. Jeden z jeńców, dziennikarz Marek Sadowicz w książce „Oflag II D Gross Born” wspominał:

„...Zobaczyliśmy, stojąc wciąż w szyku apelowym, że wyprowadzają z szeregów por. Żywirskiego, por. Kreutzingera i plut. Paprzyckiego... Por. dr med. Buxakowski zdołał wpakować Żywirskiemu do ust całą garść pastylek weronalu, jako zabezpieczenie przed pierwszym przesłuchaniem... W gestapo w Szczecinie wprowadzono więźniów do kancelarii. Za biurkiem siedzieli gestapowcy. Nieco z tyłu posępne postacie esesmanów z trupimi czaszkami na czapkach, w skórzanych płaszczach, z bykowcami w rękach. Po pierwszych pytaniach posypały się ciosy. Żywirski przekonał się, że dawka weronalu, którego działanie jeszcze trwało, bardzo się przydała”.

Przystań w Wonieściu

W obozie w Bornem Sulinowie przebywał także znany psychiatra Oskar Bielawski. Znali się wcześniej, doktor Bielawski, kapitan WP z wojny polsko-bolszewickiej, do 1929 roku pracował w Dziekance. Zżyli się bardzo dopiero w obozie. Pod koniec wojny Bielawski został w Gross Born, po wyzwoleniu szybko wrócił do kraju – w początku marca 1945 r. był już w Kościanie i ponownie organizował tutaj Sanatorium.

Dr Buxakowski został dyrektorem odrębnego Państwowego Sanatorium dla Nerwowo Chorych w Wonieściu.

Historyk medycyny dr med. Henryk Florkowski napisze po latach w biogramie doktora Aleksandra Buxakowskiego:

„Wrócił do kraju w czerwcu 1947 r. 8 VII 1947 Wojewódzki Wydział Poznański powierzył mu tymczasowe kierownictwo w Państwowym Sanatorium dla Nerwowo Chorych w Wonieściu (pow. kościański) z zaleceniem najszerzej współpracy z dyrektorem Bielawskim w celu zagwarantowania rozwoju sanatorium. 1 VII 1948 mianowany dyrektorem sanatorium w Wonieściu...”.

Była to nie tylko współpraca, ale głównie żołnierska przyjaźń. Obaj oddani psychiatrii, pacjentom, wydzwignęli ośrodki, którymi kierowali na bardzo wysoki poziom. Wonieść zyskał wtedy bardzo dobrą markę. Doktor Buxakowski wprowadził między innymi nowoczesne metody leczenia: hydroterapię, rentgen, stosował elektrowstrząsy, które jak twierdzą ostatnio naukowcy – umiejętnie stosowane – przynoszą ponoć bardzo dobre rezultaty.

- Jak się dowiedziałem, że będziemy mieszkać w Wonieściu, że tam jest jezioro, żaglówka - byłem w siódmym niebie. Tak ukochałem to miejsce, że w ogóle nie wyjeżdżałem na wakacje, tylko całe lato spędzałem w Wonieściu. Żaglówka zupełnie mi wystarczyła. Tam poznałem moją żonę Barbarę, kiedy z kolegą przyjechałem na przepustkę z wojska. A tak na marginesie - bardzo mnie zmartwiła wiadomość o niedawnym pożarze ośrodka w Wonieściu.

Najlepszy człowiek

Wonieść. Sanatorium - szpital dla ludzi cierpiących na nerwice. W ośrodku tym leczyli się m.in. znani artyści, politycy: minister komunikacji Jan Rabanowski, gawędziarz Stanisław Strugarek - dziennikarz z Polskiego Radia w Poznaniu czy wybitny poeta Władysław Broniewski. Ten ostatni przychodził do doktora na brydża, recytował swoje wiersze na wieczorku autorskim. Musiał opuścić Wonieść, po tym jak poszedł do pobliskiego kiosku na górze i... Po śmierci córki Anki trafił do Kościana,

ale to już inna historia.

Doktor Buxakowski kierował Wonieściem do 1960 roku. W dramacie, który się wtedy rozegrał wystąpiły trzy postaci: doktor Buxakowski, dyrektor Bielawski i doktor K. wielce partyjna działaczka. Najpierw – poprzez swoich popleczników - spowodowała, że doktor Bielawski musiał odejść z Kościana, w konsekwencji wonieskie sanatorium straciło samodzielność, a doktor Buxakowski otrzymał propozycję nie do odrzucenia.

Odbyło się to paskudnie, jak to często u nas. Po drodze do sanatorium w Nałęczowie doktor wstąpił do ministerstwa zdrowia porozmawiać o planach rozwoju Wonieścia. Po powrocie okazało się, że już nie był dyrektorem. Jego starszy syn, który także był psychiatrą i pracował w Wonieściu, natychmiast zwołał się na znak protestu.

Albumy ze starymi zdjęciami w sepia, świadectwa szkolne i uniwersyteckie, książeczki wojskowe ojca, dziadka, drzewo genealogiczne rodziny. Inżynier Andrzej Buxakowski wykonał ogromną pracę, by zachować pamięć o ojcu i rodzinie.

- Część materiałów przejąłem po śmierci mamy. Przedtem nawet nie wiedziałem o ich istnieniu. Nie wszystko zdążyłem uporządkować, ale niczego nie dam zniszczyć, całość przejmie najstarszy syn, który jest lekarzem, wnuk także kończy medycynę.

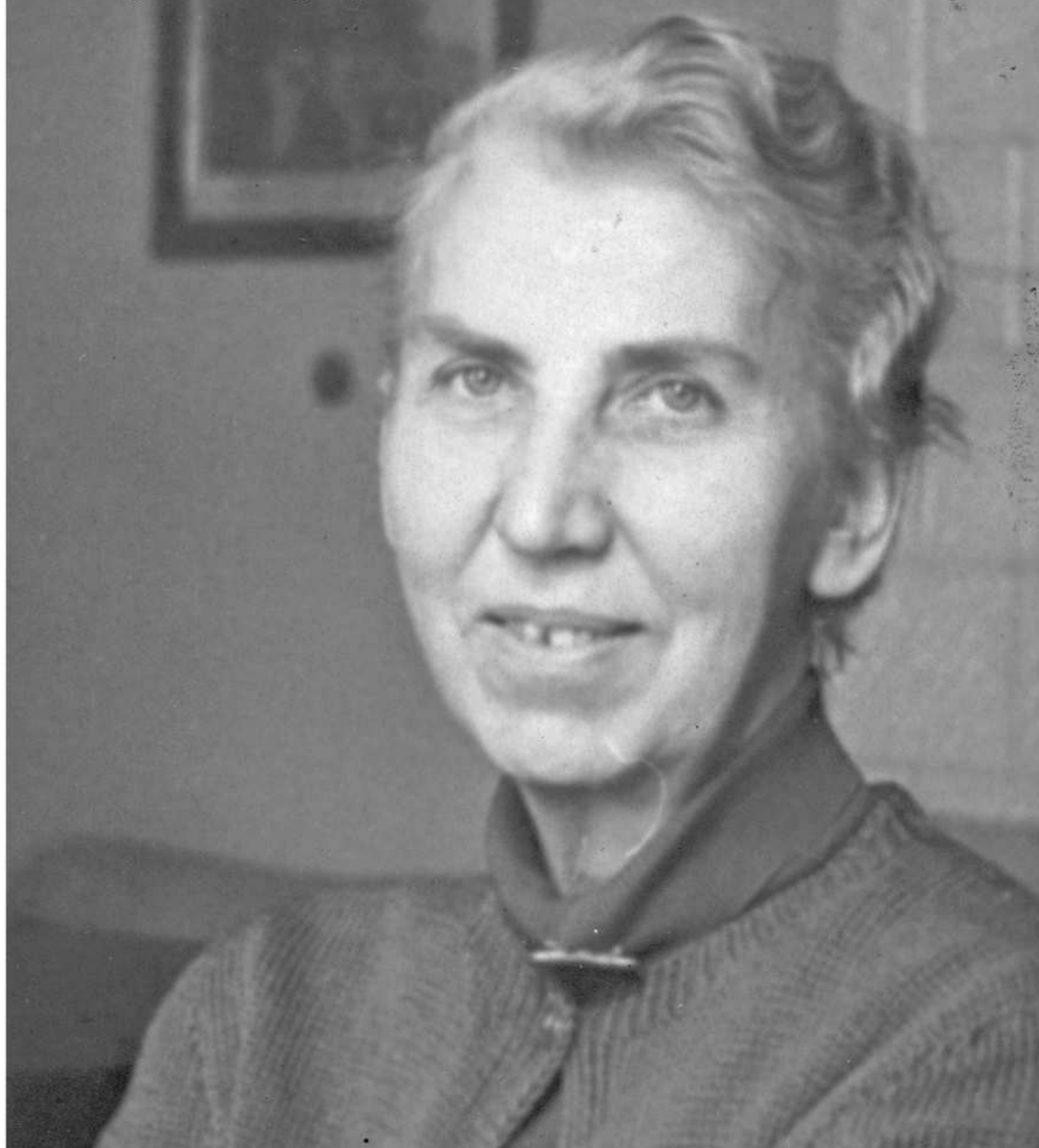
Ze zdjęć doktor Aleksander spogląda dobrotliwym, czasem nieco figlarnym spojrzeniem. Jakim był człowiekiem?

- Ojciec cieszył się ogromnym autorytetem wśród personelu, pacjentów, w rodzinie. Był spokojnym człowiekiem, nie miał dyktatorskich zapędów. W różnych sprawach chętnie radził się mamy, która miała duże doświadczenie i życiową mądrość. Dużo pracował, a mama była ciągle z nami i to jednak z nią byliśmy bliżej. Pacjenci go uwielbiali. Warszawiaczy założyli nawet klub woniesciaków. Wdzięczne kuracjuszki zrobiły jego portret w battle dressie i napisały: „Najlepszeemu człowiekowi, jakiego znamy między lekarzami”.

TERESA MASŁOWSKA

Nasza Matka kochała ludzi (2)

(Różę Żółtowską wspomina córka Maria z Żółtowskich Glińska)



Róża Żółtowska.

Fot. Teresa z Żółtowskich Jakubowska

Ojciec poszedł na wojnę 25 sierpnia; odtąd nasza Matka musiała sama borykać się z nami. Najpierw była ucieczka przed Niemcami na wschód, do Kocka, gdzie nas przyjęli stryjostwo Ojca, Józefostwo Żółtowski, ale już w końcu września, wobec agresji ZSRR trzeba było wracać na zachód. Droga powrotna do Głuchowa kilkoetapowa była tragiczna, w pociągu 2 października umarła Joanna, ostatni etap

z Wrocławia odbył się już samochodem pogrzebowym.

W Głuchowie mieszkaliśmy dwa miesiące, mając w domu liczne rewizje i Treuhandera nad głowami (9); 7 grudnia 1939 roku zostaliśmy wysiedleni do GG. Po krótkim pobycie w obozie internowania w pałacu w Racocie, transportem z Kościana zostaliśmy wywiezieni do Kosowa Lackiego. W okupowanej Warszawie przysparza

nas w swoim częściowo zrujnowanym mieszkaniu siostra Mamy, Maria Morawska. Po urodzeniu Teresy /Reni/, w maju 1940r. objęliśmy piękne mieszkanie na Mokotowie, które oddała nam w użytkowanie pani Maria Baworowska, mąż jej był w oflagu, a ona przeniosła się do krewnych na wieś.

Do opieki nad małą Renią znalazła się rodzinna niania - Azia, gospodarstwo domowe prowadziła, przybyła z Głuchowa

przez „zieloną granicę”, oddana panna Teresa Poprawska, a Matka podjęła pracę społeczną najpierw w jakiejś stołówce dla potrzebujących na Ochocie, a od końca 1940 r. w opiece nad wysiedlonymi - pamiętam pakowanie i roznoszenie paczek żywnościowych przed Bożym Narodzeniem 1940.

Chyba w 1941r. zwrócono się do naszej matki, by objęła kierownictwo Kołem Terenowym Opieki nad Rodziną Więźnia na Mokotowie, podlegającej Radzie Głównej Opiekuńczej /RGO/. Mimo wielkich obaw, że sobie nie poradzi,

podjęła to zadanie, miała do pomocy 8 pań, kilka jej krewnych i znajomych było zaangażowanych w podobnych kołach w innych dzielnicach Warszawy. (10) Matka nasza organizowała różne akcje, by zdobywać pieniądze na pomoc dla podopiecznych. Były to sprzedaże palemek przed Wielkanocą i różnych gadżetów produkowanych przez przyjaciół Patronatu oraz oczywiście poszukiwanie i odwiedzanie sponsorów. Nie oszczędzała ani sił, ani zdrowia, nieraz ponosząc znaczne ryzyko, ale uważała to za wyższą konieczność. Przywiązywała się do rodzin, które poznawała w tych dramatycznych okolicznościach. Zbyszewska pisze:

Relacja Róży Żółtowskiej jest tak przepiękna życzliwością i przyjaźnią, że ostatecznie nie bardzo wiadomo, czy to ona opiekowała się rodzinami więźniów, czy też te rodziny pomagały jej znieść groźbę sytuacji, niepokój o 13-letniego syna rannego na ulicy i wiele innych trudnych przeżyć.

Najcięższa chyba była wiosna 1943 r., wtedy dotarła informacja o śmierci męża w Katyniu, przyniósł ją, zanim ukazała się w gazecie, znajomy pracujący w RGO. A parę tygodni później w strzelaninie ulicznej został postrzelony, jak wspomina Zbyszewska, syn Piotr.

Spośród podopiecznych była najbardziej związana z rodziną mieszkającą na Narbutta, gdzie było trzech chłopców po uszy zaangażowanych w konspirację. Pamiętam starania o ekwipunek dla jednego z nich, który jechał do „lasu”, do 27 Wołyńskiej Dywizji AK, starania o pieniądze na wykupienie aresztowanego na ulicy jego starszego brata z Pawiaka, który później zginął w



Legitymacja Rady Głównej Opiekuńczej z 1943r. W zbiorach rodzinnych

powstaniu; trzeci wiosną 1944 r., spiesząc się na spotkanie konspiracyjne, wyskakiwał nieszczęśliwie z tramwaju i stracił nogę - leki przeznaczone tylko dla Niemców wyosiła dla niego z magazynów firmy farmaceutycznej Rocha na ul. Rakowieckiej, pracująca tam siostrzenica Magda Morawska (11). Odwiedzaliśmy go w Szpitalu Ujazdowskim; przeżył powstanie.

Współpracowała z Siostrami Niepokalankami, które w internacie na Kazimierzowskiej ukrywały dzieci żydowskie i prowadziły stołówkę RGO; zdarzało się, że pomagaliśmy wozić z rynku warzywa ofiarowywane przez straganiarki. Dla pozbawionych mężów i zagrożonych kobiet organizowała spotkania formacyjne ze znanym warszawskim kaznodzieją księdzem Janem Zieją. Jego pomoc duchową uważała i dla siebie za bezcenną. Wiemy, że miała swój udział w wyprowadzeniu z getta dr. Zofii Rosenblum jako Zofii Szymańskiej i jej siostrzenicy Jasi, którą przyjęły Niepokalanki. (12)

W naszym mieszkaniu był punkt kontaktowy AK, bywali różni ludzie między innymi pułk. Stanisław Rostworowski, który ukrywał się jako robotnik, chodził w roboczym kombinezonie, mówiło się o nim pan Gębicki. W AK był awansowany na generała, był dowódcą obwodu krakowskiego AK. (13) W naszym domu odbywały się też komplety tajnego nauczania, w których i my oboje z Piotrem zdobywaliśmy edukację w zakresie V, VI klasy i I gimnazjum. Niestety nie o wszystkich działaniach naszej Matki z tego czasu wiemy.

W 1944 r. dzięki wyjazdowi w końcu czerwca na wakacje do wujostwa Niny i

Ludwika Morstinów do Pławowic pod Krakowem uniknęliśmy powstania warszawskiego i tego co po nim spotkało mieszkańców Warszawy. W kwietniu 1945 r. Róża wróciła z nami do Głuchowa, gdzie swój dom zastała splądrowany. Zamieszkaliśmy w oficynie, gdzie znowu gospodarzyła wierna Teresa Poprawska - po dwóch miesiącach pod groźbą aresztowania tym razem przez polskie władze, nasza Matka musiała ruszyć dalej.

Od września organizowała nowe życie dla nas - dzieci i siebie w

Poznaniu. Było to możliwe dzięki zapobiegliwości i ekonomicznemu myśleniu jej ojca. To Stanisław Turno przewidział, że nie należy tylko liczyć na rolnictwo i kupić w latach dwudziestych hotel Continental. Przedsiębiorstwo to było jego „oczkiem w głowie”, a nam jako jego następcom zapewniło byt w latach 1945-1951. Nie na długo wprowadzie, ale były to ważne i trudne lata. W hotelu Róża pełniła rolę zarządzającej kuchnią i stołówką dla pracowników, z której mogła też korzystać rodzina. Mieliśmy również zapewniony dach nad głową. Dyrektorem był brat Jerzy Turno, najstarszy z rodzeństwa. Dochody nie musiały być zawrotne, skoro dodatkowo, na zmianę z siostrą, siadała na kilka godzin w hotelowym kiosku z papierosami. Jeden z naszych wujów patrząc na to mówił, że to jakby „monstrancję używać do tłuczenia orzechów”.

Wkrótce nastąpiła kolejna próba wytrzymałości, w styczniu 1951 r. hotel został wzięty pod zarząd państwowy, Jerzy Turno i jego żona aresztowani, kilka dni później również wzięto z ulicy i uwięziono na kilka lat szwagra Edwarda Morawskiego, pracującego w PNZ-ach. Nowy zarząd hotelu był zobowiązany nas się pozbyć - znaleźliśmy się w dwóch pokojach bez kuchni i łazienki w kamienicy na ul. Rybaki 19, gdzie w czasie wojny były kwatery dla żołnierzy Wehrmachtu, a po wojnie razem z nami w pojedynczych pokojach mieszkali studenci i różne osoby samotne, w większości chórzystki i tancerki z opery. Nasza matka ze spokojem stwierdziła, że doskonale tu się czuje, bo w suterenie

sąsiedniego domu umarł w 1943 r. jej ojciec Stanisław Turno, który chyba jako jedyny ze swego środowiska, nie dał się wysiedlić do GG, „nie opuścił posterunku”, żył samotny i chory przygarnięty przez jednego z dawnych swoich pracowników z Mleczarni Szwajcarskiej. Pisywał listy do dzieci i wnuków, często wierszowane i by czas sobie wypełnić uczył się duńskiego i szwedzkiego.

W momencie odebrania hotelu zaczęło się też beznadziejne poszukiwanie pracy. Ratowały trochę sytuację życiową paczki z zagranicy od krewnych, ale o pracy stałej w Poznaniu nasza Matka nie mogła nawet marzyć. Kilka miesięcy, dzięki protekcji dr. Zofii Rosenblum-Szymańskiej, pracowała w Poradni Zdrowia Psychicznego dla dzieci. Otrzymała wówczas takie oto zaświadczenie:

„Zaświadczam niniejszym, że Ob. mgr Różę Żóttowską znam od 1927. Mgr Żóttowska pracowała w ciągu roku w charakterze psychologa w Poradni Lecznico-Wychowawczej przy I Ośrodku Zdrowia, w której zajmowała stanowisko kierownika w ciągu roku. Mgr Żóttowska poza dużą znajomością fachową, wykazała wyjątkowe uspołecznienie, co przyczyniło się wydajnie do podniesienia poziomu pracy. W 1939 r. zetknęłam się z mgr Żóttowską ponownie i byłam z nią w kontakcie do 1942 r. włącznie. Mgr Żóttowska zorganizowała wydatną pomoc dla ghetta warszawskiego, przyjmując w tym czynny udział. Mgr Żóttowska załatwiała po stronie aryjskiej szereg spraw, wyrabiała papiery, przносиła pieniądze i ułatwiała ludziom ucieczkę. Podczas okresu okupacji mgr Żóttowska zachowywała się z dużą odwagą cywilną, niejednokrotnie narażając się osobiście. Mgr Żóttowska jest pochodzenia ziemiańskiego, tym nie mniej przez cały okres mej znajomości z nią stwierdziłam, że postępowanie jej cechuje szczerzy stosunek humanitarny i demokratyczny i głęboki szacunek dla człowieka. Wiem, że taką opinię o mgr Żóttowskiej mają wszyscy ludzie, którzy się z nią zetknęli. Wydaję to zaświadczenie z pełną świadomością, że mgr Żóttowska na każdej placówce pracy będzie czynnym i b. wartościowym pracownikiem, lojalnym w stosunku do Państwa. /Dr. Zofia Szymańska/ Kierownik Poradni Lecznico-Wychowawczej przy Główniej Poradni Zdrowia Psychicznego, członek partii P.Z.P.R. Nr. legitymacji 0126974 Warszawa, dnia 21 lutego 1950 r.

Na długo to nie pomogło, były to tylko zastępstwa za dwie kolejne osoby, które znajdowały się na urlopach macierzyńskich. Pozostało jej tylko udzielanie lekcji języków,



Zakopane 1953 albo 1954 r. U Morstinów. Od lewej: Róża Żóttowska, Nina z Żóttowskich Morstinowa, Ludwik Hieronim Morstin i Teresa Żóttowska, później Jakubowska. Fot. Piotr Żóttowski

maszynopisanie i prace zlecone. Po jakimś czasie, w 1954 r., kiedy już była sama z najmłodszą naszą siostrą /ja wyjechałam do Szczecina we wrześniu 1952 r., Piotr od 1949 r. był na studiach w Gdańsku/ znalazła mieszkanie kwaterunkowe, 2-pokojowe, w starej kamienicy na ul. Woźnej 17 m.2 i tu żyła przeszło dwadzieścia lat, do 1975 r. Warunki były tu dość spartańskie, ale lubiła ten ostatni własny dom. Lubiła palić w piecach, siadywać z papierosem w ulubionym fotelu i rozmawiać z osobami, które u Niej znajdowały pomoc w swoich różnych osobistych trudnościach. Chodziła stąd po maszynopisanie do Archiwum i do Instytutu Badań Literackich, przyjmowała studentów i młodych lekarzy na lekcje języków, robiła dla nich tłumaczenia, godzinami siedziała przy maszynie do pisania, a to, czego przy okazji się dowiadywała i uczyła, pasjonowało ją. Uczniowie odwiedzali się ratując Jej słabe zdrowie. Miejsce i pokój córki Reni po jej zamążpójściu i wyjeździe do Warszawy, zajmowały kolejne lokatorki, którym matkowała i z którymi znajdowała doskonałe porozumienie. Bardzo sobie ceniła głębokie przyjaźnie, jakie w poznańskich latach nawiązała. To była jedna z Jej cech najważniejszych – pochylenie się nad niemal każdym spotkanym człowiekiem. Nie znosiła tylko egzaltacji i wulgarności.

Ostatni poznański rok był dla Niej w miarę szczęśliwy, bo zamieszkała z Nią najstarsza ukochana wnuczka, wtedy

studentka. Na ostatnie dziewięć lat, kiedy już nie była zdolna do samodzielnej egzystencji, przeniosła się do Warszawy, do córki Teresy i jej męża. Mogła tu cieszyć się małymi wnukami. Było Jej jednak bardzo trudno, miała problemy zdrowotne, najbardziej dokuczało jej pogorszenie się wzroku i niemożność samodzielnego chodzenia z powodu zachwiania równowagi. Niewiele mogła być pomocna w domu, nie mogła czytać, co było dla Niej ciężarem trudnym do zaakceptowania. Przez całe Jej życie wielkie cierpienia przeplatały się z szczęściem. Umarła 27 lutego 1984 r. i jest pochowana na prawie wiejskim cmentarzu w Pyrach pod Warszawą.

Po Jej odejściu przyjaciel, prof. Gerard Labuda napisał do nas: „Świec Panie nad Jej duszą. Wiele nam okazała serca...Nie miała łatwego życia, a tyle wciąż miała pogody wewnętrznej i dobroci”. Jego żona Alba, najbliższa przyjaciółka, dodała: „miała głęboką mądrość życiową, umiała poradzić w rozmaitych sytuacjach, konkretnie i szeroko ujmując problemy. Jako młoda, a potem coraz starsza mężatka miałam w niej zawsze prawdziwe oparcie i wymianę myśli na rozmaite tematy głębszej natury, wnikając w życie poznawanych ludzi, książek przeczytanych, czasów, które przeżywaliśmy, bardzo różnych...”

W każdym okresie życia zadawała sobie trud pisania listów, kiedy byliśmy od siebie oddaleni: do męża, póki żył, a przebywał poza domem, pisywała codziennie; do mnie do internatu, a potem do Szczecina – co dwa trzy dni, musiała dzielić się dniem codziennym, niektóre myśli są bezcenne. Nie zechciała jednak spisać wspomnień z tak bogatej i wyboistej drogi. A cóż by to była za opowieść, o wiele bogatsza niż to, co udaje się wydobyć z naszej pamięci, ale widocznie nie było to „na sprzedaż”, nawet dla najbliższych, którym oddana była bez reszty. (Koniec)

MARIA GLIŃSKA

Przypisy:

(9) Był nim Kurt Ossoliński, który po kilkunastu miesiącach, za nadmierną życzliwość dla Polaków został zastąpiony przez innego zarządcę.

(10) Z. Zbyszewska, *Ministerstwo Polskiej Biedy*, PIW 1983, s. 226-228. *Koła terenowe działały od schyłku 1940 r.*

(11) *Zginęła 6 sierpnia w powstaniu warszawskim.*

(12) J. Olczak-Ronikier, *W ogrodzie pamięci*, Kraków 2002, s. 282, 289-291, il.

(13) *Aresztowany 11.08.1944, zginął zamęczony w czasie przesłuchania.*

Okupacja w wyskockiej organistówce (3) (Fragmenty wspomnień)

Upłynęła pierwsza połowa września. Zaczynają wracać ludzie z Warty. Ojciec radzi wmieszać się w tłum wracających z ucieczki. Odnosi się to przede wszystkim do Józefa. Mnie zaś „Przyjaciel Organisty” z ładunkiem patriotyzmu każe mieć się w dalszym ciągu na baczności. Egzemplarz czasopisma obowiązkowo trzeba było przecież złożyć w starostwie i sądzie grodzkim. Pychcą tam teraz kościańskie Niemiaszki. Pozajmowali stanowiska wysokich, średnich i małych urzędników, wiedzą o wszystkim, znają wszystkich. Owi codziennie spotykani w pociągu do Leszna - Leszczyński i Fuks też chyba urzędują w Kościanie. A jak nie w Kościanie, to gdzie indziej też mogli spotkać „Przyjaciela Organisty”, który w kilku setkach rozszedł się po całej Polsce. Fuks pochodzący z Kościana również może przeczytać „Przyjaciela Organisty” i cieszyć się mocno, że z taką gratką wróci w rodzinne strony i spowoduje w Wyskoci aresztowanie niejakiego Jana Mieczysława Samelczaka za to, że we wydawanym przez siebie czasopiśmie odważył się pisać źle o narodzie panujących.

Na stryszku nad pokoikiem poddasza organistówki szykuję sobie po wyjściu z kościoła naszą kwaterę. Na belkach ostatniego kozłowania przygotowuję tekturę i dyktę tak, że między tym przepierzeniem a murem szczytu powstaje komórka, której istnienia mógłby nie spostrzec zaglądnący na stryszek niepożądany człowiek. Planuję szczegóły mego życia na najbliższy czas. Przede wszystkim nie mogę mieć żadnych większych wymagań względem siebie. Wyżywienie ograniczyć do minimum. Stare jupy i stare trepy. Z mej osobowości też niejedno trzeba wyrzucić, niejedno nowe, choć przykre, wprowadzić. Przepoczwarzyć się w istotę prawie nieistniejącą, a uzbriwszy się w największą cierpliwość, czekać.

Leżę więc w naszej skrytce i

licząc godziny, które, och, jak wolno wybija zegar kościelny, czekam wieczora. Z dołu organistówki dochodzą przytłumione odgłosy – oni żyją i wykonują codzienne prace. Tak samo niedaleka ulica swymi dźwiękami daje znać, że żyje normalnym trybem. Po zapadnięciu zmroku schodzę na dół i na podwórzu przede wszystkim rozprostowuję się i nabieram dużo świeżego powietrza w płuca. Po kolacji siedzimy całą rodziną w kuchni z oknem wychodzącym na ogród, przysłoniętym gęstym krzewem wina. Dużo rozmawiamy. Siłą narzuca się tu Mickiewiczowskie: wieczorne rodaków rozmowy. Dwa białe szpice, Bachuta i Filipinka, biorą też w nich udział, ze swoich krzesłek rozmawiając z nami oczyma, gestykulując uszami. Filipinka zdechła pod koniec wojny ze starości, Bachuta zaś zginął w 1942 roku, prawdopodobnie zastrzelony, kiedy usiłował wrócić do Wyskoci z Lubosza, dokąd ojciec oddał go na utrzymanie w najtrudniejszym dla nas czasie. Pociętny obraz był, kiedy zaglądną do rozłożonej na stole mapy, aby zorientować się w sytuacji, mieliśmy obok suwanych naszych palcy również wodzący po mapie mokry nochal Bachuty, który uśmiechniętymi oczami powiadał, że też się kapnął, o co chodziło na mapie.

Józef na nowo pracujący w Lubiniu jako organista, ojciec i Zosia często będący w rowerowych rozjazdach po okolicy, przywozili dużo frapujących nas wiadomości z bliska i daleka. Zjawiali się również w okresie ciepła w kuchni a podczas zimy w sypialce nasi liczni znajomi z Wyskoci i okolicy. Nabrałem już wprawy, że na dźwięk dzwonka od drzwi frontowych znikam szybko z rodzinnego towarzystwa aż do chwili, kiedy wyjaśniało się, że przybyłem jest nasz bliski znajomy. Niejeden człowiek może by tego nie zniósł, ja zaś nagiąwszy się do potrzeby, wytrzymałem to przez całą okupację...

Dnia 2 października 1939 [egzekucja na kościańskim rynku odbyła się 23 października – dop. red.] przerażająca, a niestety najprawdziwsza

wiadomość zamroziła nasze serca. Ojciec z Zosią powrócili z Kościana, gdzie sami widzieli przygotowania do publicznego rozstrzelania ludzi na rynku. Gdy byli już za miastem, zelektryzowała ich salwa karabinowa. Morderstwo dokonane publicznie na oczach spędzonych na czas egzekucji mieszkańców miasta, woła o pomstę. Nie będzie litości dla morderców. Kim oni są, czyje rozkazy wykonywali, jaki program realizowali? Łatwo na ostatnie pytanie odpowiedzieć – mordowano Polaków za to tylko, że byli Polakami. Starsi dobrze znają okrucieństwa Niemców dokonywane na cywilnych mieszkańcach w podbitych krajach podczas pierwszej wojny światowej. Nam młodszym potwierdzają się teraz tylko słowa ojców o bestialstwie żołdaków niemieckich.

Choć życie domaga się sobie należnych praw, przez długie dni morderstwo nie schodzi nam z pamięci. Chodzimy jak ogłuszeni. Ojciec przyobiecał mi udzielić okruchów woskowych z kościoła. Mają mi one dopomóc w ratowaniu cząsteczki polskiej kultury. Przez przeciąg kilkunastu dni pakuję książki w nawoskowany papier, a paczki z książkami ładuję do skrzynek. Praca mozolna, w niemałym zdenerwowaniu wykonywana. A nuż wlezie na to jakiś chłystek niemiecki. Uzbierała się tego cała fura. Dokonuję teraz rozdziału pod względem treści i formy. Historia Polski przede wszystkim musi zniknąć z pomieszczeń. Co do walerów zewnętrznych, oprawne książki ojciec przyobiecał codziennie, idąc dzwonić na Anioł Pański, brać po paczce i chować po zakamarkach kościelnych. Broszurowane tomy złożone do skrzyni postanawiam zakopać do ziemi w szopach i stodole. Najmozolniejsza robota wykonana – książki formalnie zalane są woskiem. Pozostaje teraz tylko skrzynki zasmołować. Nie ma smoły na organistówce, nie mają jej też znajomi. Ojciec odradza natrętnego starania się o smołę, aby nie zwrócić uwagi. Z ciężkim doprawdy sercem spuszczam nagie skrzynie do dołów. Nastrój iście pogrzebowy.

Czy wytrzymają? Nie wszystkie przetrzymały. Niejedne książki po wyjęciu w 1945 roku stanowiły jedną zetlałą masę.

Robi się znów gorąco. Teraz już w pojedynkę idę do lasu. Jest mi trochę źlej, że choć książki są zabezpieczone. Obawa o ludzi bezustannie jednak tłoczy serce. Człowiek po niekończących się torturach myślowych z rezygnacją stawia – niech ostatecznie rozstrzyga przeznaczenie. Za dnia siedzę w lesie, wyszukując gęste zagajniki. Kawalek chleba musi wystarczyć na kilkanaście godzin. Ale od głodu fizycznego przykrzejszym jest dla mnie głód duchowy. Brakuje mi przede wszystkim książek i pióra, brakuje też klawiatury. Grają mi za to szumiące nade mną sosny, do czytania wystarczy musi strzęp znalezionej w lesie gazety. Na noc idę do brata Mariana na leśniczówkę. Jest na wskroś realistą, nie ma Józefowego entuzjazmu. Marysiowi potrzebne są konkretne dowody, aby mógł powiedzieć, że będzie dobrze. Masa naszych żołnierzy po powrocie z frontu powiedziała przecież o naszej klęsce militarnej. Marian stawia rzecz realnie – mówcie o niepowodzeniach, mówcie przede wszystkim o klęskach niemieckich, a wtedy będzie dobrze.

Staram się nie być mu ciężarem. Pragnąłbym rozwiązać się w nicłość, aby moją obecnością swym bliskim nie robić kłopotu, a tym więcej nie szkodzić im. U Marysia gospodarzy córka murarza z Turwi, która na noc odchodzi do domu swych rodziców. Od wieczora więc aż do rana jesteśmy z bratem sami. Przychodzi jednak chwila, że ze względu na jedzenie, dziewczyna musi o mnie wiedzieć. Nastają też jesienne deszcze i zima. Melinuję się w pokoiku na strychu leśniczówki, prawdziwej dziupli o maleńkim okienku, tchnącej mysim odorem. Strop pokoiku ma profil trapezu. Matka będąc raz u nas powiedziała, że przypomina on mocno wieko trumny. Ukłuło mnie to w serce.

Ze skrzynek używanych w szkółkach leśnych zestawilem sobie stolik i siedzenie tuż pod okienkiem zasłoniętym gazą. W lesie nie paliłem papierosów, tu zaciągam się bez końca, aż Maryś kręci na to głową. Szukam rady na uspokojenie

się. Odczuwam narastający rozstrój nerwowy, uderzają na mnie to fale gorąca to potu. Atakują mnie na domiar złego myśli o gruźlicy. Mimo wszystko obachutany jupiskami siadam do mego „biurka” i piszę. Piszę ołówkami kopiastymi, których mam ze dwadzieścia zastruganych. Jednego zimowego dnia Maryś weźmie pudełko ze strużynami i pyłem kopiowym na mokrym śniegu wymaluje al fresco jakiś landszaft. Piszę zaś na odwrocie asygnat leśnych, które tysiącami zawalają poddasze leśniczówki.

Siedzę całymi dniami i piszę. Piszę dziennik z wielką drobiazgowością ujmujący zasłyszane wojenne wiadomości. Piszę nowele i szkice literackie. Później zacznę pisać sążniste listy, które pod swoim imieniem rozsyłać będzie Józef do wielu krewnych i znajomych na pocieszenie polskich serc, jak to z Józefem sformułowaliśmy założenie tej okupacyjnej korespondencji. Potrafimy z Józefem wybiegać myślami naprzód i na złość obskurnej rzeczywistości, naszą polską przeszłość wiązać z naszą polską przyszłością. Zaczęłam gromadzić materiał po wojnie mających się ukazać numerów naszych czasopism. Później zacznę nawet sporządzać rękopis „Pieśniarza rodzinnego” będącego zbiorem pieśni polskich, który po fachowym przejrzaniu przez Józefa strony muzycznej, stanie się jedną z pierwszych powojennych pozycji naszego wydawnictwa...

Zdarzył się wypadek, który wlał mi do serca trochę nadziei – może złudnie – odnośnie patriotycznego numeru „Przyjaciela Organisty”. Będąc w lesie natrafiłem jednego gospodarza turewskiego, który rozgadał się ze mną. Z jego pytań wywnioskowałem, że sprawa żałoby naszej rodziny – stłumiona wybuchem wojny – teraz odżyła i jest przedmiotem zainteresowań niejednych okolicznych ludzi. Człowiek ten chciał wiedzieć, który to właściwie z nas braci zmarł. Stało się to podstawą mojego przypuszczenia, że i może Niemcom kościańskim po znalezieniu „Przyjaciela Organisty” mylnie wyjaśniono, że zmarły z braci Samelczaków był właśnie redaktorem tej gazetki.

Nie chcąc ustawicznie być Marianowi ciężarem, przeniosłem się znów

do wyskokkiej organistówki. Zastałem tu rodziców debatujących nad ewentualnością mego zalegalizowania się w okupowanym społeczeństwie. Ojciec nawet zaangażowany w tym czasie przez szwabów do pomocy w sołectwie potrafił wydłubać dla mnie „odcisk palca”, w którym figuruję jako „Waldgehilfe”. Rodzice w mym tajeniu widzą dla mnie niebezpieczeństwo, które ustanie wtedy, kiedy zgłoszę się do pracy, i to do pracy swojej, nauczycielskiej. Rozeszło się w okolicy, że polscy nauczyciele rozpoczną w szkołach naukę z polskimi dziećmi. Nie do wiary, aby zbrodniarze mordujący polskich ojców, otwierali dla ich polskich dzieci, polskie szkoły. To tylko podstęp, aby złapać jeden odłam polskiej inteligencji reprezentowany przez polskie nauczycielstwo. Powiedziałem rodzicom, że sprawę rozważę.

Aliści nie upłynęło kilka dni a plan rodzicielski zawalił się. Ojciec osobiście odniósł mi, że policja czy wojsko szpera w aktach parafialnych i szkolnych, wypytuje się o organizacje społeczne, zwłaszcza o „Sokoła” oraz o bibliotekę TCL. Rodzice sami ekspedują kłopotliwego synalka na leśniczówkę. Przed odejściem lokuję chybcikiem, gdzie się da, pozostałe na wierzchu papierzyska. W stodole, szopach i ulach. Na strychu organistówki odrywam deski, wynoszę glinę i robię schowek do części zbiorów. Ojciec pikietuje ulicę a ja śmiało rąbnęciami młotka przybijam dechy i tym likwiduję nareszcie ten kłopotliwy balast. Spocony od wysiłku i zdenerwowania, z pasją rozrzucam i wcieram w szpary między deskami paprochy starego kurzu. Planuje nawet rozebranie jednego kaflowego pieca, aby po wyjęciu jego glinianych wnętrzości, przestrzeń między kaflami na nowo ustawionymi załadować książkami. Chyba schronienie dla książek dobre, ale rodzice już nie pozwalają na to, boją się najścia szwabów i ostatecznie spławiają synalka do lasu. Wróciwszy na turewską leśniczówkę, na nowo zabieram się ostro do roboty. Na przekór wszystkiemu co było w naszej kulturze narodowej, piszę opowieść o życiu polskiej wsi, w której posłannictwo społeczne i kulturalne pełni organista. (Koniec)

JAN SAMELCZAK

Theodor Müller



Wspomnienie lat dziecięcych spędzonych w Poznaniu (1)

Babcia z Eriką i Theodorem w 1935 r.

Fot. ze zbiorów tłumacza

Które z miejsc przyjmujemy uważać za „małą ojczyznę”? Czyżby miało nią być miejsce urodzenia? Albo miejsce, które odcisnęło swoje piętno na latach młodości? Czy wreszcie miejsce, w którym wykonywaliśmy zawód, żyliśmy z rodziną, spędziliśmy w nim większą część życia i pragniemy tutaj umrzeć?

Na takie pytania nie znajdziemy odpowiedzi, gdyż postawiono je niewłaściwie. Jeśli spojrzeć na życie jak na podróż przez wiele stacji, jak na wędrówkę przez zmieniające się krajobrazy albo, wyrażając się nowocześnie, jak na otwieranie komputerowych danych z określonymi programami, wtedy wizerunek „małej ojczyzny” okaże się o wiele bardziej prozaiczny. Każda stacja kończy w życiu pewien rozdział, do którego wracamy w przeróżnych wspomnieniach, najczęściej bardzo miłych. Takie też przywołuje moja siostra i ja, oboje urodzeni i wzrastający w ciepłej, rodzinnej atmosferze w Poznaniu.

Nasi rodzice pobrali się w 1926 roku i zamieszkali zaraz po ślubie w tym mieście. Ojciec pracował wcześniej w firmie „Schicht” w Warszawie,

ale pragnął się usamodzielnąć. Dlatego w tym samym roku otworzył hurtownię z wyrobami firmy „Schicht” należącej do koncernu „Unilever”, oraz z innymi kosmetykami. Zarówno nasz ojciec, jak i matka pochodzili z Galicji, dokąd ich przodkowie przywędrowali około roku 1780, za czasów panowania austriackiego cesarza Józefa II, syna Marii Teresy. Ojciec urodził się w Brigidau, największej niemieckiej wsi we Wschodniej Galicji.

Przodkowie wszystkich osadników w tej wsi przywędrowali z Palatynatu, gdzie duża gęstość zaludnienia, brak życiowych perspektyw oraz ucisk ze strony właścicieli latyfundiów zmusiły tamtejszych mieszkańców do emigracji, w większości do Ameryki i w mniejszej części do Galicji. Palatynat stracił w efekcie jedną trzecią swojej populacji. Wszelako zamierzający emigrować musieli się wpięć wykupić, dzięki czemu tamtejsi możnowładcy zrobili niezły interes. Życie kolonistów w Galicji z początku wcale nie było łatwe, ponieważ po części nie było gdzie zamieszkać, pola trzeba było najpierw oczyścić z chaszczy i kamieni, tak że w pierwszych latach

nie dało się ich uprawiać. Zwolna stawiano domy, obory, stajnie i stodoły. Dopiero kilka lat później zbudowano kościół, szkołę i dom parafialny, aby zatrudnić pastora i nauczyciela. W roku 1891, w którym urodził się nasz ojciec, trudności zostały już przezwyciężone, lecz mimo to życie nie było wolne od wyrzeczeń. Dziadkowi wiodło się stosunkowo nieźle będąc młodym wędrownym budowniczym młynów, który przez ożenek przejął gospodarstwo, dokupując do niego jeszcze młyn. Dzięki temu mógł on naszego ojca, a swojego najstarszego syna posłać najpierw do Gimnazjum Zöcklera w Stanisławowie, a następnie do Cesarsko-Królewskiego Gimnazjum Humanistycznego z polskim językiem wykładowym w Stryju, gdzie zdał maturę, by potem studiować prawo w Wiedniu. Jednak studia przerwała mu wojna, w której jako oficer został ranny w jednej z bitew nad rzeką Isonzo. I w czasie pobytu w wiedeńskim lazarecie mógłby kontynuować studia, lecz pomimo niesprawnej prawej ręki znów powołano go do wojska. Po wojnie ukończył studia, będąc jednocześnie słuchaczem

Akademii Handlowej w Wiedniu. Praktyczną naukę zawodu odbył w firmie „Schicht” („Unilever”) w miejscowości Aussig (Ústí nad Labem), po czym został pracownikiem centrali w Warszawie. W 1925 roku rozpoczął samodzielną działalność w Poznaniu, gdzie spopularyzował wyroby „Schichta”, skutecznie konkurując przede wszystkim z niemieckimi produktami firmy „Henkel”. Po kilku latach Poznań stanowił największy rynek zbytu dla firmy „Schicht”.

W 1926 roku ożenił się z naszą matką, która urodziła się w Stryju w rodzinie pastorów. Jej ojciec urodził się w Galicji Zachodniej w pobliżu Nowego Sącza, zaś jego przodkowie wyemigrowali z Hesji. Babka pochodziła z miejscowości Gelsendorf (ukraińskie Zagirne), położonej w Galicji Wschodniej. Zarówno jej ojciec, jak dziadek i pradziadek byli pastorami w Galicji, a także w Bielsku-Białej.

Prababka wywodziła swoje drzewo genealogiczne od hugenotów. Z domu nazywała się Gloxin. Dziadek był w latach 1899-1924 pastorem w Stryju, zaś obszar jego działalności sięgał aż po Karpaty, był zatem ogromny, jak to zwykle bywa w parafiach w diasporze. W warunkach zimowych udzielanie chrztów względnie obecność przy pochówkach były wręcz niemożliwe, dlatego w tych posługach często wyręczał go ksiądz grekokatolicki. Działo się również odwrotnie, gdyż istniało co do tego porozumienie między tymi dwoma Kościołami, zaś z księdzem katolickim łączyła go serdeczna przyjaźń. Raz w roku dziadek-pastor uczestniczył w nabożeństwie katolickim, i to rezurekcyjnym, które odprawiano w Wielką Sobotę popołudniu, nie miał bowiem wtedy zajęcia, gdyż ewangelicy świętowali Zmartwychwstanie dopiero w niedzielę. Po nabożeństwie u babki zasiadano do wielkanocnego śniadania, jest to zwyczaj nadal przez nas kontynuowany.



Theodor w pobliżu poznańskiego Zamku w 1937 r.

Fot. ze zbiorów tłumacza

Nasza matka uczęszczała również do Gimnazjum Humanistycznego w Stryju, natomiast po maturze doksztalała się jeszcze w szkole handlowej we Lwowie. Pracę znalazła w angielskiej firmie wydobywającej ropę naftową w Borysławiu; przerwała ją z chwilą zamążpójścia.

Małżeństwo moich rodziców wydało na świat nas dwoje, to jest moją siostrę Erikę, urodzoną w 1932 roku, i mnie, Theodora, urodzonego dwa lata później. Nasi rodzice wraz z babką, która zajęła się głównie naszym wychowaniem i której bardzo wiele zawdzięczamy, zamieszkali najpierw przy ulicy Pocztowej (obecnie 23 Lutego), lecz w 1933 roku przeprowadzili się do eleganckiej willi o nazwie „Villa Jeanette” przy ulicy Botanicznej 10, wzniesionej co dopiero przez weterynarza, doktora Jankowskiego, który wynajął w niej rodzicom mieszkanie na parterze, jako że pochodząc ze Lwowa uważał ich za krajan. W willi przy ulicy Botanicznej spędziliśmy wspaniałe dzieciństwo.

Zarówno bona, jak i panna służąca bezustannie się nami zajmowały. Jeszcze dziś przypominamy sobie piękne spacerki, przede wszystkim do położonego naprzeciw Ogrodu Botanicznego z ocienionymi listowiem gankami, wysokimi drzewami i wspaniałym kwiatostanem, oznakowanym małymi tabliczkami. Najbardziej urzekął mnie widok potężnej wierzy płaczącej, która opadającymi gałązkami odbijała się w lustrze wody parkowego stawku. Nasz ojciec wydzierżawił dwa sąsiadujące ze sobą ogrody, położone blisko Botanika. Osiemdziesiąt drzew owocowych, sto dwadzieścia krzewów jagodowych oraz kolorowe rabatki z kwiatami czyniły z tego miejsca prawdziwy raj. Latem spędzaliśmy w nim najpiękniejsze dni, wracając w letnie wieczory późno do domu. Pod sklepieniem altany naszego sąsiada zamieszkiwał

nietoperz, który fascynował mnie tak bardzo, że często wracałem by się mu przyglądać. Ledwie nauczyłem się chodzić, straciłem kiedyś równowagę i skaleczyłem się w podbródek zahaczając o kolczasty drut dzielący obie parcele. Rodzice przypuszczając, że doznałem ataku epilepsji, udali się ze mną do lekarza. Oczywiście, że sam nie potrafiłem niczego wyjaśnić, lecz przyjazny sąsiad, który zdarzenie widział, wyręczając mnie opowiedział moim zatroskanym rodzicom o tym, co się stało. Blizna była widoczna także gdy byłem dorosły, przywołując piękne wspomnienie.

Ponieważ bardzo wcześnie mieliśmy się uczyć mówić po polsku, uczęszczaliśmy do polskiego przedszkola przy ulicy Dąbrowskiego, które prowadziła dawniejsza aktorka, pani Modzelewska. Chętnie wspominamy tamten okres, kiedy uczyliśmy się po polsku śpiewać i mówić wierszyki, chodziliśmy także na bliskie wycieczki. Pewnego razu byliśmy także w katolickim kościele

na Jeźycach, który wywarł na nas głębokie wrażenie. Okazało się, że także inne niemieckie rodziny postanowiły posyłać dzieci do tego przedszkola, dzięki czemu poznaliśmy córeczkę laryngologa doktora Weise, internistę doktora Kirschta oraz córkę rektora szkoły niemieckiej, pana Nitschego.

Równie dobrze pamiętamy miłego i bardzo troskliwego doktora Cohna, który jako nasz lekarz domowy cieszył się zaufaniem całej rodziny. Nasi rodzice przyjaźnili się nie tylko z nim, lecz także z jego rodziną. W 1939 roku uciekł on do Rumunii zanim Niemcy wkroczyli do Poznania i ślad po nim zaginął.

W naszej pamięci pozostał także doktor Weise, który kilkakrotnie leczył moje zapalenie migdałów i środkowego ucha jeszcze w czasie wojny. Kiedy wojna wybuchła, podobnie jak wielu Niemców został przez Polaków internowany. Właśnie w tym momencie zachorowałem na szkarlatynę, w następstwie czego nastąpiło także zapalenie ucha środkowego. Ponieważ w Poznaniu brakowało wtedy lekarzy, którzy dokonaliby zabiegu, moja zmartwiona matka zwróciła się o pomoc do lekarki szpitala wojskowego, która mimo przeciążenia pracą zgodziła się przebić błonę bębenną w moich uszach i wydstać ropę. Lekarkę tą wspominam z ogromną wdzięcznością.

Podczas wojny, do czasu powołania do Wehrmachtu, leczył nas pochodzący z Bielska Białej, a mieszkający w Poznaniu już przed wojną doktor Pissarek, który miał żonę z Innsbrucku, natomiast potem naszym zdrowiem zajmował się doktor Kirscht, którego z pewnością pamięta do dziś wielu poznaniaków, ponieważ również w czasie okupacji nie robił żadnych różnic pomiędzy Polakami a Niemcami, podobnie jak inny lekarz, doktor Kunicki, Ukrainiec mający za żonę polską hrabinę i pomagający wielu Polakom. W 1945 roku pozostał on w Poznaniu, kontynuując praktykę lekarską. Natomiast przed dentystką, panią Szczepczykowską, wzbraniał się ile tylko można. Pani dentystka była atrakcyjną kobietą z pięknymi lokami, miłą i po matczy-nemu czułą, była Niemką, zaś jej mąż był Polakiem. Córkę miała podobną do siebie, także piękną. Lecz gabinet

pani Szczepczykowskiej budził w nas grozę. Wiertło napędzane nogą, ogromne koła poruszane paskiem transmisyjnym, który puszczał je w ruch, istna katownia. Jedynie miłe słowa dentystki i wesoła rozmowa sprawiały nam pewną ulgę.

Często chodziliśmy do ogrodu zoologicznego, który nas jako dzieci zachwycał i który z niechęcią opuszczaliśmy. Pewnej zimy, kiedy przeskaliśmy się w ganku murowanego pawilonu dla dzikich zwierząt, jakiś tygrysek trysnął cuchnącą wydzieliną na jaskrawo zielony płaszczyk siostry i wytrawił na nim jasne plamy, które nie zniknęły także w czyszczeniu. Siostrze to nie przeszkadzało, bo tego płaszczyka nie znosiła i teraz mogła się go pozbyć.

Przewijało się przez nasze mieszkanie sporo gości, często byli to handlowcy z warszawskiej firmy, szczególnie podczas targów dom był pełen. Bywali u nas również zaprzyjaźnieni Polacy i Niemcy, także krewni z Galicji oraz z Wielkopolski. My, dzieci, cieszyliśmy się z odwiedzin pastora z Rogoźna z żoną i dziećmi. Bywało, że odwiedzaliśmy ich z rewizytą w tamtejszej pastorówce. Nasz ojciec, który chyba nie lubił niedzielnych wyjazdów, wymawiał się tym, że szoferowi w niedzielę należy się wypoczynek. Któregoś dnia matka zagadnęła o to szofera, który odparł, że chętnie jeździ, bo w ten sposób poznaje okolicę.

Do częstych, niemal codziennych, należały wizyty polskiego oficera, który był kolegą szkolnym ojca z Galicji. Wykorzystywał wtedy swój wolny czas. Był to przystojny mężczyzna w szykownym mundurze, zawsze wesoły i skory do żartów. Podarował nam kiedyś kogucika do zawieszenia na choince, który później rok w rok nam o nim przypominał. Jego brat był osobistym adiutantem marszałka Piłsudskiego. Dalsze losy szkolnego kolegi naszego ojca są nam nieznane.

Zanim pierwszego września wybuchła wojna, dobre polsko-niemieckie stosunki uległy pogorszeniu. Pomimo, że w miejscach publicznych zabraniano nam, dzieciom, mówić po niemiecku, zapytałem o coś babcię w tramwaju w ojczystym języku. Wtedy jakaś starsza kobieta ofuknęła mnie, że w Polsce należy mówić tylko po

polsku. Ojciec doświadczył czegoś podobnego w kawiarni, w której spotykał się niemal codziennie z polskimi przyjaciółmi, najczęściej byli to handlowcy, z których jeden rozmawiał po niemiecku. Od sąsiedniego stolika padła szorstka uwaga, że w Polsce mówi się po polsku, na co przyjaciel ojca odparł, że żyjemy w wolnym kraju i każdy może rozmawiać w dowolnym języku, i kontynuował po niemiecku. Do tego rozdzwisku w znacznej mierze przyczyniła się nacjonalistyczna propaganda z Niemiec oraz nieodpowiedzialne akcje tak zwanych Jungdeutsche, którzy dokonywali na terenie Polski aktów sabotażu.

Zaraz pierwszego dnia wojny samoloty niemieckie bombardowały Poznań. Bomby padły w bliskiej odległości od ulicy Botanicznej. Miały one trafić w lotnisko oraz w linię kolejową Poznań – Piła, która przebiegała około trzysta metrów od naszego domu. W każdym razie nietrafne bomby spadły do Ogrodu Botanicznego, gdzie leje po nich można było zobaczyć jeszcze w czasie wojny. Następnego dnia na naszym podwórzu rozlokowali się polscy żołnierze. Znużeni przycupnęli na ziemi, zaś ich powątpiewające twarze widzę jeszcze dzisiaj. Babcia zaniósła im jedzenie, ja zaś jednemu z nich dałem czekoladę, którą dostałem kilka dni wcześniej od jednego z gości. Bardzo mnie wzruszył jego uśmiech, który na chwilę pojawił się na jego zatroskanej twarzy. Podobne współczucie ogarnęło mnie w maju 1945 roku, kiedy to ostatni niemieccy żołnierze opuszczali w Bawarii wioskę, w której jako uciekinierzy znaleźliśmy tymczasowe zakwaterowanie.

Około czternastu dni trwała w Poznaniu anarchia. Z opuszczonych więzień wydostali się skazani. Kilku z nich rozłożyło się na pobliskiej łące. Babcia zaopatrywała ich w żywność, gdyż uznała, że nie można im stwarzać powodu do rabunku. Czas był bardzo niepewny, tak że prawie nie wazono się wychodzić z domu. Słyszało się o aresztowaniu Niemców i deportacji. Dzięki polskiemu policjantowi, który był naszym dobrym znajomym, ojciec uniknął aresztowania, gdyż ten skreślił ojca z listy.(cdn)

Z języka niemieckiego przełożył
EUGENIUSZ WACHOWIAK

Przemęccy Kawalerowie Orderu VM

(Nowa książka Antoniego Fornalskiego)



Autor książki (z prawej) w rozmowie z profesorem Zbigniewem Wielgoszem.

Fot. Jerzy Zielonka

Inspiracją do napisania niniejszej publikacji są dwie ważne rocznice przypadające w tym samym dniu - 6 stycznia 2014 r. Są nimi: 95. rocznica wybuchu Powstania Wielkopolskiego 1918-1919 na Ziemi Przemęckiej oraz 10. rocznica nadania imienia Powstańców Wielkopolskich naszym szkołom - Gimnazjum i Szkole Podstawowej w Przemęcie. W opracowaniu zamieściłem biogramy siedmiu Kawalerów Orderu Virtuti Militari mających swoje korzenie na Ziemi Przemęckiej - Stanisława Siuda, Józefa Wróblewskiego, Józefa Józefowskiego, Jana Kaczora, Józefa Tomysa, Ludwika Tylińskiego i Bronisława Wyrwy, które

wcześniej były prezentowane w cyklu artykułów w „Kurierze Przemęckim.” Zostały one uzupełnione o nowe informacje archiwalne i reprodukcje oraz fotokopie zdjęć i dokumentów. Przedstawiłem również szerzej historię Orderu Virtuti Militari - najwyższego i najstarszego polskiego odznaczenia wojskowego. - napisał we wstępie do nowej książki Antoni Fornalski. Publikacja nosi tytuł „Kawalerowie Orderu Virtuti Militari z Ziemi Przemęckiej” i wydana została w ub. roku nakładem Gminnego Ośrodka Kultury w Przemęcie. Prezentujemy dwa biogramy wyjęte ze wspomnianej książki.

Siuda Stanisław (1890 – 1945)

Urodził się 4 kwietnia 1890 r. w Błotnicy (daw. pow. babimojski) w rodzinie dzierżawcy ziemskiego Józefa i Elżbiety z Piotrowskich. Miał trzech braci: Czesława (zginął pod Verdun), Józefa (proboszcza sąsiedniej parafii w Prochach) i Jana oraz dwie siostry: Apolonię (sanitariuszkę kompanii przemęckiej) i Helenę. Po ukończeniu 4-klasowej szkoły powszechnej w swojej miejscowości kontynuował edukację w gimnazjum w Śremie. W 1907 r. został czasowo wydalony ze szkoły za udziału jego rodzeństwa w strajku szkolnym w Błotnicy i Przemęcie.

Był członkiem Towarzystwa Tomasza Zana oraz Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”. Po zdaniu matury wrócił do rodziny i znalazł zatrudnienie w nowo powstałej błotnickiej mleczarni.

1 października 1913 r. został powołany do służby w wojsku niemieckim, którą odbywał w 50. Pułku Piechoty w Lesznie. W pierwszych dniach sierpnia 1914 r. wyruszył ze swym pułkiem na wojnę na front zachodni. W 1915 r. otrzymał stopień podporucznika. Na froncie zachodnim walczył m.in. pod Verdun, a od 1917 r. na froncie wschodnim pod Kownem i Wilnem. Został odznaczony niemieckim Krzyżem Żelaznym I i II klasy. Był dwukrotnie ranny.

18 listopada 1918 r. po zwolnieniu ze szpitala wrócił do rodziny w Błotnicy. Będąc członkiem Polskiej Organizacji Wojskowej, nawiązał kontakt ze swymi przełożonymi w Poznaniu i za ich zgodą utworzył oddział powstańczy w swojej miejscowości, a potem 22 grudnia utworzył kolejny oddział w pobliskich Rakoniewicach.

1 stycznia 1919 r. wyruszył ze swoim oddziałem powstańczym z Błotnicy do wyzwolonego już Grodziska Wlkp. na spotkanie z dowódcą V Okręgu Wojskowego – podporucznikiem Kazimierzem Zenkterem. Po uzgodnieniu dalszych działań zbrojnych 3 stycznia wyzwolił Rakoniewice, a następnego dnia Rostarzewo i potem wyruszył w kierunku Wolsztyna, który 5 stycznia 1919 r. już został wyzwolony przez powstańców. 7 stycznia mianowany komendantem miasta Wolsztyna. Ponadto jako dowódca odcinka wolsztyńskiego, kierował akcjami zbrojnymi podczas zdobycia Kopanicy i Chobień (11 stycznia), a od 25 stycznia uczestniczył w zdobyciu Kargowej i Babimostu. 27 stycznia został mianowany dowódcą 4 baonu Grupy Zachodniej. Od 6 marca 1919 r. dowodził 3 baonem 2 Pułku Strzelców Wielkopolskich (późn. 56 Pułk Piechoty Wielkopolskiej). 5 maja mianowano go kapitanem. Ze swoim 3 baonem uczestniczył w wojnie polsko-bolszewickiej, m. in. w bojach pod Połockiem,

Bobrujskiem, Szałaciłkam i nad Berezyną. Odznaczył się szczególnie 17 marca 1920 r. zdobywając ze swoim oddziałem zdobywając Jakimowską Słobodę.

Po tej zwycięskiej bitwie dowódca 14 Wielkopolskiej Dywizji Piechoty gen. Daniel Tokarzewski w swoim dziennym rozkazie udzielił kapitanowi St. Siudzie pochwały za: świetnie obmyśloną i przeprowadzoną akcją i za osobiste męstwo przy prowadzeniu oddziału do ataku. W czasie odwrotu naszych wojsk przed nacierającymi bolszewikami brał udział w bitwie warszawskiej zwanej „Cudem nad Wisłą” w sierpniu 1920r. Po tej victorii, dowódca 56 Pułku Piechoty Wlkp. mjr Zygmunt Łęgowski we wniosku do Kapituły Tymczasowej w dniu 26.10.1920 r. o odznaczenie kpt. Siudy Orderem Virtuti Militari napisał : „Kapitan Siuda przy każdej sposobności, kiedy prowadził swój batalion do walki, odznaczał się rozwagą, prędkim orientowaniem się w najkrytyczniejszych sytuacjach oraz osobistą odwagą, którą porywał swe otoczenia naprzód na nieprzyjaciela. Kiedy przed Buble w okolicy Janowa I i III baon 56 p.p. Wlkp. wzmagał się z liczebnie kilkakrotnie silniejszym przeciwnikiem, osobiste rzucenie się kapitana Siudy z bojowym jego sztabem na przeciwnika, spowodowało porwanie się linii tyralierskiej całego baonu, a w rezultacie wyrzucenie przeciwnika za Bug po uprzednim zabraniu mu 5 ckm i do stu jeńców (...) Kiedy 56 p.p. Wlkp. znajdował się w Hajnówce, III baon został przez Puszcę Białowieską wysłany w stronę Prużan dla nawiązania łączności z 14 Dywizją p. Wlkp. Napotkawszy ze swym baonem na przeważające siły bolszewickie pod Białym Laskiem, kapt. Siuda rozbił je doszczętnie (...) i bez większych strat osiągnął połączenie z pułkiem (...) Kapitan Siuda znowu okazał się tą odwagą, która go zawsze pcha na przód w pierwszym szeregu swego batalionu (...)”

7 listopada 1920 r. w Nieświeżu wraz z 43 żołnierzami z dywizji został odznaczony Krzyżem

Srebrnym Orderu Virtuti Militari V klasy (nr 2536). Po zakończeniu działań wojennych przybył ze swoimi baonem do Śremu w grudniu tegoż roku, a 6 miesięcy później został przeniesiony do Krotoszyna.

W okresie międzywojennym był awansowany na kolejne stopnie wojskowe do pułkownika włącznie. Pełnił wiele ważnych funkcji w Wojsku Polskim, m. in. dowódcy 3 baonu, dowódcy baonu sztabowego, kwatremistrza, oficera PW-56 Pułku Piechoty, zastępcy dowódcy 8 Pułku Piechoty Legionów w Lublinie i dowódcy 17 Pułku Piechoty w Rzeszowie. W dniu 3 maja 1922 r. został mianowany majorem, 1 stycznia 1928 r. podpułkownikiem i w 1930 r pułkownikiem.

11 listopada 1939 r. w dniu Wojska Polskiego miał otrzymać awans na stopień generała. Jednakże w końcu lipca tegoż roku został dowódcą Brygady Narodowej „Poznań”, która stanowiła tylną straż Armii „Poznań”. W czasie zwrotu zaczepnego nad Bzurą od 9 września 1939 r. wykonywał zadania osłonowe w rejonie Krośniewice – Kutno oraz Ślesin – Koło – Dąbie., a dwa dni później zorganizował obronę północnego skrzydła Armii „Poznań”.

W dniu 19 września 1939 r. dostał się do niewoli niemieckiej i przebywał w obozie jenieckim dla polskich oficerów w Oflagu VII A w Murnau (Bawaria). Zmarł na niewydolność nerek 25 lutego 1945 r. w lazarecie we Freising. Pochowano go na miejscowym przyszpitalnym cmentarzu.

W 1985 r., w wyniku likwidacji tego cmentarza, szczątki płk. Stanisława Siudy oraz innych polskich oficerów zostały ekshumowane i przeniesione na cmentarz mogił wojennych w Neumarkt in der Oberpfalz blisko Norymbergii, zbudowany przez żołnierzy Niemiec, USA, Kanady i Holandii. Na tym międzynarodowym cmentarzu spoczywa 5 140 osób, w tym około 3000 Rosjan, 300 Jugosłowian, 215 Polaków, 8 Czechów oraz osoby niezidentyfikowane.

Stanisław Siuda był odnacza-

ny Krzyżem Walecznych (czterokrotnie), Krzyżem Niepodległości z Mieczami, Złotym Krzyżem Zasługi, Medalem „10-lecia Odzyskania Niepodległości”, Medalem „Polska Swemu Obrońcy”, Odznaką Pamiątkową 17 Pułku Piechoty. 5 stycznia 1929 r. w 10. rocznicę oswoobodzenia Wolsztyna, został honorowym obywatelem tego miasta. Obecnie w Wolsztynie na budynku Poczty Polskiej przy ul. 5 Stycznia znajduje się tablica pamiątkowa ku czci płk. Stanisława Siudy. Również w rodzinnej Błotnicy przed Figurą Serca Jezusowego na tablicy pamiątkowej ku czci ofiar II wojny światowej znajduje się Jego imię i nazwisko. Pamięć o pułkowniku Stanisławie Siudzie jest kultywowana w Zespole Szkół Gimnazjum i Szkoła Podstawowa im. Powstańców Wielkopolskich w Przemęcie.

Żonaty z Ludwiką Forecką miał troje dzieci: Jerzego (1922-2005), Barbarę (1924-2007, po mężu Niskisch) i Ludomirę (1927, po mężu Popowicz).

Wróblewski Józef (1879-1920)

Urodził się 25 października 1879 r. w Sarbinowie (powiat gostyński) w rodzinie Antoniego i Marii z domu Koralewskiej, właścicieli gospodarstwa ogrodniczego. Miał siostrę Władysławę. Ukończył seminarium nauczycielskie. Posiadał status nauczyciela elementarnego. W okresie od 1 października 1900 r. do 30 września 1901 r. odbył roczną służbę wojskową w armii niemieckiej w 155 Pułku Piechoty w Ostrowie Wlkp. Po jej ukończeniu awansowany na stopień kaprała.

W latach 1910-1914 był kierownikiem Szkoły Powszechnej w Radomierzu (daw. pow. babimojski). Po wybuchu I wojny światowej został 2 września 1914 r. zmobilizowany do armii niemieckiej z zadaniem szkolenia rekrutów przy 37 Pułku Zapasowym. W maju 1915 r. ukończył w Neuhammer (Nowa Kuźnia) 4-tygodniowy kurs dający kwalifikacje na zastępcę oficera. W październiku tego

samego roku odbył kolejny kurs 3-tygodniowego przeszkolenia wojskowego, ale już na linii frontu w Marville pod Verdun. 27 lutego 1916 r. został na własną prośbę wysłany na linię frontu do 77 Pułku Grenadierów Obrony Narodowej, który prowadził działania wojenne we Flandrii i na terenach Francji aż do rzeki Sommy. 5 kwietnia 1917 r. otrzymał awans na stopień podporucznika.

1 czerwca 1918 r. został przeniesiony do 267 Pułku 37 Dywizji w Alzacji, gdzie dowodził najpierw do 25 września kompanią kulomiotów, a potem do 27 października kompanią piechoty. Tegoż dnia po poważnym zranieniu prawej dłoni od postrzału z kulomiotu z czołgu angielskiego został wycofany z pola walki i leczony następnie przez 8 tygodni w lazarecie w Erfurcie. Odznaczony niemieckim Krzyżem Żelaznym II klasy.

1 stycznia 1919 r. po zwolnieniu z dalszego leczenia powrócił na Ziemię Przemęcką, włączając się aktywnie w nurt walki narodo-wyzwoleńczej. 6 stycznia 1919 r. został dowódcą powstańczej kompanii przemęckiej oraz kendantem odcinka powstańczego od południowego Kanału Obry za Solcem aż do Brenna, Wijewa i Włoszakowic. Siedzibą kendantury była Błotnica, w której werbowano ochotników również na odcinek „Wolsztyn” do ppor. Stanisława Siudy. 6 marca 1919 r. w wyniku przekształcenia oddziałów powstańczych wchodzących w skład Grupy „Leszno”, w 6 Pułk Strzelców Wielkopolskich (późniejszy 60. Pułk Piechoty Wielkopolskiej) został dowódcą 2 batalionu tegoż pułku. Po zakończeniu zwycięskiego Powstania awansowany na stopień porucznika Wojska Polskiego.

Brał udział w wojnie polsko-bolszewickiej w 1920 r. W dniu 9 maja tego roku jego 2 batalion wchodzący w skład 60 Pułku Piechoty Wlkp, zniszczył mosty kolejowe za Kijowem, aby uniemożliwić wejście do miasta wojskom bolszewickim: „(...) Porucznik Wróblewski jako dowódca II/60 energicznie i umiejętnie przepro-

wadził przejście przez most leżący w ogniu nieprzyjacielskich ckm i pancerniaków(...) wyskoczywszy osobiście przed linię z okrzykiem „niech żyje Polska” rzucił się na przewagę nieprzyjacielską odepchnął go aż 3 km w głąb lasu (...). Kilka dni później we wniosku do Kapituły Tymczasowej o odznaczenie por. J. Wróblewskiego Orderem Virtuti Militari, jego przełożeni napisali: mjr B. Śliwiński – dowódca 60 Pułku Piechoty: „Porucznik Wróblewski jest dzielnym żołnierzem, odważnym i prężnym oficerem i umiejętnym i doskonałym dowódcą. Za oddane przysługi na powstaniu wielkopolskim podałem go na V. M. IV. stopnia. Dziś proszę o odznaczenie V. M. trzecim stopniem, na które w pełni szczerze zasłużył”, płk Wł. Yung- dowódca 15 Wielkopolskiej Dywizji Piechoty dodał: „Por. Wróblewskiego i jego czyny znam osobiście i wniosek d-cy pułku popieram”.

W trakcie dalszych działań wojennych 2 batalion w dniu 14 czerwca wziął do niewoli w rejonie Berezyny bolszewicki pułk kawalerii liczący 400 żołnierzy. Potem w czasie odwrotu naszych wojsk por. J. Wróblewski zachorował na czerwonkę i zmarł 13 lipca 1920 r. w wieku 41 lat. Pochowano go we wsi Zagórze nad Niemnem. Ciało ś.p. porucznika Wróblewskiego spoczęło w ziemi, lecz duch jego pozostanie na zawsze wśród wszystkich następnych pokoleń pułku, jako wzór cnót żołnierskich, poświęcenia dla Ojczyzny powierzonego mu oddziału. Dwa dni po śmierci został awansowany przez Naczelnego Wodza Marszałka Józefa. Piłsudskiego na stopień majora.

Pośmiertnie odznaczony 18 maja 1921 r. Krzyżem Srebrnym Orderu Wojennego Virtuti Militari V klasy (nr 864) oraz 9 listopada 1932 r. Krzyżem Niepodległości. Rodziny nie założył. Pamięć o majorze Józefie Wróblewskim jest kultywowana w Zespole Szkół Gimnazjum i Szkoła Podstawowa im. Powstańców Wielkopolskich w Przemęcie.

ANTONI FORNAŁSKI

Notatki majora Marczaka (3)

Był rok 1956. Ponad trzy lata upływało od śmierci wodza światowego komunizmu Józefa Stalina, zaledwie kilka miesięcy - od wystąpienia Nikity Chruszczowa na XX Zjeździe Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego, potępiającego zbrodnie stalinizmu i od śmierci prezydenta PRL Bolesława Bieruta. Wybuchł Poznański Czerwiec. Mogło się wydawać, że oto nadchodzi czas wolności i demokracji. Wielu w to zaczynało wierzyć. Tymczasem kierownik Powiatowego Urzędu do spraw Bezpieczeństwa Publicznego w Kościanie mjr Stefan Marczak, 50-letni oficer z Kalisza rodem gorliwie wykonywał tajne rozkazy, napływające z centrali, rozbudowywał sieć agentów i podejmował nowe sprawy. Jego ściśle tajne notatki i meldunki, których fragmenty prezentuję – niechaj pozostaną bez komentarza. Zachowana pisownię oryginału.

4 lipca 1956 roku

Od miesiąca kwietnia br. otrzymaliśmy szereg sygnałów od sieci agenturalnej i od aktywu, wskazujących na aktywizację kleru i elementów klerykalnych. Oto niektóre przykłady. Ksiądz Maruszewski Julian, proboszcz parafii Wonieść pow. Kościan, były kapelan Narodowych Sił Zbrojnych, staje się częstym bywalcem w siedzibie Gromadzkiej Rady Narodowej w Wonieściu i usiłuje narzucić Radzie Gromadzkiej swoje wpływy na bieg pracy gospodarczo – politycznej. Wymownym faktem jest podszeptywanie Sekretarzowi tej GRN koncepcji zwołania zebrania zebrania, na którym wyraził życzenie swej obecności. Dotyczyło to zebranie odnośnie przyspieszenia budowy drogi z Wonieścia do Przysieki Starej. Również podczas swych pobytów w GRN opowiada szkodliwe anegdoty polityczne – tak zwane kawały. Opowiadał o naszej Państwowej Komisji Planowania Gospodarczego porównując ją z „czynnikami rozkładającym”; ponadto przytaczał anegdoty na temat wypowiedzi towarzysza Chruszczowa

na XX Zjeździe Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego.

Ksiądz Kwiatkowski Milan z parafii Czacz pow. Kościan za cenę oddania tak zwanej świetlicy parafialnej, która pozostaje w jego dyspozycji usiłował w zamian uzyskać prawo nauczania religii w szkole podstawowej. Z wyżej wymienioną propozycją zwracał się do kierownika miejscowej szkoły.

Ksiądz Serwatka Antoni, proboszcz parafii Łęki Małe, podczas kiedy miało nastąpić uruchomienie nowo wybudowanej linii sieci elektrycznej w spółdzielni produkcyjnej Łęki Małe na własną rękę zorganizował przed oficjalnym otwarciem poświęcenie nowo wybudowanego transformatora.

Również i elementy Świadków Jehowy w ostatnim okresie wzmogły swą działalność, wyrażającą się w agitacji do pozyskiwania nowych zwolenników i wyznawców. Zanotowano w dwóch wypadkach rozdawania różnego rodzaju ulotek i broszur wydania zagranicznego; stwierdzono, że na dwóch ulotkach były stemple „Jan P. Poznań 5, ul. Przemysłowa 5”. Nowo zawerbowany informator ps. „112”, rekrutujący się z aktywu sekty Świadków Jehowy podał, że do Leszna do niejakego M. przyjechała ostatnio w niewiadomym celu żona byłego sługi krajowego sekty ob. L., której mąż jak wiadomo był w latach delegalizacji sekty aresztowany.

*

W dniu 12 maja br. Urząd tutejszy został powiadomiony przez grupę pracowników Państwowego Przedsiębiorstwa Robót Geodezyjnych w Warszawie, wykonującą pracę na terenie pow. Kościan, że w miejscowości Łuszkowo pow. Kościan została podcięta nowo wybudowana wieża triangulacyjna. Wstępne dochodzenie prowadzone przez tutejszy Urząd i Komendę Powiatową MO przy udziale Prokuratora Powiatowego nie doprowadziły na sprawców powyższego aktu. Według oceny zebranych w toku wstępnych dochodzeń materiałów, zachodzi podejrzenie, że mógł tego

dokonać element zamieszkujący w rejonie Łuszkowa wywodzący się z byłych członków band, na których Urząd tutejszy skierował szczególnie uwagę i rozpracowuje ich w ramach spraw ewidencji operacyjnej; do powyższej sprawy dokonano werbunku informatora ps. „Tomasz”, który podczas werbunku wskazał nam osoby, które przypuszczać należy, że mogły dokonać powyższego. Od nowo pozyskanego informatora ps. „Tomasz” uzyskano jednocześnie materiały pozwalające nam wyjaśnić dotychczas prowadzone rozpracowanie agenturalno – śledcze kryptonim „Grunt”, dotyczące anonimów przesyłanych do członków partii.

W dniu 25 maja na terenie Cukrowni „Kościan” powstał pożar w garażach samochodowych, skutkiem czego spłonęła część garażu oraz uległy spaleni dwa samochody ciężarowe, stanowiąc własność Cukrowni. Wszczęte dochodzenia ze strony tutejszego Urzędu wspólnie z KP MO przy udziale Prokuratora Powiatowego wykazały, że pożar powstał nie w wyniku umyślnego podpalenia, lecz wskutek nieostrożnego obchodzenia się z ogniem i nie przestrzegania obowiązujących przepisów przeciwpożarowych. Opinie biegłych stwierdziły, że pożar powstał w sfoferce samochodu ciężarowego od pozostawionego niedopałka papierosa.

*

W związku z artykułami w prasie dotyczącymi komentarzy odnośnie traktowania i wogóle pojęcia sprawy byłych AK-owców uzyskano sygnały od sieci agenturalnej, że były aktyw AK-owski jak m.in. były Komendant Obwodu AK obywatel C. oraz pracownik komórki wywiadowczej Obwodu Leszno – Kościan obywatel S. porozumiewają się ze sobą pytając się nawzajem czy kto kolwiek indywidualnie do nich zwraca w sprawie rehabilitacji. Szczególnie były Komendant AK rzucił pogłoskę do ob. S., że jakiś człowiek się w tej sprawie zwróci. Powyższe dane uzyskano od informatora wywodzącego się z byłego aktywu AK. Również

ze strony agentury wywodzącej się z byłego aktywu AK spotkaliśmy się z próbami odmowy współpracy i zarzutami o rzekomej krzywdzie wyrządzonej im w przeszłości przez organa Bezpieczeństwa Publicznego. Z jednostkami tymi przeprowadzono rozmowy wyjaśniające, w wyniku czego częściowo jednostki te zmieniły swe zdanie i naogół wyrażają chęć dalszej współpracy.

*

Na terenie wsi Olszewo pow. Kościan zamieszkuje obywatel Chruścicki Józef, były wójt przed 1939 r. z terenu województwa Lwów. Urząd tutejszy posiada na wyżej wymienionego materiały wskazujące na jego nieprzejednanie wrogi stosunek do spółdzielczości produkcyjnej, m.in. wyżej wymieniony jest podejrzany o dokonanie kastracji ogierów w Państwowym Gospodarstwie Rolnym Stare Bojanowo. Odnośnie wyżej wymienionego w miesiącu czerwca br. otrzymało informację..., że Chruścicki zamierza zorganizować koło Z.S.L. w Olszewie wyłącznie z tak zwanych swoich ludzi; zamiarem jego jest, ażeby koło projektowane nie liczyło więcej aniżeli 20 osób. Dodać należy, że w gromadzie tej istnieje Podstawowa Organizacja Partyjna, licząca kilku członków, słabo działająca. O powyższym powiadomiono I sekretarza Komitetu Powiatowego PZPR [w Kościanie], a niezależnie od tego zwrócono uwagę przy pomocy posiadanej sieci agenturalnej na ewentualne dalsze zamierzenia ze strony wyżej wymienionego i osób z nim związanych.

W miesiącu maju br. członek ORMO S. Marian zamieszkały w Śmiglu pow. Kościan otrzymał anonim o treści pogróżkowej, w którym nie ustalony dotychczas autor ostrzega go, ażeby zerwał z dotychczasową aktywnością na odcinku pracy w ORMO, w przeciwnym bowiem razie rozprawią się z nim. Autor anonimu w swej treści pisanej do tow. S. ostrzega w ten sam sposób Komendanta Posterunku Milicji Obywatelskiej i Sekretarza Komitetu Miejskiego PZPR [w Śmiglu] twierdząc w końcu „że nadszedł czas rozprawiania się z takimi jak oni w wyniku ostatnich zdarzeń politycznych, gdyż wielu już się

uspokoiło”. Anonim powyższy Urząd tutejszy otrzymał za pośrednictwem KP MO Kościan. Wstępne ustalenia nie naprowadziły nas w kierunku bezpośredniego ustalenia sprawcy – autora. Uzyskano wprawdzie materiał porównawczy, odpowiadający charakterem pisma anonimu i przesłano go do ekspertyzy celem wydania opinii. Ponadto przy pomocy posiadanej agentury wyjaśniamy poszlakowe podejrzenia.

*

W związku z wypadkami w Poznaniu do Komitetu Powiatowego PZPR w Kościanie w dniu 30 czerwca 1956 r. wpłynął anonim pisany atramentem na papierze kancelaryjnym w kratkę... Sam anonim datowany jest „Kościan, dnia 28 VI 1956 r.” Autor anonimu nawiązuje w swej treści do wypadków w Poznaniu, wspomina o organizacji podziemnej, działającej na terenie miasta i powiatu Kościan, ostrzega: „Bądźcie przygotowani łotrzy i pachotkowie Kremla i jego wywiadu, że i u nas tak, jak w Poznaniu przyjdzie chwila porachunku i rozliczenia się z Wami z bronią w rękę, gmach Wasz zostanie zburzony razem z Wami. Autor w anonimie wymienia cztery osoby i to: i to I Sekretarza Komitetu Powiatowego PZPR tow. S., II Sekretarza KP PZPR tow. B., Kierownika Wydziału Oświaty Prezydium Powiatowej Rady Narodowej tow. G. i Sekretarza Komitetu Miejskiego PZPR tow. D. Anonim podpisany hasłem „Niech Żyje Narodowa Rewolucja” i pod tym „Komitet Tajnej Organizacji Podziemnej w Kościanie”. Z treścią niniejszego anonimu zapoznała się sekretarka Sekretariatu KP PZPR, która list osobiście otwierała oraz I Sekretarz KP PZPR, któremu doręczyła dany anonim a ten przekazał kierownictwu tutejszego Urzędu.

Z treści danego anonimu oraz charakteru pisma wyciągamy wnioski, że mógł powyższy anonim pisać osobnik będący na dobrym poziomie intelektualno – politycznym, znający doskonale stosunki na tutejszym terenie. W pierwszym rzędzie z naszej strony skoncentrowano uwagę na podejrzany element z terenu miasta i powiatu Kościan, poddano analizie pisma młodzieży z klas VIII, IX i X-tej Liceum Ogólnokształcącego,

którzy nie zdali egzaminów maturalnych względnie nie uzyskali promocji do następnych klas... Dotychczasowe ustalenia i praca w tym kierunku z siecią agenturalną nie dały konkretnie poszlakowych uzasadnionych podejrzeń, za wyjątkiem 2-ch pism, które częściowo odpowiadają charakterowi pisma anonimu. Pisma te prześlemy do eksperta.

*

Na terenie Państwowego Sanatorium Dla Nerwowo Chorych w Kościanie w dniu 30 czerwca 1956 r/ o godz. 7-ej rano zostały zauważone przez pacjenta tegoż Sanatorium obywatela W. Henryka (przewodniczący Miejskiej Rady Narodowej w Toruniu) napisy o wrogiej treści. Napisy w ilości dwóch egzemplarzy wykonano atramentem przypuszczalnie przy pomocy patyka na papierze w kratkę (kancelaryjny – blokowy). Podaję treść obu napisów: dotyczy 1-go „Poznań, dn. 28.VI.56r. Niech Żyje Rewolucja, chcemy Wolności”, dotyczy 2-go napisu „Towarzyszu Ochabie, jesteś sprzedany Rosji, chcesz być z nami – szanuj Polaków. Polski Komitet Wyzwoleńczy”. Dane napisy wywieszono były na drzewach w miejscu, gdzie w godzinach nocnych może się poruszać w zasadzie tylko personel Sanatorium. Z uwagi na to, że obiekt ten w godzinach nocnych i wogóle jest zamknięty, puszczanie osób obcych jest ściśle kontrolowane, zachodzi wobec tego podejrzenie, że mógł tego dokonać któryś z pracowników Sanatorium względnie pacjentów, na co skierowaliśmy główną uwagę w kierunku wykrycia sprawcy. Niezależnie od powyższego, kojarzymy do pewnego stopnia sprawę pogróżkowego anonimu skierowanego do Komitetu Powiatowego PZPR z wspomnianymi napisami. Powyższy bierzemy z tego punktu widzenia, że tak anonim jak i napisy teoretycznie rzekomo były pisane w dniu 28.VI.56 r., praktycznie zaś anonim jak i napisy stwierdzono w dniu 30.VI.56 r. Ponadto uwzględnia się przy tym mniej więcej równe hasło: „Niech Żyje Rewolucja” i wzmiankę o tajnym Komitecie Podziemnym w Kościanie. (cdn)

Opr. JERZY ZIELONKA

W starym kinie...

Szczególna atmosfera, czerwień kotar, drewniane fotele, chrobot taśmy filmowej. Kino to przede wszystkim filmy i ludzie którzy je tworzyli, w nim pracowali i którzy je odwiedzali.

- Pamiętam moje pierwsze zetknięcie z kinem – opowiada Marek Drosik. - Zabrał mnie tam ojciec. To były lata 60., wyświetlali „Krzyżaków”. Miejsce mieliśmy w najlepszym rzędzie. Na samej górze. Prawdziwe kinowe fotele wyściełane czerwonym materiałem. Robiły wrażenie, choć po czterech godzinach seansu byłem nieco ścierpnięty. Miałem 10 lat. Dla mnie to było ogromne przeżycie.

Apollo, Imperial, Słowianin

Kino w Kościanie działało już przed wojną. Powstało z inicjatywy Jana Tadeuszaka, kupca i społecznika. Człowieka, który odegrał znaczną rolę w życiu publicznym miasta w II Rzeczypospolitej.

- Kino ruszyło około 1924 r. Nazywało się „Apollo”. Mieściło się w budynku, który ojciec kupił od pani Rhese, właścicielki szkoły niemieckiej – wspomina córka Kazimiera Ruszkiewicz. Najpierw wyświetlano filmy nieme. Z przodu ekranu było miejsce dla małej orkiestry. Muzycy byli miejscowi. Uatrakcyjniali widzom odbiór filmu.

Wkrótce zaczęto wyświetlać filmy dźwiękowe. Kino prosperowało bardzo dobrze. Cała rodzina Tadeuszków była zaangażowana w jego obsługę. To było ich ukochane kino. Bardzo angażowała się matka pani Kazimiery, Pelagia.

Przyszedł rok 1939. W czerwcu zmarł Jan Tadeuszek. Po jego śmierci kino prowadził syn, 25-letni



Córka twórcy i właściciela kościańskiego kina „Apollo” Kazimiera Tadeuszkówna po mężu Ruszkiewiczowa.

Zdjęcie z 1969 roku. Fot. w zbiorach rodzinnych

Zygmunt. We wrześniu wybuchła wojna. Młody kościaniak został zmobilizowany. Z wojny nie wrócił. Kino, jako jedno z podstawowych ogniw propagandy, trafiło w ręce nazistów. Rozpoczęła się nowa era. Pod zarządem okupanta zmieniono nazwę na „Imperial”. Już w kwietniu 1940 r. wyświetlono „Die Deutsche Wochenschau” (kroniki filmowe) i serię filmów propagandowych o wojennych sukcesach III Rzeszy.

Rodzinie Tadeuszków zarekwirowano kino, ich samych wysiedlono do Generalnego Gubernatorstwa. Po latach okupacji wrócili do Kościana licząc na to, że uda im się odzyskać swoją własność.

- W kwietniu 1945 r. wróciliśmy do domu – wspomina Kazimiera

Ruszkiewicz: - Spieszyliśmy się. Dom z powodu wysadzenia mostu na Obrze był zrujnowany. Udało nam się przekonać władze miejskie, że mury są jeszcze bardzo grube i spróbujemy go odbudować. Mąż, Rościśław Ruszkiewicz, jego rodzina, moja siostra Helena, wszyscy zabraliśmy się do pracy. Naszym marzeniem było uruchomić nasze polskie kino. Wyremontowaliśmy więc budynek, przygotowaliśmy salę, aparaturę i wtedy... matka nie otrzymała zgody na otwarcie kina.

W nowej Polsce nie było miejsca dla prywatnych właścicieli. W 1945 na mocy dekretu Krajowej Rady Narodowej o nacjonalizacji kinematografii wprowadzono monopol kinematograficzny. Powołano do życia przedsiębiorstwo „Film Polski”. Kino zostało upaństwowione i przymusowo wydzierżawione. Właścicielom płacono groszowy czynsz. Nazwę „Imperial” uznano za niestosowną i zamieniono ją na dużo bardziej właściwą, „Słowianin”.

Żuk kolorado i zakazane piosenki

Tak rozpoczął się nowy rozdział kościańskiego kina. Czasy tuż po wojnie nie były łatwe. Po ciężkich latach ludzie szukali rozrywki, pragnęli znów normalnie żyć i bawić się.

- Chcieliśmy się spotykać, rozmawiać. Kino było dla nas czymś niesamowitym. Tutaj z moim przyszłym mężem Mironem, umawialiśmy się na pierwsze randki. Aby dostać bilet długo czekaliśmy w kolejce. Były specjalne rezerwacje. Często przed seansem okazywało się, że biletów już nie ma. Pechowcy wracali do domu z

nosem na kwintę – wspomina Zdzisława Ratajczakowa: – Chociaż ja miałam szczęście. Bogusław Linka, kierownik kina, był przyjacielem domu. Zawsze rezerwował dla nas specjalne miejsca. Był wyjątkowo ciepłym i serdecznym człowiekiem. Do Kościana trafił z początkiem lat 50., kierownikiem kina był do połowy lat 70. Przez jakiś czas mieszkał w pokoiku, tuż nad kinem.

Początki kina „Słowianin” to czasy głębokiego stalinizmu. Propaganda nie spała. Wyświetlano przede wszystkim filmy radzieckie o treściach propagandowych oraz wojenne jak „Upadek Berlina” Michaiła Cziaureliego, czołowego orędownika ideologii komunistycznej.

- Ojciec bardzo martwił się o frekwencję, szczególnie, kiedy wyświetlano filmy radzieckie. Był z tego rozliczany – opowiada Maria Koszewska, córka ówczesnego kierownika. – Mimo tego lubił kino. Tym żył. Moja mama za to kina nie cierpiała, bo całe życie rodzinne spoczywało na jej barkach.

Drugą pasją Bogusława Linke była fotografia. W kinie spędzał całe dnie, a nocami pracował w małej ciemni, którą stworzył w piwnicy. Wywoływał zdjęcia, wycinał kadry z filmów, projektował z tego małe ulotki. W ten sposób chciał zachęcić ludzi do przyścia na seans.

Ale to nie filmy radzieckie cieszyły się największą popularnością. Rekordy biły komedie w reżyserii Leonarda Buczkowskiego. To one najlepiej odpowiadały na sentymentalne potrzeby widzów. Nie tylko w Kościanie, ale w całym kraju. Ludzie szturmowali kina, aby zobaczyć Danutę Szaflarską, pierwszą damę powojennego kina polskiego.

- W „Słowianinie” oglądaliśmy „Zakazane piosenki”, „Skarb” czy „Przygodę na Mariensztacie”, pierwszy polski pełnometrażowy film w kolorze – wspomina Zdzisława Ratajczak.



Kierownik kina „Słowianin” Henryk Drosik.

Fot. w zbiorach rodzinnych

Ważnym momentem była Polska Kronika Filmowa. W latach 1944–1994 poprzedzała prelekcje filmów w kinach. Przed każdym seansem rozbrzmiewał charakterystyczny sygnał, kompozycji Władysława Szpilmana. Magazyn prezentował głównie krajowe wiadomości. Funkcję lektora do roku 1956 pełnił Andrzej Łapicki.

- Kontemplowaliśmy te obrazy o krajowej produkcji rolnej, osiągnięciach sportowych i kulturalnych. Sporo można było się dowiedzieć. Nie brakowało też informacji o prowokacjach „wojennych podżegaczy”. W latach 50. cały naród walczył z inwazją żuka kolorado, czyli stonką ziemniaczaną, zrzuconą na socjalistyczną Polskę przez amerykańskich imperialistów – wspomina ze śmiechem Miron Ratajczak.

Boska Brigitte

Lata 60. to był fantastyczny okres w historii kina. Do głosu doszło autorskie kino artystyczne. Repertuar był wtedy znakomity: Fellini, Antonioni, nowa fala

francuska, angielscy młodzi gniewni. Dużym powodzeniem cieszyły się filmy szkoły polskiej, za której początek uważa się premierę „Kanału” Andrzeja Wajdy. Na ekranie królowała boska Brigitte Bardot.

- Wszystkie dziewczyny chciały tak wyglądać – wspomina Czesława Albińska: - Byliśmy w liceum. Dużo dyskutowaliśmy między sobą o literaturze, filmie. „Grona gniewu” Steinbecka, „Komu bije dzwon” Hemingwaya, „Buszujący w zbożu” Salingera, to były nasze lektury. Co dwa tygodnie ukazywał się magazyn „Film”, czytaliśmy recenzje. Kino „Słowianin” komponowało się w to nasze życie. Choć na zbyt wiele nam nie pozwalano.

Wyjście z domu po godzinie dwudziestej było zakazane. Nie było szans na wieczorny seans w kinie. Pewnych filmów młodzież oglądać nie mogła.

- Do dziś pamiętam, jak nie wpuszczono mnie na film „I Bóg stworzył kobietę” z Brigitte Bardot. Ale udało mi się obejrzeć „Hiroszima, moja miłość”. Film dozwolony od lat osiemnastu. Nasz kolega, Jurek Zielonka, wykazał się jeszcze większą odwagą. Poszedł na seans na godzinę dwudziestą. Okazało się, że w tym czasie do kina wybrał się również profesor Tumidajski. Siedział tuż przed nim. Po filmie profesor kazał odprowadzić się do domu, nic nie mówiąc. Na drugi dzień Jerzyk dostał naganę od Tumidajskiego. Zrobił z tego ogromną aferę. Cała szkoła trąbiła o tym, że Jerzyk był w kinie na niedozwolonym filmie, i to na dodatek na godzinę dwudziestą. Chcieli go zawiesić w prawach ucznia.

DKF „Impuls”

Początek lat 70. przyniósł rozluźnienie i nowe nadzieje. Ekipa Gierka sformułowała nową politykę, obiecywała poprawę materialnych warunków. W 1972 r. udało się przekonać władzę, aby w kinie „Słowianin”, które w

poniedziałki stało puste zorganizować dodatkowe seanse. Tak rozpoczął działalność kościański Dyskusyjny Klub Filmowy „Impuls”. Pomysłodawcą był Wiesław Wichtowski, młody chłopak i pasjonat kina z Kościana. „Impuls” ściśle współpracował z poznańskim DKF działającym przy Centrum Kultury „Zamek” w Poznaniu.

Z Poznania przyjeżdżali ludzie, którzy często przed projekcją wprowadzali do filmu. Często pokazywano filmy trudne. Na dwóch poniedziałkowych seansach, o osiemnastej i dwudziestej, „Słowianin” pękał w szwach.

- Oprócz nowości, organizatorzy wracali do filmów ważnych, jak „Matka i córka” Vittoria de Sici z 1960 r. W latach siedemdziesiątych byłam już na studiach, ale właśnie w kościańskim DKF widziałam ten film po raz pierwszy – opowiada Czesława Albińska: - Pamiętam gorącą dyskusję po „Kabarecie” z Lizą Minelli. Na spotkania przyjeżdżali znani krytycy filmowi i literaccy; Marek Hendrykowski, czy absolwent naszego liceum Kazimierz Młynarz.

Kino objazdowe

W tamtych czasach wrócono do idei kina ruchomego, bo nie wszyscy mogli do niego dojechać. Spakowany sprzęt i tabor filmowy wyjeżdżał na drogi i bezdroża kraju. Obwoźne kinematografy witane były radośnie przez dzieci i dorosłych miasteczek i wiosek. Początkowo tabor filmowy zajmowała się Franciszka Drzewiecka a następnie Franciszek Matyja. Załoga zmieniała się co jakiś czas.

- Dla mnie to była ogromna frajda – wspomina Grażyna Ratajczak, córka Seweryna Kaliszewskiego, kinooperatora: - Pamiętam duży samochód, typu star bądź nyska. Ojciec zabierał mnie ze sobą na te wyprawy. Towarzyszył mu pan Józef Bartkowiak z Racotu oraz Henryk Andrzejewski. Zjeżdżaliśmy



Kierownik kina „Słowianin” Bogusław Linke.

Fot. w zbiorach rodzinnych

cały powiat. Od wioski do wioski. Filmy wyświetlane były w szkołach i wiejskich świetlicach.

- Problemy się zdarzały, ale zawsze do rozwiązania. Samochód cały załadowany sprzętem, taśmy, projektor, niesamowicie ciężki, nieraz się zakopał i ciągnikami trzeba było jechać, aby go wyciągnąć – śmieje się Marek Drosik.

Znachor na okrągło

Od połowy lat 70. kierownikiem kina był Henryk Drosik. Człowiek niesamowicie spokojny i opanowany, pasjonat kina. Lubił robić coś dla ludzi. Praca w kinie bardzo mu odpowiadała.

- Ojciec całe życie zajmował się kulturą. Początkowo pracował w Prezydium w Wydziale Kultury, później w Domu Kultury. W końcu został kierownikiem kina „Słowianin”, gdzie pracował do jego zamknięcia, czyli do czerwca 1990 roku – opowiada syn Henryka Marek. Z tego, co pamiętam dużo czasu spędzał w kinie. Wychodził z domu wcześniej rano, wracał

grubo po godzinie 22, kiedy kończyły się ostatnie seanse.

- Kino miało 219 miejsc. Plus jedno dla bileterki – żartuje Halina Smoczyk. - Jak nie było miejsc dostawiało się dodatkowe krzesła. „Słowianin” mógł pomieścić nawet 250 osób.

Halina Smoczyk w „Słowianinie” przepracowała ponad 20 lat. Do kina trafiła w roku 1968 i jako starsza bileterka pracowała do końca. Bardzo dobrze wspomina atmosferę. Zarówno Bogusław Linke, jak i Henryk Drosik, byli ludźmi wyjątkowymi. Potrafili rozmawiać z drugim człowiekiem. Bardzo dobrze się z nimi pracowało.

- To byli idealni przełożeni – dodaje bileterka.

Rano wyświetlano bajki dla dzieci, przychodziły wycieczki szkolne na adaptacje literatury. Repertuar był zawsze aktualny. Kierownik Drosik jeździł do Poznania do Wojewódzkiego Zarządu Kin rozmawiał, załatwiał. Kościan nie musiał długo czekać na nowości.

- Jak udało mu się szybko sprowadzić ciekawy film był bardzo zadowolony – wspomina Marek Drosik. W interesie jego i innych pracowników kina było to, aby ludzie byli zadowoleni. By chcieli do kina przychodzić. Im więcej widzów, tym lepiej dla wszystkich.

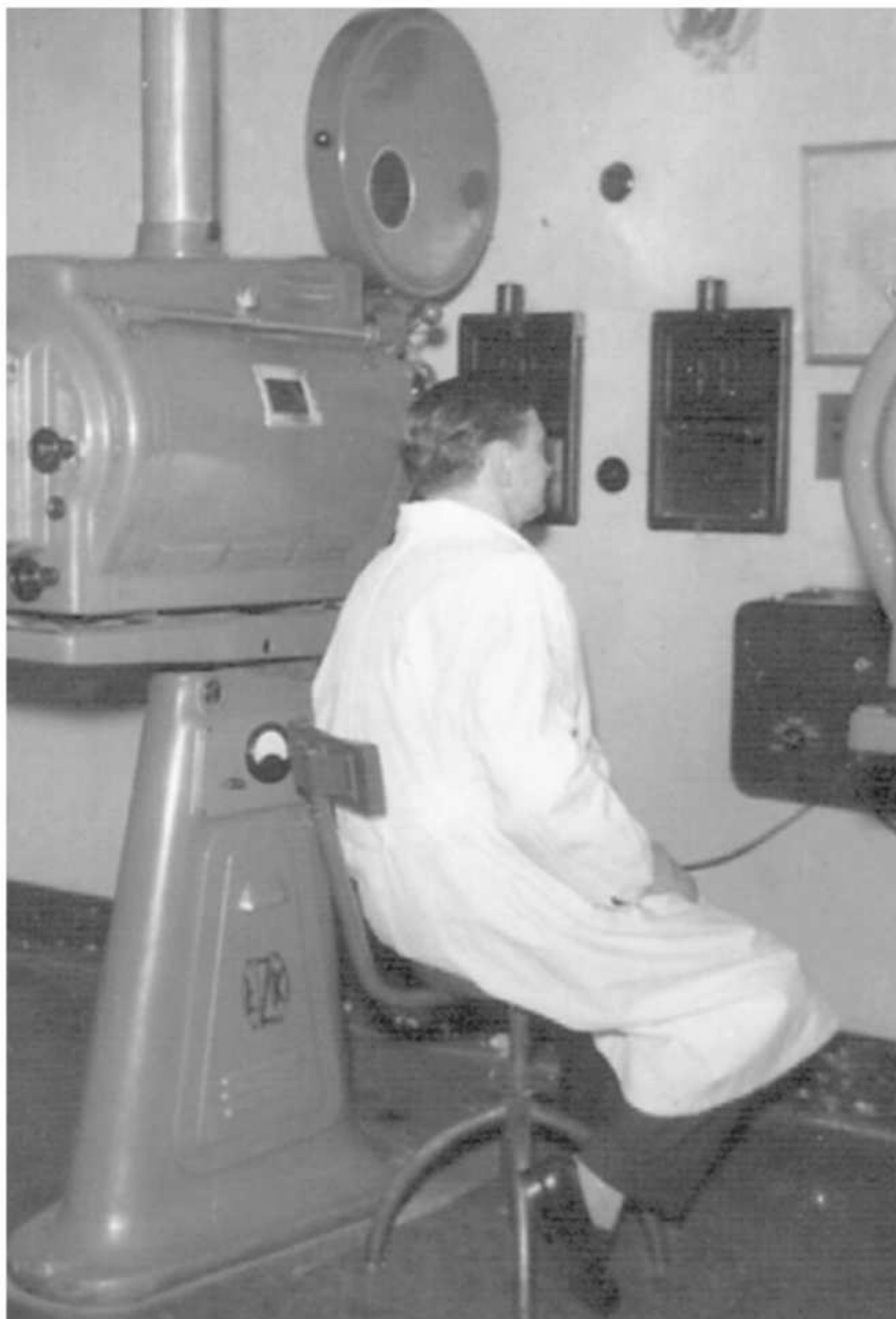
- Nie było łatwo – wspomina z uśmiechem Adam Szymczak, kinooperator. Pamiętam plany, jakie mieliśmy do wypracowania. Jednym słowem, niewykonalne. Ale był jeden film, na którym przez tydzień całonocny plan zrobiliśmy. „Znachor” Jerzego Hoffmana. Wyświetlaliśmy go na okrągło dzień i noc. Ostatni seans był o 12 w nocy i od rana to samo. Takie zainteresowanie było. Pamiętam wszystkie kobiety wchodziły na seans uśmiechnięte, wychodziły zalane łzami. Facetów można było policzyć na palcach jednej ręki. To był stary film. Przy jego wyświetlaniu nie siedziałem ani minuty. Musiałem bez przerwy

taśmę sklejać, tak była pozrywana. Po tym tygodniu byłem tak wykończony, że gdy zamykałem oczy widziałem małe kwadraciki taśmy. Po nocach śnił mi się profesor Wilczur. Pamiętam też inne hity, które wypożyczyliśmy z Leszna na jeden dzień. Jeździłem po nie taksówką a w nocy odwoziłem z powrotem. Jednym z nich było „Wejście smoka” z Bruceem Lee.

Serce „Słowianina”

Kabina kinooperatora, mieściła się u góry, lekko z boku, nad salą kinową. Nie wiewielu widzów zdawało sobie sprawę, że to właśnie tam mieści się centrum, najważniejsze miejsce kina „Słowianin”. Dwa nieduże pokoiki. W jednym z nich stały dwa ogromne, żeliwne projektory. Bardzo nowoczesne jak na owe czasy. Praca operatora nie była łatwa. Zamiast cichego szumu przesuwającej się taśmy, słychać było głośny terkot projektora. Szpulka filmu trwała kilkanaście minut. W czasie, gdy pracował jeden projektor, operator montował kolejną szpulkę i przerzucał na drugi.

- Z operatorów, których pamiętam pracował Seweryn Kaliszewski przyszedłem na jego miejsce. Był jeszcze Jasiu Matyja, Maryś Kosmański, Rysiu Leitgeber, Robert



W kabynie operatora.

Fot. w zbiorach Grażyny Ratajczak

Bączyk – wylicza Adam Szymczak.

Szymczak do Kościana trafił w 1976 r. W „Słowianinie” jako operator pracował do momentu jego zamknięcia. Ukończył Technikum Kinematograficzne w Warszawie, z filią w Poznaniu. Posiada uprawnienia do samodzielnego obsługiwanie wszelkiego rodzaju aparatów. Dziś już nie pracuje w zawodzie, ale pracę kinooperatora wspomina z sentymentem.

- Zajęcie ciekawe, ale momenta-

mi niewdzięczne. Zajęte niedziele, święta, popołudnia. Czy była nużąca? Czasami zdarzało mi się zasnąć przy projektorze. Pamiętam taki japoński film, Dodes'ka-den, w reżyserii Akiry Kurosawy. Fabuła nie miała jednego wątku głównego, opowiadała równoległe historie kilkunastu osób żyjących w slumsach Tokyo. Ogólnie nic się nie działo, a film był strasznie długi. Cztery razy zdążyłem zasnąć podczas projekcji. Znałem ten film doskonale. Wyświetlałem go parokrotnie w Pile na DKF, skąd trafiłem do Kościana. Tutaj wyświetlałem już wersję autorską, nieco okrojoną. Szczerze mówiąc nikt się nie zorientował. Chyba byłbym niezłym montażystą – śmieje się Szymczak: – Czasami lubię pożartować.

Kino „Słowianin” pod kierownictwem Okręgowego Zarządu Kino pozostawało do 1990 r. Wówczas Kazimiera Ruszkiewicz otrzymała pismo, że państwo nie chce kina, bo jest nieopłacalne. Po 45 latach kino wróciło do właścicieli. Działo przez kilkanaście lat. Zakończyło żywot w 2005 roku filmem o ostatnich dniach Hitlera, pod tytułem – nomen omen – „Upadek”.

KATARZYNA ŻUREK

W następnym numerze „WK”

- **Justyna Światło w Kościanie**
- **Podłuch w mieszkaniu żony podpułkownika UB**
- **Listy znad Obry do prominentów bezpieczeństwa w Warszawie**
- **Poznańska bezpieka w akcji.**

Red. Jerzy Zielonka tylko na tych łamach opublikuje oryginalne dokumenty sprawy Światło, związane z Wielkopolską. Wykorzystał je w znikomej części w cyklu artykułów na łamach „Gazety Kościańskiej”, które wzbudziły zainteresowanie w kraju i za granicą.

Wybrane fragmenty z „Gazety Kościańskiej”.

We wtorek – 5 grudnia 1953 roku – w czasie ważnej, supertajnej misji służbowej w NRD, ppłk UB Józef Światło wybrał się na zakupy metrem ze swoim przełożonym płk. Anatolem Fejginem do Berlina Zachodniego, tam zniknął i na jakiś czas wszelki śluch po nim zaginął. Później tak przedstawiał własną wersję wydarzeń:

- Z pułkownikiem Fejginem udaliśmy się do Berlina Zachodniego. Ja z zamiarem ucieczki, on z zamiarem zakupu rzeczy, które mu się podobały. Gdy przejechaliśmy do Berlina Zachodniego, wstąpiłem do jednej takiej budki z zamiarem wymienienia pieniędzy na zachodnie. Płk. Fejgin był na ulicy przed tym sklepem, czekał na mnie. Umówiliśmy się w ten sposób, że następnie on wejdzie i wymieni walutę. Liczyłem, że po jego wejściu do sklepu będę mógł odejść od niego i zwyczajnie uciec, będę miał trochę czasu na odłączenie się. W Berlinie Zachodnim zgłosiłem się do władz amerykańskich. Było to dla nich zupełne zaskoczenie, kiedy się wylegitymowałem i kiedy dowiedzieli się, kim jestem. W Berlinie Zachodnim

spędziłem tylko jedną noc...

Przewieziony do Waszyngtonu, okazał się ważnym źródłem informacji i doskonałym narzędziem propagandowym dla Centralnej Agencji Wywiadowczej (CIA). Znał jak nikt bardzo dobrze tajemnice bezpieczeństwa i partii. Miał bezpośredni dostęp nie tylko do Bolesława Bieruta, ale także Ławrentija Berii. To on aresztował osobiście m.in. Władysława Gomułkę i marszałka Michała „Rolę” Żymierskiego. W szafach pancernych swego gabinetu gromadził „haki” - materiały mogące skompromitować wielu prominentnych działaczy komunistycznych w kraju i za granicą, bo Departament X był biurem specjalnym bezpieczeństwa – zajmował się głównie śledzeniem i dochodzeniami w sprawach wyższych funkcjonariuszy partyjnych. Według informacji enerdowskiej „Stasi” wywiózł ze sobą całą walizę bliżej nieokreślonych dokumentów.

Właściwie nazywał się Izaak Fleischfarb. W kampanii wrześniowej 1939 roku zmobilizowany do 12 pułku piechoty WP w Wadowicach (Armia „Kraków”), służył pod dowództwem płk dypl. Mariana Strażycyca,

ranny trafił do niemieckiej niewoli, z niej uciekł i przedostał się do Związku Radzieckiego. Aresztowany tam i zwolniony, zesłany do Kazachstanu, gdzie w 1943 roku wziął ślub z drugą żoną - Justyną Światło i przybrał jej nazwisko.

Podpułkownik „odnalazł się” pod koniec września 1954 roku, kiedy to wystąpił w Waszyngtonie na specjalnej konferencji prasowej, transmitowanej przez „Głos Ameryki” i Radio Wolna Europa. Od tamtego czasu przez dwa lata RWE emitowało co tydzień audycje pt. „Za kulisami bezpieczeństwa i partii”, zaczynające się od słów „Tu mówi Józef Światło”. asza” to jest Bolesława Bieruta. W „bezpieczeństwie i partii” nastąpiło trzęsienie ziemi.

Ścisłe tajne akta akcji kryptonim „Kogut” zachowały się w warszawskim IPN. Liczą kilkanaście tomów. W tej sprawie przesłuchano wszystkich, z którymi ppłk Światło miał kontakt służbowy czy prywatny. Rodzinę Józefa Światły pozbawiono stanowisk, wysiedlono z Warszawy i obstawiono agenturą. I wtedy w kryptonimie „Kogut” wielokrotnie pojawia się nazwa Kościan.

Zaułki Kościana

w grafice Grzegorza Pawlaka

